

Agatha Christie

Zabójstwo Rogera Ackroyda

Tytuł oryginału: The Murder of Roger Ackroyd

Przełożył Jan Zakrzewski

Rozdział pierwszy

Doktor Sheppard przy śniadaniu

Pani Ferrars zmarła w czwartek, w nocy z szesnastego na siedemnasty września. Po mnie posłano w piątek, siedemnastego, o godzinie ósmej rano. Nic już nie mogłem poradzić. Pani Ferrars nie żyła od kilku godzin.

Do domu wróciłem parę minut po dziewiątej i własnym kluczem otworzyłem drzwi z zamka. Świadomie zwlekałem dość długo w przedpokoju, wieszając kapelusz i lekki płaszcz, który roztropność kazała mi włożyć przed wyjściem w chłodny, jesienny poranek. Prawdę powiedziawszy, byłem wytrącony z równowagi i zaniepokojony. Nie mam zamiaru twierdzić, że w owej chwili już przewidywałem rozwój wypadków następnych tygodni. Ani mi to przez myśl nie przeszło. Prawdopodobnie jednak instynkt ostrzegwał mnie przed niezwykłymi wydarzeniami, jakie miały nastąpić.

Ze stołowego, dokąd wchodziło się z hallu w lewo, dobiegało mnie szczęknięcie filiżanek i suchy, urywany kaszel mojej siostry Karoliny.

— Czy to ty, James?! — zawołała.

Zbędne pytanie, gdyż nikt inny nie mógł przyjść. Prawdę powiedziawszy, właśnie z powodu Karoliny tak się ociągałem. Mottem ichneumonów, jak powiada Kipling, jest hasło: „Idź i węsź”. Jeśli Karolina kiedykolwiek przyjmie herb, powinien nim być właśnie ichneumon, stojący na tylnych łapach. Z motta można by opuścić nawet pierwszą część, Karolina bowiem potrafi wywęszyć wszystko bez chodzenia, siedząc skromniutko w domu. Nie wiem, jak jej się to udaje, ale tak jest. Podejrzewam, iż służące i chłopcy od sklepikarzy tworzą jej służbę wywiadowczą. Kiedy Karolina wychodzi z domu, to nie po to, by zbierać plotki, ale by je rozsiewać. I jest w tym zdumiewająco wprawna.

Ostatnia z jej wyżej wymienionych cech była właśnie przyczyną mojego niepokoju. Wiedziałem, że cokolwiek powiem Karolinie o śmierci pani Ferrars, stanie się to publiczną tajemnicą całego miasteczka w ciągu półtorej godziny. Jako lekarz muszę pamiętać o zachowywaniu dyskrecji. Dlatego też przyjąłem zasadę nieinformowania mojej siostry właściwie o niczym. Ona i tak dowiaduje się o wszystkim, ale ja mam spokojne sumienie, że nie ode mnie.

Minął już rok od śmierci męża pani Ferrars i Karolina twierdzi uparcie — bez najmniejszych ku temu podstaw — że żona go otruła.

Pogardliwie traktuje moją niezmienną odpowiedź, że pan Ferrars zmarł na wrzód żołądka i w wyniku chronicznego nadużywania napojów wysokokowych. Objawy śmierci z powodu, pęknięcia wrzodu i otrucia arsenikiem są, i z tym się zgadzam, dosyć podobne, ale w tym wypadku Karolina opiera swoje oskarżenie na czymś zupełnie innym.

— Wystarczy tylko spojrzeć na panią Ferrars — słyszałem wielokrotnie.

Pani Ferrars, osoba nie pierwszej młodości, była jednak przystojną kobietą, a stroje, choć skromne, leżały na niej świetnie. Wiele kobiet ubiera się w Paryżu i to wcale nie musi być powodem trucia mężów.

Kiedy tak stałem niezdecydowany w hallu i wszystkie te myśli przebiegały mi przez głowę, usłyszałem ponownie głos Karoliny, tym razem zabarwiony ostrzejszą nutą:

— Cóż ty tam robisz, James? Dlaczego nie usiądziesz do śniadania?

— Już idę, moja droga — powiedziałem pośpiesznie. — Wieszale płaszcz.

— Przez ten czas mógłbyś powiesić z pół tuzina płaszczy! — Karolina miała rację. Mógłbym.

Wszedłem do jadalni, jak zwykle cmoknąłem Karolinę w policzek i zasiadłem do jajek na bekonie. Bekon był już nieco zimny.

— Wezwano cię dziś wcześnie — zauważyła Karolina.

— Aha — odparłem. — Do King's Paddock. Pani Ferrars...

— Wiem — powiedziała.

— Skąd wiesz? — zapytałem.

— Powiedziała mi Annie.

Annie jest pokojówką. Miła dziewczyna, ale straszna gaduła.

Nastąpiła chwałą ciszy. W dalszym ciągu jadłem jajka na bekonie. Koniuszek nosa mojej siostry, długi i cienki, drgał lekko, co zdarza się zawsze, kiedy Karolina jest czegoś ciekawa albo czymś podniecona.

— No i co? — spytała.

— Źle. Nic już nie mogłem poradzić. Zmarła we śnie.

— Wiem — powiedziała po raz drugi Karolina. Tym razem już mnie to rozżłościło.

— Nie możesz wiedzieć! — warknąłem. — Ja sam nic nie wiedziałem, póki tam nie poszedłem. I do chwili obecnej nie wspominałem o tym żywej duszy. Jeśli ci to powiedziała Annie, jest chyba jasnowidząca.

— Nie Annie, tylko mleczarz. Usłyszał od kucharki Ferrarsów.

Jak już mówiłem, Karolina nie musi wychodzić z domu, by o wszystkim wiedzieć. Siedzi w kuchni

i wiadomości same do niej przychodzą.

— Na co umarła? Atak serca? — pytała dalej.

— A co, mleczarz ci nie powiedział? — rzuciłem zjadliwie. Zjadliwość jest bezcelowa w stosunku do Karoliny.

Przyjmuje ją ona poważnie i poważnie odpowiada.

— Nie wiedział — wyjaśniła.

Wcześniej czy później Karolina i tak by się dowiedziała. Tym razem nie sprawiało mi różnicy, że dowie się ode mnie.

— Wzięła nadmierną dawkę weronalu. Ostatnio zażywała go na bezsenność. Po prostu się omyliła. Pewnie...

— Bzdura! — odparła natychmiast Karolina. — Ona naumyślnie zażyła tyle. Nie przekonasz mnie.

Jakie to dziwne, że kiedy człowiek nosi w sercu jakąś własną tajemną teorię, do której właściwie nie chce się przyznać, a usłyszy ją z ust kogoś innego, z pasją jej zaprzecza. Dlatego też i ja wybuchnąłem oburzony:

— Znowu zaczynasz! — krzyknąłem. — Wyciągasz bezsensowne wnioski bez najmniejszych ku temu podstaw! Po cóż pani Ferrars miałyby popełnić samobójstwo? Wdowa, jeszcze dość młoda, w świetnej sytuacji materialnej, ciesząca się dobrym zdrowiem, bez żadnych kłopotów. Absurd!

— Wcale nie. Chyba i ty zauważyłeś, jak ona się przez te ostatnie pół roku zmieniła. Wyglądała okropnie, jakby ją zmora trapiła. I sam przed chwilą przyznałeś, że źle sypiała.

— A więc jakąż jest twoja diagnoza? — spytałem cierpko. — Pewno nieszczęśliwca miłość?

Karolina potrząsnęła głową.

— Wyrzuty sumienia — powiedziała z satysfakcją.

— Wyrzuty sumienia?

— Tak. Nie chciałeś mi nigdy wierzyć, kiedy ci mówiłam, że otruła męża. Teraz jestem tego bardziej pewna niż kiedykolwiek.

— To trochę nielogiczne — zaoponowałem. — Jeśli kobieta potrafi popełnić morderstwo, to starcza jej chyba zimnej krwi, by cieszyć się owocami zbrodni, i nie ulega tak sentymentalnym słabościom jak żal za grzechy.

Karolina znowu potrząsnęła głową.

— Prawdopodobnie są takie kobiety, ale pani Ferrars do nich nie należała. Była kłębkiem nerwów. Jakiś przemożny impuls kazał jej uwolnić się od męża, bo nie była istotą zdolną cierpieć zbyt długo. A nie ulega chyba wątpliwości, że żona takiego człowieka jak Ashley Ferrars musiała wiele cierpieć...

Skinąłem głową.

— Ale od tego czasu prześladowało ją wspomnienie popełnionej zbrodni. Bardzo jej współczuję.

Nie przypominałem sobie, aby za życia pani Ferrars Karolina kiedykolwiek jej współczuła. Teraz, kiedy pani Ferrars znalazła się tam, gdzie prawdopodobnie nie nosi się paryskich modeli, moja siostra była gotowa pławić się w tak subtelnym uczuciach jak litość i zrozumienie.

Odparłem stanowczo, że podobne domysły są bzdurne. Sprzeciwiałem się im tym bardziej, że w głębi duszy zgadzałem się co najmniej z ich częścią. Ale czyż mogłem się zgodzić, by Karolina dochodziła prawdy jedynie metodą natchnionego zgadywania? Nie miałem zamiaru tego pochwalać. Rozgada wszystko po całym miasteczku, a ludzie będą myśleli, że czyni to na podstawie lekarskiej diagnozy brata. Życie jest ciężkie!

— Bzdura! — powtórzyła Karolina w odpowiedzi na moje protesty. — Zobaczysz! Stawiam dziesięć do jednego, że pani Ferrars pozostawiła list, w którym wszystko wyznaje.

— Nie zostawiła żadnego listu — odparłem ostro, nie dostrzegając pułapki, w jaką wpadam.

— Oo! — wykrzyknęła Karolina. — A więc dowiadywałeś się? Wiesz, James, wydaje mi się, że w głębi duszy myślisz to samo co ja. Jesteś stary krętacz.

— Zawsze trzeba brać pod uwagę możliwość samobójstwa — odparłem ostrożnie.

— Czy będzie dochodzenie sądowe?

— Może będzie. To zależy. Jeśli stwierdzę, że jestem całkowicie przekonany, iż zażycie nadmiernej dawki weronalu nastąpiło przypadkowo, być może obejdzie się bez dochodzenia.

— A czy jesteś całkowicie przekonany? — spytała przebiegle.

Wstałem od stołu bez słowa.

Rozdział drugi

Śmietanka Kingfs Abbot

Nim opowiem dalej, co Karolina usłyszała ode mnie i co ja usłyszałem od Karoliny, muszę w ogólnych zarysach opisać lokalne stosunki. Nasze miasteczko, King's Abbot, nie różni się chyba niczym od innych małych miasteczek. Najbliższym większym ośrodkiem jest oddalone o dziewięć mil Cranchester. Mamy duży dworzec kolejowy, mały urząd pocztowy i dwa konkurujące ze sobą sklepy towarów mieszanych. Energiczni młodzi ludzie są raczej skłonni wcześniej opuszczać rodzinne strony, pozostaje nam natomiast mnóstwo starych panien i oficerów w stanie spoczynku. Nasze rozrywki i pasje dają się streścić w jednym słowie — plotki.

W całym miasteczku są tylko dwa domy, na których koncentruje się cała uwaga. Jeden to King's Paddock, pozostawiony pani Ferrars przez męża, drugi, Fernly Park, należy do Rogera Ackroyda. Ackroyd zawsze budził moje głębokie zainteresowanie, będąc człowiekiem znacznie lepiej imitującym ziemianina, niż potrafił to czynić jakikolwiek ziemianin. Przypominał mi wysportowanych dżentelmenów o czerwonych twarzach, którzy zawsze zjawiali się na początku pierwszego aktu staromodnej komedii muzycznej, na tle dekoracji przedstawiającej miejscowe pastwisko, i śpiewali piosenkę o wyjeździe do Londynu. Obecnie mamy tylko rewie i ziemianie nie są już modni w świecie muzycznych rozrywek.

Oczywiście Ackroyd nie jest prawdziwym ziemianinem. Jest natomiast świetnie prosperującym fabrykantem — jeśli się nie mylę — kół do wagonów. Ma lat prawie pięćdziesiąt, purpurową twarz i miłe obejście. Zawarł sojusz z miejscowym proboszczem, wspomaga hojnie budżet parafii (choć krążą pogłoski, że w wydatkach na dom jest skąpy), popiera mecze krykieta, kluby młodzieży oraz organizacje inwalidów wojennych. Jednym słowem, jest główną osobą naszego sennego miasteczka.

Kiedy Roger Ackroyd miał lat dwadzieścia jeden, zakochał się, a następnie ożenił z piękną kobietą, pięć czy sześć lat od niego starszą. Nazywała się Paton, była wdową i miała dziecko. Losy tego małżeństwa były krótkie i smutne. Mówiąc bez ogródek, pani Ackroyd okazała się alkoholiczką. W cztery lata po ślubie udało się jej wreszcie zapić na śmierć.

Ackroyd nie okazywał później chęci rzucenia się w nową małżeńską przygodę. Syn z pierwszego małżeństwa pani Ackroyd miał lat siedem, kiedy matka jego zmarła. Teraz ma lat dwadzieścia pięć. Ackroyd zawsze uważał go za własnego syna i w tym duchu wychował. Chłopak jest rozpuszczony — wieczne źródło żartów i kłopotów ojczyma. Niemniej wszyscy w King's Abbot lubimy Ralfa Patona. Przede wszystkim jest wyjątkowo przystojny.

Jak już powiedziałem, bardzo chętnie plotkujemy w naszym miasteczku. Wszyscy też zdążyliśmy zauważyć, że Ackroyd i pani Ferrars żyją w wielkiej przyjaźni. Po śmierci pana Ferrarsa przyjaźń ta stała się jeszcze bardziej widoczna. Często widywano ich razem i przypuszczano, że po okresie żałoby pani Ferrars zostanie panią Ackroyd. Uważano to za rzecz najzupełniej słuszną: żona Rogera

Ackroyda zmarła — co nie było tajemnicą — od nadużywania alkoholu. Ashley Ferrars już wiele lat przed śmiercią był pijakiem. Dlaczego te dwie ofiary alkoholu nie miałyby wynagrodzić sobie wzajemnie tego wszystkiego, co niegdyś wycierpiały od poprzednich małżonków?

Ferrarsowie sprowadzili się do King's Abbot dopiero przed rokiem, natomiast Ackroyda otaczała aura plotek już od wielu lat. W czasie gdy Ralf Paton wyrastał na mężczyznę, gospodarstwem Ackroyda zarządzała kolejno cała sfera gospodyń, a każda była przyjmowana przez Karolinę i jej współplotkarzy z wielką podejrzliwością. Nie przesadzę, jeśli powiem, że przynajmniej od piętnastu lat całe miasteczko żyło w oczekiwaniu, kiedy Ackroyd poślubi jedną ze swoich gospodyń. Ostatnia z nich, wzbudzająca postrach panna Russell, rządziła niezachwianie już od pięciu lat, dwa razy dłużej niż którakolwiek z jej poprzedniczek. Powszechnie uważano, że gdyby nie pojawienie się pani Ferrars, Ackroyd tym razem by nie umknął. To właśnie — i jeszcze jeden czynnik, a mianowicie nieprzewidziany przyjazd z Kanady i zamieszkanie w Fernly Park szwagierki Rogera Ackroyda, pani Cecilowej Ackroyd, wdowy po niezbyt zamożnym jego młodszym bracie, i jej córki Floty — przyczyniło się, zgodnie z opinią Karoliny, do osłabienia wpływów panny Russell.

Nie wiem dokładnie, na czym polega „osłabienie wpływów” — brzmi to przygnębiająco i nieprzyjemnie — ale wiem, że panna Russell chodzi po miasteczku z zaciśniętymi ustami i z czymś, co mogę określić jedynie jako kwaśny uśmiech, i wyraża najwyższą sympatię dla „biednej pani Ackroyd, żyjącej z jałmużny szwagra”. „Darowany chleb jest gorzki, nieprawdaż? Ja byłabym bardzo nieszczęśliwa, gdybym nie mogła zapracować na życie!”.

Nie mam pojęcia, co pani Ackroyd myślała o całej tej sprawie, kiedy znalazła się ona na tapecie, ale bez wątpienia było dla niej korzystniejsze, by Ackroyd nie żenił się powtórnie. Niemniej była zawsze miła — a nawet czarująca — dla pani Ferrars. Karolina twierdzi, że to niczego nie dowodzi.

Oto czym zajmowaliśmy się w King's Abbot przez ostatnie kilka lat. Obgadywaliśmy Ackroyda i jego sprawy na wszelkie możliwe sposoby. A potem pani Ferrars wskoczyła na swoje miejsce w gotowy już obraz lokalnych stosunków.

Obecnie w kalejdoskopie nastąpiła zmiana obrazu. Zostaliśmy oderwani od lekkich rozmów na temat ewentualnych prezentów ślubnych i rzuceni w sam środek tragedii.

Rozmyślając o tych i innych sprawach, wyruszyłem na obchód pacjentów. Tego dnia nie czekały mnie żadne interesujące przypadki — może to i lepiej, gdyż myślami ciągle wracałem do tajemnicy śmierci pani Ferrars. Czy sama odebrała sobie życie? Przecież gdyby to uczyniła, znaleziono by jakiś list wyjaśniający tragedię. Z doświadczenia wiem, że kobiety, jeśli już zdecydują się popełnić samobójstwo, przeważnie pragną wyznać, co je doprowadziło do tak dramatycznego rozwiązania. Kobiety zawsze dążą do sławy, nawet pośmiertnej.

Kiedy widziałem się z nią po raz ostatni? Chyba nie dalej jak tydzień temu. Jej zachowanie było dość normalne, przyjmując, no... uwzględniając sytuację.

Nagle jednak przypomniałem sobie, że widziałem ją/ chociaż z nią nie rozmawiałem, jeszcze wczoraj. Szła w towarzystwie Ralfa Patona. Zdziwiłem się nawet, bo nie miałem pojęcia, że ten młody człowiek przebywa w King's Abbot. Słyszałem o jakimś nieporozumieniu między nim a

ojczy mem. Nikt go tu nie widział od prawie sześciu miesięcy. Pani Ferrars i Ralf Paton szli, pochyliwszy ku sobie głowy, a pani Ferrars żywo coś opowiadała.

Prawdę mówiąc, już wtedy miałem jakieś przeczucie tego, co potem nastąpiło. Nie było to na razie nic określonego, jedynie mętna świadomość nieoczekiwanych wypadków. Odniosłem niemiłe wrażenie z owego najwidoczniej ważnego *tête-à-tête* Ralfa Patona i pani Ferrars.

Jeszcze o tym rozmyślałem, kiedy stanąłem oko w oko z Rogerem Ackroydem.

— Sheppard! — wykrzyknął. — Właśnie pana szukałem. Co za straszny wypadek!

— Już pan słyszał?

Skinął głową. Widziałem, że odczuł ten cios bardzo boleśnie. Jego duże, czerwone policzki jakby się zapadły; sprawiał wrażenie cienia własnej tryskającej zwykle zdrowiem osoby.

— Sprawa przedstawia się gorzej, niż pan to sobie wyobraża — powiedział spokojnie. — Doktorze Sheppard, muszę z panem porozmawiać! Może pan wpaść do mnie teraz?

— To niemożliwe. Zostało mi jeszcze trzech chorych, a od dwunastej przyjmuję pacjentów u siebie.

— W takim razie po południu... albo nie, niech pan przyjdzie do mnie na kolację. O wpół do ósmej. Odpowiada panu?

— Tak. Chyba będę mógł. Ale co się stało? Kłopoty z Ralfem?

Sam nie wiem, dlaczego spytałem o Ralfa — może dlatego, że Ralf był tak często przyczyną kłopotów Ackroyda.

— Z Ralfem? — spytał, jakby nie rozumiejąc. — Ależ nie, nie! Ralf jest w Londynie... O psiakrew! Idzie stara panna Ganett! Nie chcę, żeby mnie przyłapała i zaczęła rozmowę na ten straszny temat. Więc do wieczora. Wpół do ósmej!

Skinąłem głową i Ackroyd szybko odszedł. Zacząłem się zastanawiać: Ralf w Londynie? Ale przecież z pewnością widziałem go w King's Abbot poprzedniego dnia! Musiał wrócić do Londynu wieczorem albo dziś wcześniej rano. Jednakże zachowanie Ackroyda dawało mi podstawy do zupełnie innych wniosków. Mówił tak, jakby Ralfa nie było tu od wielu miesięcy.

Nie miałem jednak czasu na dalsze rozważania. Panna Ganett już mnie dopadła, żadna informacji. Panna Ganett ma wszystkie cechy mojej siostry, brak jej jedynie owej bezbłędnej intuicji i umiejętności wyciągania ostatecznych wniosków, co nadaje cechę wielkości taktyce Karoliny. Gnana ciekawością panna Ganett zamieniła się w znak zapytania.

Czyż to nie straszny wypadek z tą biedną, drogą panią Ferrars? Wielu znajomych mówi, że od lat była zapamiętałą narkomanką. Jakże to nieładnie ze strony niedobrych ludzi mówić podobne rzeczy! A mimo wszystko, i to jest najgorsze, w takich fantastycznych przypuszczeniach bywa zwykle

ziarenko prawdy. Nie ma dymu bez ognia. Ludzie mówią też, że pan Ackroyd dowiedział się o tym i zerwał zaręczyny — bo podobno oni byli zaręczeni! Ona, panna Ganett, ma na to wiarygodne dowody. Naturalnie ja, jako doktor, na pewno wiem o tym. Lekarze zawsze wiedzą, tylko nigdy nic nie mówią.

Wszystko to wypowiadała, przesywając mnie ostrym spojrzeniem paciorkowatych oczu. Chciała zobaczyć, jak zareaguję na jej słowa. Na szczęście doświadczenie nabyte w obcowaniu z Karoliną nauczyło mnie zachowywać obojętność przy tego rodzaju rozmowach i mieć na podorędziu nic nieznaczące odpowiedzi.

Pogratulowałem panie Ganett, że nie dołączyła się do grona plotkarzy rozpuszczających różne złośliwe pogłoski. Pomyślałem sobie, że raczej zręcznie odparłem atak. Pozostawiłem pannę Ganett w rozterce; nim zdołała zebrać nowe siły, poszedłem w swoją drogę.

Wróciłem do domu zamyślony. W poczekalni zastałem już sporą grupkę pacjentów.

Zdawało mi się, że odprawiłem ostatniego, i miałem właśnie zamiar spędzić przed obiadem kilka chwil w ogrodzie, kiedy zauważyłem jeszcze jedną osobę. Była to kobieta. Wstała i zbliżyła się do mnie. Spoglądałem na nią nieco zdziwiony.

Sam nie wiem, dlaczego byłem zdziwiony, chyba tylko dlatego, że o ile wiem, panna Russell ma prawdziwie końskie zdrowie i nic sobie nie robi ze wszystkich chorób na świecie.

Gospodyni Ackroyda jest wysoką niewiastą, przystojną, ale bardzo nieprzystępną. Spojrzenie ma surowe, usta zaciśnięte. Gdybym był pokojówką podlegającą jej rozkazom, tobym chyba uciekał gdzie pieprz rośnie na odgłos jej kroków.

— Dzień dobry, doktorze Sheppard — powiedziała. — Czy byłby pan łaskaw rzucić okiem na moje kolano?

Rzuciłem na nie okiem, ale mimo to nie stałem się wiele mądrzejszy. Panna Russell opisywała mi mętnie jakieś bolesne objawy, ale brzmiało to dosyć nieprzekonująco. Gdyby chodziło o kobietę mniejszych cnót, podejrzewałbym, że po prostu kłamie. Nawet i teraz przebiegła mi przez głowę myśl, iż świadomie opisuje ona nieistniejący ból kolana, aby przy okazji dowiedzieć się czegoś o okolicznościach zgonu pani Ferrars. Szybko jednak zorientowałem się, że czynię panie Russell krzywdę, podejrzewając ją o coś podobnego. Raz tylko, i to przelotnie, zahaczyła o sprawę tragicznego wypadku. Niemniej zwlekała z odejściem i chętnie przeciągała rozmowę.

— Dziękuję za lekarstwo, panie doktorze — powiedziała wreszcie. — Chociaż nie wierzę, żeby to bardzo pomogło.

Ja również w to nie wierzyłem, ale zaprotestowałem z obowiązku. W każdym razie nie mogło zaszkodzić, no a lekarz powinien być lojalny wobec narzędzi swego zawodu.

— Nie wierzę w żadne lekarstwa — oświadczyła panna

Russell, wodząc z lekceważeniem oczami po rzędach butelek. — Lekarstwa czynią wiele złego. Na

przykład niech pan pomyśli o kokainie...

— No, jeśli o to idzie...

— Właśnie, ileż ma ofiar w lepszych sferach...!

Jestem pewien, że panna Russell dużo lepiej niż ja zna życie wyższych sfer. Nie próbowałem więc polemizować z nią na ten temat.

— Niech pan mi powie, doktorze — odezwała się po chwili. — Przypuśćmy, że jest się niewolnikiem narkotyku. Czy są sposoby wyleczenia?

Trudno w paru słowach odpowiedzieć na podobne pytanie, wygłosiłem więc mały referat, a panna Russell słuchała ze skupioną uwagą. Ciągle jeszcze podejrzewałem, że przyszła dowiedzieć się szczegółów śmierci pani Ferrars.

— Na przykład weronal... — ciągnąłem.

Ale choć dziwne może się to wydawać, panna Russell nie interesowała się weronalem. Przerwała mi i zmieniła temat. Spytała, czy to prawda, że nie można czasami wykryć działania rzadko spotykanych trucizn.

— Ha! Widzę, że czytuje pani powieści kryminalne — odparłem.

Przyznała, że czytuje.

— Najważniejsze w powieści kryminalnej jest zastosowanie rzadkiej, jeśli to możliwe, jakiejś południowoamerykańskiej trucizny, o której nikt nigdy nie słyszał, czegoś, czego dzikie plemiona tubylców używają do zatruwania strzał. Śmierć jest natychmiastowa, a nauka europejska staje wobec niej bezsilna i nie potrafi jej wykryć. O to pani chodzi?

— Tak, czy taka trucizna w ogóle istnieje? Z żalem potrząsnąłem głową.

— Niestety nie. Naturalnie jest kurara.

Podaliśmy kilka szczegółów dotyczących kurary, ale zainteresowanie panny Russell znowu osłabło. Spytała tylko, czy mam kurarę w szafie z truciznami, a gdy odpowiedziałem przecząco, straciłem, jak mi się wydaje, bardzo wiele w jej oczach.

Powiedziała wreszcie, że musi już iść, odprowadziłem ją więc do drzwi gabinetu właśnie w chwili, gdy rozległ się gong obiadowy.

Nigdy nie podejrzewałbym gospodyni Ackroyda o zamiłowanie do powieści kryminalnych. Bawi mnie bardzo myśl, że panna Russell wychodzi na przykład ze swego pokoju, by zwymyślać opieszłą pokojówkę, a potem zabiera się ze spokojem do „Tajemnicy siódmej śmierci” albo czegoś takiego.

Rozdział trzeci

Człowiek, który hoduje dynie

W czasie obiadu powiedziałem Karolinie, że na kolację jestem zaproszony do Fernly Park. Moja siostra nie wyraziła sprzeciwu. Wręcz odwrotnie.

— Wspaniale — powiedziała. — Wszystkiego się dowiesz. Aha, skoro o tym mówimy, co to za kłopoty z Ralfem?

— Z Ralfem?! — zawołałem zdziwiony. — Nie ma żadnych kłopotów.

— No to dlaczego mieszka w gospodzie Pod Trzema Dzikami, a nie w Fernly?

Nawet mi przez głowę nie przeszło, by przeczyć twierdzeniu Karoliny, że Ralf Paton przebywa w miejscowej gospodzie. Skoro Karolina tak powiedziała, to tak być musiało.

— Ackroyd coś wspomniał, że Ralf jest w Londynie — odparłem. Zaskoczony zapomniałem o cennej zasadzie niedzielenia się z siostrą wiadomościami.

— Ach, tak! — wykrzyknęła Karolina.

Pewnie się nad tym zamyśliła, gdyż drgał jej koniuszek nosa.

— Wczoraj rano przyjechał do gospody Pod Trzema Dzikami — wyjaśniła. — I nadal tam przebywa. A wieczorem widziano go z dziewczyną.

To mnie zupełnie nie zdziwiło, gdyż Ralf — a powinienem był o tym wspomnieć — spędza większość swoich wieczorów z dziewczynami. Zastanawiałem się tylko, dlaczego do ulubionego zajęcia wybrał sobie King's Abbot, a nie wesołą stolicę.

— Któraś z barmanek? — spytałem.

— Nie. Właśnie, że nie. Wiem, że wyszedł na spotkanie, lecz nie wiem z kim.

(Jakże ciężko musi być Karolinie przyznawać się do podobnej porażki.)

— Ale domyślam się — ciągnęła moja niezmordowana siostrzyczka.

Milczałem cierpliwie.

— Ze swoją kuzynką!

— Z Florą Ackroyd?! — wykrzyknąłem zdumiony. Oczywiście Flora Ackroyd nie jest żadną

krewną Ralf a

Patona, ale ponieważ od tak wielu lat wszyscy w okolicy uważają go za syna Rogera Ackroyda, przyjęło się również nazywać ich kuzynami.

— Z Florą Ackroyd — potwierdziła Karolina.

— Przecież mógł iść do Fernly, gdyby chciał się z nią widzieć!

— Oni są po kryjomu zaręczeni — wyjaśniła Karolina, promieniejąc zadowoleniem. — Stary Ackroyd nie chce o niczym podobnym słyszeć i dlatego młodzi muszą spotykać się ukradkiem.

W rozumowaniu Karoliny dostrzegałem wiele błędów logicznych, nie chciałem ich jednak wskazywać. Niewinna uwaga o naszym nowym sąsiedzie spowodowała zmianę tematu.

Sąsiadujący z naszym dom, tak zwany Modrzewiowy Dworek, wynajęty został ostatnio przez kogoś obcego. Ku swemu wielkiemu utrapieniu Karolina dowiedziała się tylko tyle, że jest on cudzoziemcem. Jej służba wywiadowcza zawiodła na całej linii. Prawdopodobnie nowy sąsiad kupuje mleko, mięso, jarzyny i od czasu do czasu ryby, jak wszyscy inni ludzie, ale dostawcy tych artykułów nie zdołali niczego się o nim dowiedzieć. Mężczyzna ów nazywa się podobno Porrott — nazwisko to brzmi jakoś bardzo nieprawdźiwie. Mimo trudności zdołaliśmy dowiedzieć się jednej rzeczy o tym panu: z zapalem hoduje on dynie.

Niestety, nie jest to informacja z kategorii pożądaných przez Karolinę, która chciałaby wiedzieć, skąd przyjechał, co robi, czy jest żonaty, kim była lub jest jego żona, czy ma dzieci, jak brzmi nazwisko panięskie jego matki i tym podobne. Myślę, że kwestionariusz paszportowy opracowywała jakaś dusza pokrewna mojej siostrze.

— Droga Karolino — powiedziałem — chyba nie ma wątpliwości co do zawodu tego pana. Z pewnością jest emerytowanym fryzjerem. Spójrz tylko na jego wąsy.

Karolina nie zgodziła się ze mną. Gdyby ów człowiek był fryzjerem, miałby włosy falujące, a nie proste. Wszyscy fryzjerzy mają falujące włosy.

Wymieniłem wielu znanych mi osobiście fryzjerów, którzy mieli włosy proste, ale Karolina nie dała się przekonać.

— Zupełnie nie mogę go rozgryźć — powiedziała z żalem. — Parę dni temu pożyczyłam od niego kilka narzędzi ogrodniczych. Był bardzo uprzejmy, lecz niczego się nie dowiedziałam. Spytałam go wprost, czy jest Francuzem. Odpowiedział tylko, że nie, i jakoś nie miałam odwagi dalej pytać.

Moje zainteresowanie tajemniczym sąsiadem znacznie wzrosło. Człowiek, który' Karolinę, niby królową Saby, potrafi zmusić do milczenia, odprawić z kwitkiem, musi być wybitną jednostką.

— Zdaje mi się — powiedziała Karolina — że on ma elektroluks nowego typu.

W oczach siostry zauważyłem błysk zdradzający myśl o możliwości pożyczania elektroluksu.

Skorzystałem z tego i wymknąłem się z domu. Dosyć lubię pracę w ogrodzie. Pochłonięty byłem pieleniem korzeni brodawnika, kiedy nagle usłyszałem ostrzegawczy krzyk i koło ucha przeleciał mi jakiś ciężki pocisk, upadając z kłaśnięciem prosto pod nogi. Była to dynia.

Spojrzałem w górę ze złością. Ponad murem, trochę na lewo, pojawiła się jajowata głowa, w części pokryta podejrzanie czarnymi włosami, ozdobiona parą potężnych wąsów i przenikliwymi oczami. Był to nasz tajemniczy sąsiad, pan Porrott.

Natychmiast zaczął wylewnie przeproszać.

— Tysiąckrotnie błagam o wybaczenie, *monsieur*. Nie mam wytłumaczenia. Jest już wiele miesięcy, jak hoduję dynie. Dzisiejszego ranka ogarnął mnie gniew na moje dynie. Wysłałem je do stu diabłów, ha! Nie tylko w myślach, ale w rzeczywistości. Chwyciłem największą. Wyrzuciłem ją przez mur. Przepraszam, *monsieur*. Korzę się.

Po tak licznych słowach żalu mój gniew musiał ustąpić. Ostatecznie przekłeta bania mnie nie trafiła. Niemniej miałem szczerą nadzieję, iż przerwucanie dyń przez mur nie należy do stałych rozrywek mojego sąsiada.

Dziwny ów człowieczek jak gdyby czytał w moich myślach.

— Ach, nie — wykrzyknął. — Może pan być spokojny. To nie jest stały mój zwyczaj. Rozumie pan jednak, *monsieur*, że człowiek czasami poświęca się zdobyciu jakiegoś celu, w pocie czoła dąży do zorganizowania sobie nowego trybu życia, łączącego odpoczynek i pracę, a potem mimo wszystko dochodzi do wniosku, że ciągnie go ku dawnym, pełnym świetności czasom, ku dawnemu zajęciu, które tak bardzo chciał porzucić.

— Rozumiem — odpowiedziałem w zamyśleniu. — Wydaje mi się nawet, że to częste zjawisko. Ja sam może jestem tego przykładem. Rok temu otrzymałem spadek, dostatecznie duży, by spełnić moje marzenie. Zawsze chciałem podróżować, zobaczyć cały świat. Jak mówię, było to rok temu, i oto ciągle jestem tutaj.

Mój sąsiad skinął głową.

— Okowy przyzwyczajenia, *monsieur*. Pracujemy, by osiągnąć cel. Osiągnąwszy cel, stwierdzamy, że brak nam codziennych kłopotów i zajęć. A musi pan wiedzieć, że miałem ciekawą pracę. Najciekawszą pracę na świecie.

— Tak? — spytałem zachęcająco. Na chwilę zagościł we mnie duch Karoliny.

— Studia nad ludzkim charakterem, *monsieur*.

— Aha! — powiedziałem wyrozumiale.

Bez wątpienia, emerytowany fryzjer. Któż poznaje ludzki charakter lepiej niż fryzjerzy?

— Miałem również przyjaciela. Przyjaciela, który przez wiele lat stale mi towarzyszył. Czasami

okazywał głupotę, że aż mnie strach ogarniał. Niemniej, *monsieur*, mój przyjaciel był mi bardzo bliski. Proszę sobie wyobrazić, że brak mi nawet tej jego głupoty. Jego naiwność, nastawienie na uczciwość ludzi! Przyjemność, jaką odczuwałem, gdy mogłem zaskoczyć go wielkością mojego talentu! Ach, *monsieur*, tego mi brak, proszę mi wierzyć!

— Zmarł? — spytałem współczująco.

— Ależ nie! Żyje i powodzi mu się dobrze. Na drugiej półkuli. Jest teraz w Argentynie.

— W Argentynie — powtórzyłem z zazdrością. Zawsze pragnąłem pojechać do Ameryki Południowej.

Westchnąłem i podniosłem oczy. Pan Porrott przyglądał mi się z sympatią. Wyrozumiałały człowieczyna.

— Pojedzie pan tam, nie? — spytał.

Z westchnieniem potrząsnąłem przecząco głową.

— Mogłem pojechać — odparłem. — Rok temu. Ale okazałem się szalony, gorzej niż szalony, bo chciwy. Chwytałem cienie zamiast rzeczywistości.

— Pojmuję — rzekł pan Porrott. — Grał pan na giełdzie?

Pokiwałem ze smutkiem głową, ale w głębi duszy bawiłem się nawet. Ten śmieszny człowieczek był tak niesamowicie uroczy.

— Może kupował pan akcje pól naftowych Porcupine? — spytał nagle.

Spojrzałem zdumiony.

— Prawdę powiedziawszy, myślałem o nich, ale w rezultacie wpakowałem się w zachodnioaustralijskie kopalnie złota.

Mój sąsiad popatrzył na mnie z dziwnym wyrazem, którego nie potrafiłem zgłębić.

— Oto los! — powiedział wreszcie.

— Los? — spytałem ze złością.

— Mój los, że zamieszkałem w sąsiedztwie człowieka, który poważnie rozmyślał nad zakupem akcji pól naftowych Porcupine oraz zachodnioaustralijskich kopalń złota. Proszę mi powiedzieć, *monsieur*, czy— pan ma również słabość do rudych włosów?

Otworzyłem usta ze zdumienia, a pan Porrott wybuchnął śmiechem.

— Nie, nie, ja nie cierpię na chorobę umysłową. Proszę nie okazywać niepokoju. W istocie

zadalem panu glupie pytanie, ale wlasnie mój mlody przyjaciel, o którym wspominalem, uważal, że wszystkie kobiety to anioły i że prawie wszystkie są piękne. Ale pan, mężczyzna w średnim wieku, lekarz, człowiek, który rozumie pojęcie śmieszności i względną wartość rzeczy w tym naszym życiu! No, jesteśmy sąsiadami. Tysiącrotnie błagam o przyjęcie w formie prezentu dla pana wybitnej siostry, *monsieur*, tej oto największej dyni!

Pochylił się i pięknym gestem podał mi olbrzymiego przedstawiciela dyniego rodu, którego przyjąłem równie uprzejmie, jak mi go ofiarowano.

— W istocie, nie jest to dzień stracony — powiedział wesoło pocieszny człeczyna. — Poznałem pana, a pan mi w pewnych cechach przypomina nieobecnego tu przyjaciela. Ale, przy okazji! Pragnę zadać panu pytanie. Bez wątpienia zna pan, *monsieur*, wszystkich ludzi w miasteczku. Kim jest młody człowiek o ciemnej czuprynie, ciemnych oczach i przyjemnej twarzy? Chodzi z głową wysoko podniesioną i na ustach ma miły uśmiech.

Opis nie pozostawiał żadnych wątpiwości.

— To na pewno kapitan Ralf Paton — powiedziałem wolno.

— Nie widziałem go nigdy przedtem.

— Od wielu miesięcy go tu nie było. Jest synem, właściwie adoptowanym synem pana Ackroyda z Fernly Park.

Mój sąsiad niecierpliwie machnął ręką.

— Ach, naturalnie, powinienem był odgadnąć. Pan Ackroyd mówił mi o nim wielokrotnie.

— Pan zna Rogera Ackroyda? — spytałem trochę zdziwiony.

— Poznałem pana Ackroyda w Londynie. Gdy zaprowadziła mnie tam moja praca. Prosiłem go, aby tutaj nic nie wspominał o moim zawodzie.

— Pojmuję — odparłem raczej rozbawiony tym widowym objawem snobizmu, gdyż tak to rozumiałem.

Ale mój malutki sąsiad ciągnął nieomal z wyniosłym uśmiechem:

— Lepiej tu mieszkać incognito. Nie szukam oklasków. Nawet nie trudzę się, aby poprawić lokalną wersję mojego nazwiska.

— Ach tak! — odparłem, nie wiedząc właściwie, co powiedzieć.

— Kapitan Ralf Paton — mruknął pan Porrott. — A więc jest zaręczony z bratanicą pana Ackroyda, uroczą panną Florą!

— Któż to panu powiedział? — zapytałem zdumiony.

— Pan Ackroyd. Jakiś tydzień temu. Bardzo jest zadowolony. Od dawna pragnął, aby do tego związku doszło. Tak w każdym razie zrozumiałem. Wydaje mi się nawet, że wywarł w tym kierunku pewien nacisk na młodego człowieka. To nie jest nigdy rzeczą roztropną. Młody człowiek powinien się żenić, z kim mu się podoba. Ale nie z kim się podoba jego ojczymowi, po którym oczekuje spadku.

Moje dotychczasowe teorie zostały całkowicie rozbite. Nie wyobrażałem sobie, by Ackroyd zwierzał się z podobnych spraw fryzjerowi i omawiał z nim małżeństwo swojego pasierba i bratanicy. Ackroyd jest bardzo przychylny niższym klasom, ale ma wysokie poczucie własnej godności. Zacząłem podejrzewać, że pan Porrott nie jest jednak fryzjerem.

By ukryć zdziwienie, zadałem pierwsze lepsze pytanie, jakie mi przyszło do głowy:

— Co zwróciło pana uwagę na Patona? Jego uroda?

— Nie, nie tylko to... choć muszę przyznać, że jest on niezwykle przystojny jak na Anglika. Wasze pisarki określiłyby go mianem greckiego boga. Ale nie, w tym młodym człowieku jest coś, czego nie rozumiem.

Ostatnie zdanie powiedział pełnym zamyślenia tonem, który wywarł na mnie duże wrażenie. Zupełnie jakby chciał rozgryźć młodego człowieka na podstawie jakichś nieznanymi mi osobiście informacji. Z tym wrażeniem odszedłem od muru, gdyż usłyszałem głos siostry wzywającej mnie z głębi domu.

Karolina miała kapelusz na głowie i, jak mi się wydawało, wróciła właśnie z miasteczka. Zaczęła bez wstępów:

— Spotkałam pana Ackroyda.

— I co? — spytałem.

— Oczywiście zatrzymałam go, ale się bardzo spieszył i szybko się pożegnał.

Co do tego nie miałem wątpliwości. Jego stosunek do Karoliny musiał być taki sam jak do panny Ganett albo może jeszcze mniej chętny, gdyż Karoliny trudniej się pozbyć.

— Zapytałam go od razu o Ralfa. Był zdumiony. Nie miał pojęcia, że chłopak tu przyjechał. Nawet próbował mi wmówić, że się mylę. Ja bym się miała mylić!

— W istocie, śmieszne przypuszczenie — przytaknąłem. — Jakże mógł coś podobnego o tobie pomyśleć!

— Natomiast powiedział mi, że Ralf i Flora są zaręczeni.

— Wiem o tym — odparłem z pewną dumą.

— Kto ci powiedział?

— Nasz nowy sąsiad.

Karolina zupełnie wyraźnie zawahała się chwilę, tak jak kulka ruletki waha się na granicy dwóch liczb. Wreszcie jednak zrezygnowała z pokusy pytania mnie o cokolwiek.

— Powiedziałałam panu Ackroydowi, że Ralf mieszka w gospodzie Pod Trzema Dzikami.

— Karolino! — zwróciłem się do niej surowo. — Czy nigdy nie zastanawiasz się nad tym, ile złego możesz zrobić, powtarzając to wszystko bez zastanowienia?

— Bzdura! — obruszyła się Karolina. — Bardzo dobrze, gdy ludzie wszystko wiedzą. Informowanie ich uważam za swój obowiązek. Pan Ackroyd był mi bardzo wdzięczny.

— No i co? — spytałem tylko, gdyż Karolina najwidoczniej była gotowa mówić dalej.

— Zdaje mi się, że pan Ackroyd poszedł prosto do gospody Pod Trzema Dzikami. I naturalnie nie zastał tam Ralfa.

— Nie?

— Nie. Bo jak wracałam przez las, to...

— Wracałaś przez las? — przerwałem. Nawet Karolina musiała się zaczerwienić.

— Dzień był taki ładny! — wykrzyknęła. — Chciałam się trochę przejść. Drzewa w swojej jesiennej szacie są takie piękne.

Karolinę nic nie obchodzą drzewa o żadnej porze roku. Las jest dla niej zawsze miejscem, gdzie można sobie przemoczyć nogi lub gdzie na głowę mogą spaść człowiekowi różne nieprzyjemne rzeczy. Nie, do miejscowego lasu poprowadził ją zdrowy instynkt ichneumona! Jest to jedyne miejsce w pobliżu King's Abbot, gdzie nie będąc widzianym przez całe miasteczko, można porozmawiać sobie z dziewczyną. Las ten przylega do posiadłości Fernly Park.

— No, mów dalej! — zachęciłem ją.

— Jak już powiedziałałam, szłam właśnie przez las, kiedy usłyszałam głosy...

— I co dalej?

— Jednym z rozmawiających był Ralf Paton. Poznałam go od razu. Drugi głos należał do dziewczyny. Naturalnie nie miałam zamiaru podsłuchiwać...

— Naturalnie, że nie — poparłem ją zjadliwie. Jak zwykle zjadliwość ta nie wywarła na Karolinie żadnego wrażenia.

— Ale po prostu nie mogłam nie słyszeć, o czym mówili. Dziewczyna powiedziała coś, nie dosłyszałam co, a Ralf odpowiedział. Był chyba bardzo zły. Mówił: „Moja droga, czy nie zdajesz

sobie sprawy, że stary z pewnością zostawi mnie bez szylinga przy duszy? On już od paru lat krzywo na mnie patrzy. Jeszcze taka jedna sprawa, a będzie miał dosyć. A nam potrzeba pieniążków, moja droga. Zostanę bogatym człowiekiem, kiedy stary wykituje. Skąpy to on jest jak rzadko, ale pławi się w forsie. Nie mam zamiaru ryzykować zmiany testamentu. Zostaw to mnie i o nic się nie martw”. Dokładnie tak powiedział! Pamiętam doskonale! Na nieszczęście stąpnęłam na suchą gałązkę czy coś takiego i oni oboje zniżyli głos i poszli gdzieś w głąb lasu. Naturalnie nie mogłam ich gonić, więc nie wiem, kim była ta dziewczyna.

— To musi być dla ciebie straszne — zauważyłem. — Przypuszczam jednak, żeś popędziła do gospody Pod Trzema Dzikami. Tam zrobiło ci się słabo, więc weszłaś do baru na kieliszek koniaku, dzięki czemu mogłaś zobaczyć, czy obie barmanki są za kontuarem.

— On nie rozmawiał z barmanką — bez chwili wahania

odparła Karolina. — Właściwie jestem prawie zupełnie pewna, że to była Flora Ackroyd, tylko że...

— Tylko że to wszystko nie miałoby sensu, co? — dokończyłem.

— Ale jeśli nie Flora, to kto to mógł być’?

Moja siostra szybko przebiegła nazwiska wszystkich panien mieszkających w okolicy, przy każdym wymieniając uzasadnienie „za” lub „przeciw”.

Kiedy przerwała dla nabrania oddechu, bąknąłem coś o pacjencie i wymknąłem się.

Miałem zamiar udać się do gospody. Być może, Ralf Paton już wrócił.

Znałem Ralfa bardzo dobrze, może nawet lepiej niż ktokolwiek w King’s Abbot, gdyż nasza znajomość datowała się od chwili jego urodzenia. A przedtem znałem już jego matkę. Dlatego też rozumiałem go dobrze w tych wypadkach, które dziwiły innych. W pewnym sensie Ralf Paton jest ofiarą dziedzictwa. Co prawda nie odziedziczył po matce nieszczęsnego zamiłowania do alkoholu, niemniej w jego charakterze objawiły się różne słabości. Tak jak to oświadczył dziś po obiedzie mój nowy sąsiad, Ralf był nadzwyczaj przystojnym młodym człowiekiem. Około metra osiemdziesięciu wzrostu, doskonale zbudowany, o zgrabnych ruchach atlety, brunet podobnie jak matka, o twarzy przyjemnej, smagłej, zawsze skorej do uśmiechu. Należał do ludzi, którzy z wrodzoną łatwością zdobywają sympatię otoczenia. Styl życia miał ekstrawagancki, nie lubił sobie niczego odmawiać i niczego na świecie nie darzył szacunkiem. Niemniej nie można go było nie lubić, a wszyscy jego przyjaciele byli mu niesłychanie oddani.

Czy można by jakoś wpłynąć na tego chłopaka? Doszedłem do wniosku, że można.

W gospodzie dowiedziałem się, że kapitan Paton właśnie wrócił. Odszukałem jego pokój i wszedłem bez zapowiadania.

Pamiętając, co mi mówiono i co sam przypadkowo widziałem, żywiłem pewne obawy: jakie przyjęcie mnie czeka? Obawy te jednak okazały się płonne.

— Doktor Sheppard! Jakże się cieszę! — wykrzyknął Ralf na mój widok.

Podszedł z wyciągniętą ręką, szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

— Jedyne człowiek, którego witam z przyjemnością w tej cholerniej miejscinie!

Podniosłem brwi.

— A cóż ci ta miejscina zawiniła? Ralf zaśmiał się nerwowo.

— Długa historia. Niezbyt dobrze mi się ostatnio wiodło, doktorze. Napije się pan czegoś?

— Owszem, proszę.

Nacisnął dzwonek i rzucił się na krzesło.

— Żeby nie owijać sprawy w bawełnę — odezwał się ponuro. — Jestem w cholernych opałach. Gorzej: nie wiem zupełnie, jak z tego wybrnąć!

— Cóż się stało? — spytałem serdecznie.

— Mój przeklęty ojczym!

— Co takiego zrobił?

— Nie o to chodzi, co zrobił, ale co prawdopodobnie zrobi! Zjawił się służący i Ralf zamówił napoje. Kiedy zostaliśmy sami, Ralf zgarbił się w krześle i zmarszczył czoło.

— Czy to naprawdę tak poważna sprawa? — spytałem. Skinął głową.

— Tym razem nie do rozwiązania — odparł trzeźwo. Niespotykana powaga jego głosu przekonała mnie, że mówi prawdę. Wielkich trzeba było kłopotów, by Ralf stał się poważny.

— Sprawa jest tak skomplikowana — ciągnął dalej — że nie ma wyjścia z sytuacji. Absolutnie!

— Może mógłbym pomóc — zaofiarowałem się niepewnie. Ale Ralf zdecydowanie pokręcił głową.

— Dziękuję, doktorze. Ale nie mogę pana w to mieszać. Tę grę muszę rozegrać sam.

Przez minutę siedział w milczeniu, a potem powtórzył nieco innym tonem:

— Tak, tę grę muszę rozegrać sam...

Rozdział czwarty

Kolacja w Fernly

Parę minut po wpół do ósmej naciskałem dzwonek przy frontowych drzwiach Fernly Park. Drzwi zostały otwarte ze zdumiewającą szybkością przez lokaja Parkera. Wieczór był tak piękny, że przyszedłem pieszo. W wielkim czworokątnym hallu Parker odebrał ode mnie płaszcz. W tej samej chwili zobaczyłem Raymonda, sekretarza Rogera Ackroyda, idącego z plikiem papierów do gabinetu pana domu.

— Dobry wieczór, doktorze! Przyszedł pan na kolację czy też z wizytą zawodową?

Myśl o zawodowej wizycie musiała mu narzucić czarna torba, którą położyłem na dębowej skrzyni. Wyjaśniłem, że w każdej chwili spodziewam się wezwania do rodzącej, dlatego też jestem przygotowany na wszelki wypadek. Raymond skinął głową i poszedł w swoją stronę, rzucając jeszcze przez ramię:

— Proszę do salonu, doktorze! Zna pan drogę. Panie za chwilę zejda. Muszę zanieść te papiery panu Ackroydowi. Powiem mu, że pan już jest.

Parker zniknął z chwilą pojawienia się Raymonda, tak że znalazłem się w hallu sam. Poprawiłem krawat, spojrzałem w wielkie lustro na ścianie i wszedłem w drzwi na wprost, które — jak wiedziałem — prowadziły do salonu.

Naciskając kłamkę, usłyszałem ze środka jakiś odgłos — jakby ktoś spuszczał okno. Świadomość moja zarejestrowała to zupełnie mechanicznie. Jeszcze nie łączyłem tego z niczym ważnym.

Otworzyłem drzwi i wpadłem nieomal na pannę Russell, która właśnie wychodziła. Zaczęliśmy się wzajemnie przeproszać.

Właściwie po raz pierwszy zwróciłem baczniejszą uwagę na gospodynię i pomyślałem sobie, że niegdyś musiała być bardzo przystojną kobietą, a w pewnym sensie jest nią nadal. Wśród czarnych włosów trudno było dostrzec choć jedno siwe pasmo, a kiedy na jej twarz występowały rumieńce, tak jak na przykład w tej chwili, ostre spojrzenie nie rzucało się tak w oczy.

Zupełnie podświadomie doszedłem do wniosku, że panna Russell wróciła z dworu, gdyż oddychała szybko, jakby skądś biegła.

— Zdaje się, że przyszedłem za wcześnie — powiedziałem.

— Och, wcale nie, już jest po wpół do ósmej, doktorze!

— Przerwała na chwale, by zaraz dodać: — Nie wiedziałam, że ma pan być dziś na kolacji. Pan

Ackroyd nic mi o tym nie wspominał.

Odniosłem nieokreślone wrażenie, że moja wizyta w jakiś sposób nie odpowiada pannie Russell, ale nie mogłem dociec dlaczego.

— Jak kolano? — spytałem.

— Bez zmian, doktorze, dziękuję. Muszę już iść. Pani Ackroyd zaraz zejdzie. Ja tu przyszłam tylko po to, żeby... sprawdzić, czy są kwiaty.

Odeszła szybkim krokiem. Zbliżyłem się do okna, rozmyślając, dlaczego panna Russell tak bardzo chciała usprawiedliwić swoją obecność w saloniku. Jednocześnie zaobserwowałem — co mogłem już od dawna wiedzieć, gdyby mnie to obchodziło — że okna w pokoju sięgają ziemi i otwierają się na taras. Hałas, jaki poprzednio słyszałem, nie mógł więc być chyba odgłosem spuszczenia okien.

Zupełnie bezcelowo, raczej z chęci odegnania przykrych myśli niż z jakiegokolwiek innego powodu zabawiałem się, próbując odgadnąć źródło usłyszanych przed wejściem dźwięków.

Polana na kominku? Nie, to nie ten rodzaj szmeru. Szuflada w biurku nagle zasunięta? Nie, nie to.

Nagle wzrok mój padł na tak zwany srebrny stół z podnoszonym szklanym blatem, przez który widać zawartość gablotek pod spodem. Podeszedłem i zacząłem się przyglądać ustawionym tam przedmiotom — parę srebrnych bibelotów, pantofelek Karola I z okresu dzieciństwa, chińskie jaspisowe figuryńki oraz sporo afrykańskich przedmiotów codziennego użytku i ozdób. Chcąc lepiej przyjrzeć się jednemu z jaspisowych cacek, podniosłem szklany blat. Wyśliznął mi się z rąk i zatrzasnął.

Natychmiast rozpoznałem dźwięk usłyszany poprzednio; po prostu ktoś ostrożniej niż ja zamknął ten sam stół. Powtórzyłem doświadczenie parę razy i zyskałem całkowitą pewność. Wreszcie podniosłem blat, by dokładniej obejrzyć ustawione pod nim przedmioty.

Byłem wciąż nachylony nad srebrnym stołem, gdy do pokoju weszła Flora Ackroyd.

Wiele osób nie lubi Floty Ackroyd, ale każdy musi podziwiać jej urodę. Dla przyjaciół potrafi być czarująca. Pierwsza rzecz, która w niej uderza, to nadzwyczaj jasne włosy. Flora ma prawdziwie skandynawską urodę: włosy o bladozłotym odcieniu, oczy niebieskie jak wody norweskiego fiordu, skórę niby płatki róż, ramiona proste, chłopięce, biodra wąskie. Lekarzowi, który ma ciągle do czynienia z chorymi, przyjemnie jest napotkać podobny okaz zdrowia.

Prosta, szczerza angielska dziewczyna. Może jestem staromodny, ale dla mnie ten typ urody wytrzymuje konkurencję z miejskimi pannami.

Flora podeszła do srebrnego stołu i wyraziła bluźnierczą wątpliwość, czy Karol I kiedykolwiek nosił ów pantofelek.

— A poza tym — ciągnęła — rozczulanie się nad jakimiś rzeczami, bo ktoś je nosił, wydaje się szczytem nonsensu. Teraz ich nikt nie nosi i nikomu nie są potrzebne. Albo pióro, którym George

Eliot pisała „Młyn nad Flossą”, i tym podobne przedmioty. Pióro jest zawsze tylko piórem. Jeśli ktoś przepada za George Eliot, to niech kupi „Młyn nad Flossą” w tanim wydaniu i niech sobie czyta.

— Pani pewno nie lubi tak staromodnych powieści, panno Floro?

— Myli się pan, doktorze. Uwielbiam „Młyn nad Hossą”. Jej uznanie dla George Eliot sprawiło mi przyjemność.

Książki, którymi dzisiaj zaczytują się młode kobiety, wzbudzają moje oburzenie.

— Pan mi jeszcze nie składał gratulacji, doktorze — powiedziała Flora. — Nie wie pan nic?

Wyciągnęła lewą rękę. Na trzecim palcu zobaczyłem pierścionek z kosztownie oprawioną perłą.

— Wychodzę za Ralfa, nie słyszał pan? — ciągnęła. — Stryjek bardzo się cieszy. Dzięki temu pozostanę „w rodzime”, jak to się mówi.

Ująłem obie jej dłonie.

— Mam nadzieję, moja droga, że będzie pani bardzo szczęśliwa! — powiedziałem.

— Jesteśmy zaręczeni już od miesiąca — mówiła dalej Flora beznamiętnie — ale podaliśmy to do wiadomości dopiero wczoraj. Stryj chce odnowić dla nas Cross-Stones. Będziemy tam mieszkali i udawali farmerów. Ale w rzeczywistości całą zimę będziemy polować, w sezonie mieszkać w Londynie, a potem parę miesięcy spędzać na jachcie. Uwielbiam morze! No i naturalnie będę brała udział w życiu naszej parafii i nigdy mnie nie zabraknie na zebraniach Stowarzyszenia Matek.

W tym momencie, szeleszcząc suknią, weszła do saloniku pani Ackroyd i przeprosiła za spóźnienie.

Przykro mi się przyznać, że nie znoszę pani Ackroyd. Składa się ona z łańcuchów, zębów i kości. Bardzo nieprzyjemna kobieta. Ma niebieskie, wyblakłe, przenikliwe oczy i chociaż z jej ust płyną mogą najwylewniejsze słowa, spojrzenie pozostaje zawsze zimne i badawcze.

Pozostawiłem Florę przy oknie i poszedłem się przywitać. Pani Ackroyd podała mi do uściśnięcia kolekcję umocowanych razem pierścionków i kości, po czym zaczęła szczebiotać z satysfakcją:

— Czy słyszał pan o zaręczynach Flory? Jakże to pod każdym względem korzystny związek! Słodkie dzieciaki zakochały się od pierwszego wejrzenia. Jaka z nich doskonała para: on — ciemny brunet, ona — jasna blondynka. Doktorze, trudno mi wyrazić słowami radość i ulgę matczynego serca.

Pani Ackroyd westchnęła — był to hołd oddany matczynemu sercu. Oczy jej przez cały czas z uwagą spoczywały na mojej twarzy.

— Zastanawiałam się... Pan jest takim przyjacielem Rogera, doktorze! Wiemy, jak bardzo ceni on pańskie opinie i rady. To takie trudne dla mnie, w moim położeniu...! Pan rozumie, jako wdowie po

biednym Cecilu. Jest tyle skomplikowanych spraw do załatwienia... umowy, zapisy, wie pan! Jestem pewna, że Roger myśli o zapisie na rzecz Flory, ale jak pan wie, on jest taki dziwny, gdy idzie o sprawy finansowe. Podobno to zwykła rzecz między przemysłowymi tytanami. Tak słyszałam. Zastanawiałam się, czy nie mógłby pan wy badać go po prostu na temat jego zamierzeń. Flora tak pana lubi! Uważamy pana za naszego wielkiego przyjaciela, starego przyjaciela, chociaż właściwie znamy się dopiero od dwóch lat...

Potok wymowy pani Ackroyd został przerwany ponownym otwarciem drzwi do saloniku. Byłem z tego bardzo zadowolony. Nie znoszę wtrącania się do cudzych spraw i nie miałem najmniejszego zamiaru wspominać Ackroydowi o żadnych zapisach na rzecz Flory. Jeszcze chwila, a byłbym zmuszony tymi mniej więcej słowy powiedzieć to pani Ackroyd.

— Pan zna majora Blunta, doktorze?

— Oczywiście — odparłem.

Wiele osób zna Hektora Blunta; w każdym razie zna go ze słyszenia. Zastrzelił chyba więcej dzikich zwierząt w najbardziej zakazanych zakątkach świata niż ktokolwiek inny. Gdy wymienia się jego nazwisko, ludzie mówią: „Blunt? A, ten myśliwy, prawda?”.

Jego przyjaźń z Ackroydem była dla mnie zawsze niezrozumiała. Obaj panowie tak się od siebie różnią! Hektor Blunt jest o jakieś pięć lat młodszy⁷ od Ackroyda. Zaprzyjaźnili się jeszcze w młodzieńczych latach i chociaż ścieżki ich życia się rozeszły, przyjaźń przetrwała. Mniej więcej raz na dwa lata Blunt spędza dwa tygodnie w Fernly Park, a widowym symbolem przyjaźni jest olbrzymia głowa jakiegoś zwierzęcia z niezliczoną ilością rogów i patrzącymi szklisko oczami, która wita każdego gościa natychmiast po przekroczeniu progu domu.

Blunt wszedł do salonu sobie tylko właściwym, ostrożnym i miękkim krokiem. Jest to mężczyzna średniego wzrostu i silnej, choć przyciężkiej budowy. Twarz jego ma banwę nieomal mahoni i jest dziwnie bez wyrazu. Szare oczy robią wrażenie, jakby cały czas wpatrywały się w coś, co dzieje się bardzo daleko. Mówi mało, a kiedy już to czyni, wyrzuca z siebie urywane słowa, jak gdyby mu je wyszarpywano z ust wbrew jego woli.

Przywitał mnie teraz swoim: „Dzień dobry, doktorze Sheppard”, a potem stanął sztywno przed kominkiem, spoglądając nam ponad głowami, jakby zobaczył coś bardzo interesującego w okolicach Timbaktu.

— Majorze Blunt — odezwała się Flora — czy zechciałby mi pan powiedzieć coś o tych afrykańskich rzeczach? Z pewnością pan wie, do czego one służą.

Słyszałem, że Hektor Blunt jest wrogiem kobiet, lecz teraz podszedł z wielką gorliwością do srebrnego stolika, przy którym stała Flora. Oboje pochylili się nisko nad szklanym blatem.

Obawiałem się, że pani Ackroyd znowu zacznie mówić o zapisach majątkowych, więc szybko rzuciłem kilka uwag na temat nowego gatunku pachnącego groszku. Wiedziałem, że właśnie pokazała się nowa odmiana, gdyż przeczytałem o tym rano w „Daily Mail”. Pani Ackroyd nie ma pojęcia o

ogrodnictwie, ale należy do typu kobiet, które lubią popisywać się znajomością aktualnych zagadnień, a poza tym również czytuje „Daily Mail”. Dzięki temu mogliśmy prowadzić inteligentną rozmowę do chwili, gdy dołączyli do nas Roger Ackroyd i jego sekretarz. W chwilę potem Parker oznajmił, że kolacja podana.

Zająłem przy stole miejsce między panią Ackroyd i Florą. Po drugiej stronie pani Ackroyd siedział Blunt, a obok niego Geoffrey Raymond.

Kolacja była smutnym obrzędem. Ackroyd miał najwidoczniej zaprzątniętą czymś głowę. Wyglądał na zmęczonego, prawie nic nie jadł. Rozmowę podtrzymywałem ja, pani Ackroyd i Raymond. Na Florę działało przygnębienie stryja, Blunt zaś zapadł w swoje normalne milczenie.

Natychmiast po kolacji Ackroyd ujął mnie pod ramię i poprowadził do gabinetu.

— Parker przyniesie tu kawę; a potem już nam nikt nie będzie przeszkadzał — objaśnił. — Wyraźnie zapowiedziałem Raymondowi, żeby nam nie przeszkadzano...

Dyskretnie przyglądałem się Ackroydowi. Widać było, że znajduje się w stanie wielkiego wzburzenia. Przez kilka minut spacerował tam i z powrotem po pokoju, potem gdy wszedł Parker z kawą, zagłębił się w fotel stojący naprzeciw kominka.

Gabinet urządzony był wygodnie. Jedną ścianę zajmowały półki z książkami. Fotele były wielkie, pokryte ciemnoniebieską skórą. Pod oknem stało duże biurko, pełne papierów porządnie ułożonych w stosy. Na okrągłym stoliku leżały różne pisma i gazety sportowe.

— Ostatnio po jedzeniu znów miewam bóle — zauważył przelotnie Ackroyd, słodząc kawę. — Bardzo proszę o nową porcję tych pańskich proszków, doktorze.

Uderzyło mnie, że Ackroyd stara się, aby nasza obecna rozmowa miała charakter konsultacji lekarskiej. Zastosowałem się do tego:

— Właśnie o tym myślałem i nawet przyniosłem proszki.

— To świetnie. Poproszę o nie od razu.

— Zostawiłem je w torbie w hallu. Zaraz przyniosę. Ackroyd powstrzymał mnie.

— Proszę się nie kłopotać. Parker to zrobi. Parker, proszę przynieść torbę pana doktora Shepparda.

— Tak jest, proszę pana.

Parker opuścił gabinet. Już miałem coś powiedzieć, ale Ackroyd podniósł rękę.

— Jeszcze nie. Proszę poczekać. Widzi pan chyba, że jestem w strasznym stanie nerwów. Trudno mi się opanować.

Widoczne to było jak na dłoni. Czuję się dość nieswojo. Opadły mnie najróżniejsze przeczucia.

Prawie natychmiast Ackroyd znowu zaczął mówić:

— Proszę łaskawie sprawdzić, czy okno jest dobrze zamknięte.

Trochę zdziwiony wstałem i podszedłem do zwykłego angielskiego podnoszonego okna. Zasłonięte było ciężką welwetową kotarą niebieskiego koloru, ale samo okno ktoś otworzył.

Przez ten czas Parker wrócił z moją torbą.

— Zamknąłem — powiedziałem, wychodząc zza kotary.

— Na zasuwki, doktorze?

— Tak, tak. Co się z panem dzieje?

Parker już wyszedł, zamknąwszy za sobą drzwi. Inaczej nie zadałbym takiego pytania.

Ackroyd czekał chyba minutę, nim z wolna odpowiedział:

— Jestem w tragicznej sytuacji. Nie, niech pan nie wyciąga tych proszków. Mówiłem o nich tylko ze względu na obecność Parkera. Służba jest strasznie ciekawa. Drzwi są dobrze zamknięte, co?

— Zamknięte, nikt nie może podsłuchiwać, proszę się uspokoić.

— Doktorze Sheppard, nie zdaje pan sobie sprawy, co przecierpiałem przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Jeśli kiedykolwiek na czyjąś głowę zwałił się cały dom, to właśnie teraz na moją. Sprawa z Ralfem dopełniła wszystkiego. Ale o niej nie będziemy mówili. Tylko o tej drugiej sprawie, o tej drugiej... Nie wiem, jak postąpić. A zdecydować muszę szybko...

— O co chodzi?

Ackroyd milczał przez parę minut. Najwyraźniej nie miał ochoty zaczynać. Kiedy wreszcie przemówił, zadał pytanie, które mnie zaskoczyło. Nigdy bym tego nie oczekiwał!

— Doktorze, pan opiekował się Ashleyem Ferrarsem w czasie jego ostatniej choroby?

— Tak, ja.

Ackroyd z większym jeszcze trudem sformułował następne pytanie:

— Czy pan kiedykolwiek podejrzewał... Czy przemknęło panu przez myśl, że... no... że Ashley Ferrars mógł zostać otruty?

Teraz ja z kolei nie odzywałem się przez parę minut. Wreszcie zdecydowałem, co powiedzieć. Ostatecznie Ackroyd to nie Karolina.

— Będę szczery — zacząłem. — W owym czasie nie miałem żadnych podejrzeń, ale potem... No, co prawda, to było tylko czcze gadanie mojej siostry, lecz ono właśnie po raz pierwszy wzbudziło moje wątpliwości. I od tego czasu nie mogłem się ich pozbyć. W istocie jednak nie mam najmniejszych podstaw, by snuć podobne przypuszczenia.

— Ferrars został otruty — oznajmił Ackroyd. Mówił ciężkim, bezbarwnym głosem.

— Przez kogo? — spytałem ostro.

— Przez swoją żonę.

— Skąd pan to wie?

— Ona sama mi powiedziała.

— Kiedy?

— Wczoraj. Mój Boże! Wczoraj! A wydaje się, że minęły już lata od tej rozmowy.

Czekałem w milczeniu, wreszcie po dłuższej chwili Ackroyd zaczął mówić dalej:

— Naturalnie powtarzam to panu w absolutnej tajemnicy, doktorze. O tym nikt nie może wiedzieć. Potrzebuję pańskiej rady, nie potrafię sam udźwignąć ciężaru, który mnie przytłacza. Już przed chwilą panu powiedziałem: nie wiem, co robić.

— Nie mógłby mi pan powiedzieć wszystkiego dokładniej? — spytałem. — W dalszym ciągu mało z tego rozumiem. Jakże się stało, że pani Ferrars wyznała panu coś podobnego?

— Było to tak: trzy miesiące temu zaproponowałem pani Ferrars małżeństwo. Odmówiła. Po pewnym czasie spytałem znowu i zgodziła się, ale postawiła warunek, aby nasze zaręczyny pozostawały w tajemnicy, aż upłynie rok żałoby. Wczoraj ją odwiedziłem, przypomniałem, że minął już rok i trzy tygodnie, i powiedziałem, że nie powinno być obecnie żadnych przeszkód, by publicznie obwieścić nasze zamiary. Zauważyłem, że od kilku dni pani Ferrars zachowuje się bardzo dziwnie. W czasie mojej wizyty, bez najmniejszej ku temu przyczyny, załamała się zupełnie. I... i powiedziała mi wszystko. O swojej nienawiści do brutalnego męża, o rosnącej miłości do mnie... I o strasznym rozwiązaniu, jakie znalazła. Trucizna! Mój Boże! To było morderstwo z premedytacją!

W twarzy Ackroyda widziałem wstręt i przerażenie. To samo z pewnością zobaczyła i pani Ferrars. Ackroyd nie należy do gatunku owych wielkich kochanków, którzy z miłości potrafią wszystko wybaczyć. Jest on z gruntu tak zwanym dobrym obywatelem. Wszystko, co w nim jest prawego i szlachetnego, musiało zadrzeć i odwrócić się od pani Ferrars w chwili jej wyznania.

— Tak — ciągnął cichym, bezbarwnym głosem — wyznała mi wszystko. Okazuje się, że jest jeszcze jedna osoba, która od początku o wszystkim wiedziała. Ktoś, kto ją szantażował na wielkie sumy. Właśnie ten szantaż przyprawiał panią Ferrars prawie o szaleństwo.

— Kto to był? Kim jest ów mężczyzna?

Przed moimi oczami pojawił się nagle obraz Ralfa Patona i pani Ferrars idących razem, z głowami pochylonymi ku sobie. Przez chwilę serce zabiło mi niespokojnie. A jeśli... O nie, to chyba niemożliwe. Przypomniałem sobie moje popołudniowe spotkanie z Ralfem i jego szczerze, bezpośrednie zachowanie. Absurd!

— Nie chciała mi powiedzieć jego nazwiska — mówił wolno Ackroyd. — Nawet nie określiła wyraźnie, że to jest mężczyzna. Ale naturalnie...

— Naturalnie, naturalnie... — zgodziłem się. — To musiał być mężczyzna. A pan nie ma żadnych podejrzeń?

Zamiast odpowiedzi Ackroyd jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

— To niemożliwe — powiedział. — Jestem szalony, myśląc coś podobnego. Nie, nie wolno mi zdradzić przed panem, doktorze, bezsensownego podejrzenia, jakie zrodziło się w mojej głowie. Powiem panu tylko tyle: coś z tego, co powiedziała pani Ferrars, dało mi do myślenia, że ową osobą jest ktoś z mojego domu. Ale to niemożliwe, niemożliwe! Chyba ją źle zrozumiałem...

— I co pan jej powiedział?

— Cóż mogłem powiedzieć! Zauważyła oczywiście, jak okropne zrobiło to na mnie wrażenie. Zrodził się naturalnie problem, jak mam postąpić w tej sprawie. Uczyniła mnie przecież współnikiem popełnionej zbrodni. Zdaje się, że ona pojęła to szybciej niż ja. Byłem ogłuszony, może pan to łatwo zrozumieć. Pani Ferrars prosiła mnie o dwadzieścia cztery godziny — błagała, bym nic nie przedsięwziął przed upływem tego terminu. I uparcie odmawiała zdradzenia mi nazwiska łotra, który ją szantażował. Obawiała się pewno, że pójdę wprost do niego i zabiję go. A wtedy ona znalazłaby się w jeszcze gorszych opałach. Obiecała dać mi wiadomość przed upływem dwudziestu czterech godzin. Boże! Przysięgam panu, doktorze, nawet mi przez myśl nie przeszło, jakie miała zamiary. Samobójstwo! I ja ją do tego doprowadziłem!

— Ależ nie, nie! — uspokajałem Ackroyda. — Nie należy wyolbrzymiać całej sprawy. Odpowiedzialność za jej śmierć absolutnie pana nie obciąża.

— Pozostaje jednak problem, co powinienem teraz zrobić. Biedna kobieta nie żyje. Po co grzebać się w rzeczach minionych?

— W zupełności zgadzam się z panem — odparłem. — Ale jest jeszcze jedno. W jaki sposób pochwycić łotra, który doprowadził ją do śmierci równie pewnie, jak gdyby ją własnoręcznie zabił? On wiedział o pierwszej zbrodni i czekał, wysysał z niej zyski jak pijawka. Pani Ferrars zapłaciła za swoją zbrodnię. Czy on ma ująć bezkarnie?

— Rozumiem. Chciałby pan go wytropić. Ale to łączy się z roztrząsaniem całej historii przez prasę. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

— Tak, myślałem o tym. Cały czas łamię sobie nad tym głowę.

— Zgadzam się, że przestępca powinien być ukarany, ale należy się liczyć z ceną, jaką trzeba za to

zapłacić.

Ackroyd wstał i zaczął przechadzać się tam i z powrotem po gabinecie. Wreszcie znów zapadł w fotel.

— Doktorze Sheppard, może więc zostawimy wszystko tak, jak jest? Jeśli nie otrzymam od pani Ferrars żadnej wiadomości, to niech sprawy minione zostaną pogrzebane.

— Cóż pan ma na myśli, mówiąc o wiadomości od niej? — spytałem ciekawie.

— Jestem przekonany, że gdzieś i w jakiś sposób zostawiła dla mnie wiadomość, nim... odeszła. Trudno mi uzasadnić moją wiarę, ale ją mam.

Potrząsnąłem głową.

— Nie zostawiła nigdzie żadnego listu? — spytałem.

— Jestem przekonany, doktorze, że zostawiła. A ponadto nie mogę oprzeć się wrażeniu, że z własnej woli wybierając śmierć, pragnęła wydobyć całą sprawę na światło dzienne, przynajmniej po to, by zemścić się na człowieku, który doprowadził ją do ostateczności. Gdybym raz jeszcze z nią rozmawiał, powiedziała by mi nazwisko szantażysty i zobowiązała do wymierzenia mu sprawiedliwości za wszelką cenę. — Ackroyd spojrział na mnie. — Pan nie wierzy w tego rodzaju przeświadczenia, doktorze?

— O tak, w pewnym sensie, bez wątpienia. Jeśli jak pan mówi, przyjdzie od niej wiadomość...

Przerwałem, gdyż drzwi otworzyły się bezszelestnie i wszedł Parker, niosąc tackę z listami.

— Poczta wieczorna, proszę pana — rzekł, podając listy Ackroydowi.

Potem zebrał filiżanki po kawie i opuścił gabinet. Moja uwaga, zwrócona chwilowo w innym kierunku, skupiła się ponownie na Ackroydzie. Jak człowiek zamieniony w słup soli, wpatrywał się w długą, niebieską kopertę. Inne listy upuścił na ziemię.

— Jej pismo — wyszeptał. — Musiała wyjść z domu wczoraj wieczorem i wrzucić ten list do skrzynki, przed samym... samym...

Rozerwał kopertę i wyciągnął parę kartek. Spojrział na mnie przenikliwie.

— Na pewno zamknął pan okno?

— Na pewno — odparłem zdziwiony. — Czemu pan o to pyta?

— Przez cały wieczór miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi, szpieguje. Co to jest...?

Obrócił się nerwowo. Ja uczyniłem to także. Obu nam się wydało, że zamek szczęknął lekko. Poszedłem to sprawdzić i otworzyłem drzwi. Nie zobaczyłem nikogo.

— Nerwy — mruknął do siebie Ackroyd.

Rozłożył grube kartki papieru i zaczął czytać przytłumionym głosem:

Mój drogi, mój bardzo kochany Rogerze!

Życie za życie. Zrozumiałam i zobaczyłam to dziś po południu w Twojej twarzy. Wybieram więc jedyną drogę, jaka mi pozostaje. Tobie pozostawiani ukaranie osoby, która ostatni rok mojego życia uczyniła piekłem na ziemi. Nie chciałam Ci dziś po południu podać jej nazwiska, ale zamierzam uczynić to teraz. Nie mam dzieci ani krewnych, nie obawiam się więc hałasu w prasie. Jeśli możesz, Rogerze, mój drogi, kochany Rogerze, wybac mi krzywdę, jaką chciałam Ci wyrządzić. Wybac, bo kiedy nadeszła ta chwila, cofnęłam się...

Przerwał.

— Doktorze, proszę mi wybaczyć, resztę muszę przeczytać sam — powiedział niepewnie. — To jest przeznaczone dla moich oczu, wyłącznie dla moich oczu...

Wsunął list z powrotem do koperty i położył go na stole.

— Przeczyłam później, kiedy będę sam.

— Nie! — wykrzyknąłem impulsywnie. — Proszę przeczytać teraz.

Ackroyd spojrział na mnie z nieukrywanym zdziwieniem.

— Przepraszam — odparłem, czerwieniąc się. — Nie, proszę nie czytać na głos, ale niech pan przeczyta jeszcze w mojej obecności.

Ackroyd potrząsnął głową.

— Nie, poczekam.

Ale ja, z powodu, którego nie mogłem sam pojąć, namawiałem go dalej:

— Proszę przynajmniej zobaczyć nazwisko tego człowieka.

Ackroyd jest uparty jak osioł. Im więcej go się do czegoś namawia, tym bardziej jest zdecydowany tego nie zrobić. Wszystkie moje argumenty trafiały w próżnię.

List przyniesiono za dwadzieścia dziewięć. Opuściłem gabinet za dziesięć dziewięć — list jeszcze nie został odczytany. Zawahałem się chwilę, trzymając rękę na klamce, obróciłem się i zastanowiłem, czy powinienem był jeszcze coś uczynić. Nic mi nie przychodziło na myśl.

Potrząsnąłem głową i wyszedłem, zamykając za sobą drzwi.

Zaskoczy! mnie widok stojącego tuż obok Parkera. Wydawał się jakby zakłopotany. Pomyślałem, że pewno podsłuchiwał pod drzwiami.

Jaką chytrą i nieprzyjemną twarz miał ten człowiek! W jego oczach wyraźnie czaiła się przebiegłość.

— Pan Ackroyd specjalnie prosił, by mu nie przeszkadzano — powiedziałem zimno. — Prosił, abym ci to powtórzył!

— Tak jest, proszę pana. Ja... ja myślałem... zdawało mi się, że to dzwonek z gabinetu.

Było to tak jawne kłamstwo, że nie trzymałem się nawet, by odpowiedzieć. Parker odprowadził mnie do hallu i pomógł włożyć płaszcz. Wyszedłem w ciemną noc. Księżyc zniknął za chmurami i wszystko wydawało się czarne i nieruchome.

Zegar na kościele wybijał godzinę dziewiątą, kiedy mijałem bramę Fernly Park. Skręciłem drogą wiodącą w lewo do miasta i omal nie wpadłem na człowieka idącego w przeciwnym kierunku.

— Czy to jest Fernly Park, proszę pana? — spytał mnie obcy chrapliwym głosem.

Przyjrzałem mu się. Kapelusz miał opuszczony na oczy, kołnierz płaszcza podniesiony. Nie mogłem właściwie dostrzec jego twarzy, ale odniosłem wrażenie, że jest to młody człowiek. Głos miał ordynarny i jakby przepity.

— Tak, tu jest brama wjazdowa — odparłem.

— Dziękuję panu — powiedział i potem dodał zupełnie niepotrzebnie: — Ja jestem obcy w tych stronach, proszę pana.

Obróciłem się za nim, gdy wchodził w bramę.

Jego głos dziwnie przypominał mi kogoś znajomego, ale nie mogłem sobie uprzytomnić kogo.

W dziesięć minut później znalazłem się ponownie w domu. Karolinę rozsadzało pragnienie dowiedzenia się, dlaczego wróciłem tak wcześnie. By zaspokoić jej ciekawość, musiałem opowiedzieć nieco odbiegającą od prawdy wersję wydarzeń. Miałem jednak wrażenie, że poprzez moje kłamstwo ona dostrzega prawdę.

O dziesiątej wstałem, ziewnąłem i zaproponowałem, by pójść spać. Karolina zgodziła się.

Był to wieczór piątkowy, a w każdy piątek wieczorem nakręcam zegary. Zrobiłem to więc i tym razem, podczas gdy Karolina sprawdzała, czy służące zamknęły dobrze kuchnię.

Kwadrans po dziesiątej weszliśmy na górę do sypialni. Byłem właśnie na szczycie schodów, gdy w hallu na parterze zadzwonił telefon.

— Pani Bates — powiedziała natychmiast Karolina.

— Obawiam się, że tak — odparłem ponuro. Zbiegłem po schodach i podniosłem słuchawkę.

— Co?! — wykrzyknąłem. — Co? Naturalnie, zaraz będę! Wbiegłem na górę, chwyciłem moją torbę i wpakowałem do niej kilka dodatkowych bandaży.

— Dzwonił Parker — wyjaśniłem Karolinie. — Z Fernly. Przed chwilą znaleziono Rogera Ackroyda. Zamordowanego.

Rozdział piąty

Morderstwo

Natychmiast wyprowadziłem z garażu samochód i szybko pojechałem do Fernly. Wskoczyłem z wozu i niecierpliwie nacisnąłem dzwonek przy wejściu. Długo czekałem na otwarcie drzwi. Zadzwoiłem jeszcze raz.

Wreszcie usłyszałem szcęk łańcucha i Parker, nieporuszony jak zwykle, stanął w otwartych drzwiach.

Przepchnąłem się obok niego do hallu.

— Gdzie on jest? — zapytałem ostro.

— Przepraszam pana, nie rozumiem?

— Wasz pan, pan Ackroyd! No, nie stój tutaj i nie patrz na mnie jak sroka w kość. Zawiadomiłeś policję?

— Policję, proszę pana? Pan powiedział policję? — Parker wpatrywał się we mnie jak w ducha.

— Co się z wami stało, Parker? Jeśli, jak mi powiedziałeś, pan Ackroyd został zamordowany...

Parker wydał cichy okrzyk.

— Mój pan zamordowany? To niemożliwe, proszę pana! Teraz ja z kolei zdębiałem.

— Czy nie dzwoniłeś do mnie pięć minut temu z wiadomością, że znaleziono pana Ackroyda zamordowanego?

— Ja miałem dzwonić? Ależ nie, proszę pana! Skąd by mi przyszło do głowy zrobić coś takiego?!

— Więc to był kawał? Pan Ackroyd czuje się dobrze?

— Przepraszam pana, czy osoba telefonująca użyła mojego nazwiska?

— Powtórzę wam dokładnie jego słowa: „Czy to doktor Sheppard? Tu mówi Parker, lokaj z Fernly. Proszę natychmiast przyjść! Pan Ackroyd został zamordowany!”.

Parker i ja patrzyliśmy na siebie niemo.

— To bardzo, bardzo brzydki dowcip, proszę pana — powiedział wreszcie Parker ze zgorzaniem.
— Wymyślić coś podobnego!

— Gdzie jest pan Ackroyd? — spytałem.

— W dalszym ciągu przebywa w gabinecie, proszę pana. Tak mi się zdaje. Panie poszły spać, a major Blunt i pan Raymond są w pokoju bilardowym.

— Pójdę na chwilę do pana Ackroyda — powiedziałem. — Wiem, że prosił, by go pozostawiono w spokoju, ale zdenerwował mnie ten głupi kawał. Chciałbym się po prostu upewnić, że wszystko jest w porządku.

— Naturalnie, proszę pana. Mnie również ten kawał zdenerwował. Jeśli panu nie przeszkodzi, bym mu towarzyszył...

— Ależ nie, naturalnie. Chodźmy!

Minąłem drzwi po prawej stronie. Parker szedł tuż za mną. Weszliśmy do małego przedpokoju, skąd wąskie schody prowadziły na piętro, gdzie znajdowała się sypialnia Ackroyda, i zapukałem do drzwi gabinetu.

Nie było odpowiedzi. Nacisnąłem klamkę, ale drzwi okazały się zamknięte.

— Pan pozwoli, proszę pana — powiedział Parker. Bardzo zgrabnie, jak na człowieka jego budowy, ukląkł na jedno kolano i zbliżył oko do dziurki od klucza.

— Klucz jest w zamku, proszę pana — wyjaśnił, podnosząc się z ziemi. — Po tamtej stronie. Pan Ackroyd pewno się zamknął i potem zdrzemnął.

Ja także ukląknąłem, by sprawdzić, czy Parker ma rację.

— Chyba tak. Jednakże, Parker, jestem zdecydowany obudzić pana Ackroyda. Nigdy bym się nie uspokoił, gdybym wrócił do domu, nie usłyszawszy z jego własnych ust, że wszystko jest w porządku.

Mówiąc to, szarpnąłem klamką i zawołałem:

— Panie Ackroyd, panie Ackroyd, ja tylko na chwilę. Ale w dalszym ciągu nie było żadnej odpowiedzi. Spojrzałem przez ramię.

— Nie chciałbym alarmować całego domu — powiedziałem z wahaniem.

Parker zszedł na dół i zamknął drzwi od głównego hallu, skąd przyszliśmy.

— Teraz chyba wszystko będzie w porządku, proszę pana. Pokój bilardowy jest po drugiej stronie domu, tak samo jak kuchnie i sypialnie pań.

Skinąłem głową i zacząłem walić energicznie w drzwi, a pochylając się, krzyknąłem przez dziurkę od klucza:

— Panie Ackroyd, panie Ackroyd! To ja, Sheppard! Proszę otworzyć!

W dalszym ciągu cisza, ni znaku życia spoza zamkniętych drzwi. Parker i ja spojrzeliśmy na siebie.

— Słuchaj, Parker — powiedziałem. — Mam zamiar wyważyć te drzwi. Albo raczej wyważymy je razem. Biorę odpowiedzialność na siebie.

— Skoro pan każe — odparł Parker raczej niechętnie.

— Tak, każe. Poważnie niepokoję się o pana Ackroyda. Rozejrzałem się po małym przedpokoju i podniosłem ciężkie dębowe krzesło. Wzięliśmy je z Parkerem między siebie i zaczęliśmy atak. Kilka razy uderzyliśmy mocno w zamek. Przy trzecim uderzeniu drzwi puściły. Wpadliśmy z impetem do gabinetu.

Ackroyd siedział przed kominkiem w swoim fotelu, tak jak go pozostawiałem. Głowa opadła mu na bok. Dokładnie widoczna, tuż poniżej kołnierza marynarki, wystawała rączka noża.

Parker i ja zbliżyliśmy się i stanęliśmy nad bezwładną postacią. Usłyszałem, jak lokaj ze świstem wciąga powietrze.

— Zadźgany od tyłu — wykrztusił. — Straszne!

Otarł pot z czoła chustką, potem wyciągnął drżącą rękę w kierunku rękojeści noża.

— Nie wolno tego dotykać! — wykrzyknąłem ostro. — Proszę natychmiast zatelefonować po policję. Trzeba im powiedzieć, co się stało, a później zawiadomić pana Raymonda i majora Blunta.

— Tak jest, proszę pana.

Parker szybko odszedł, ciągle ocierając zroszone potem czoło.

Zająłem się tym, co jeszcze pozostawało do zrobienia. Uważałem, by nie dotykać noża ani nie zmieniać położenia ciała. Nic bym nie pomógł Ackroydowi; nie żył już od pewnego czasu.

Potem usłyszałem z daleka przerażony głos młodego Raymonda:

— Co ty opowiadasz? Och, to niemożliwe! Gdzie jest doktor?

Pędem dopadł do drzwi, potem zatrzymał się nagle. Twarz miał bladą. Jakaś ręka odsunęła go i do gabinetu przecisnął się major Blunt.

— O Boże! — jęknął Raymond zza jego pleców. — A więc to jednak prawda!

Blunt podszedł prosto do fotela i nachylił się nad ciałem Ackroyda. Ponieważ pomyślałem, że tak jak Parker chce ująć rękojeść sztyletu, przytrzymałem jego dłoń.

— Nie wolno niczego dotykać — wyjaśniłem. — Policja musi zobaczyć wszystko w stanie nienaruszonym.

Blunt skinął głową na znak zgody. Jak zwykle twarz jego mało wyrażała, ale pod maską kamiennego spokoju dostrzegłem, jak mi się wydawało, oznaki podniecenia. Podeszedł do nas Geoffrey Raymond i zza pleców Blunta wiepił oczy w ciało.

— Jakie to straszne! — wyszeptał.

Odzyskał wprawdzie panowanie nad sobą, ale gdy zdjął na chwilę binokle, by je przetrzeć, drżały mu jeszcze ręce. — Pewno rabunek — powiedział. — Którędy dostał się morderca? Przez okno? Czy coś zginęło?

Podeszedł do biurka.

— Więc pan sądzi, że to mord rabunkowy? — spytałem z namysłem.

— Cóż może być innego? Chyba nie ma mowy o samobójstwie?

— Żaden człowiek nie byłby zdolny w ten sposób wpakować sobie noża w plecy — odparłem z przekonaniem. — To z pewnością morderstwo. Ale gdzie tu motyw?

— Roger nie miał nieprzyjaciół. Ani jednego — powiedział Blunt cicho. — To bandyci. Na pewno. Ale czego szukali? Nie widać żadnych śladów ich pobytu.

Rozejrzał się po pokoju. Raymond w dalszym ciągu porządkował papiery na biurku.

— Niczego nie brak. I na żadnej z szuflad nie widzę śladów wiamania — odezwał się wreszcie. — To bardzo tajemnicza sprawca.

Blunt poruszył lekko głowę.

— Na ziemi leżą jakieś listy — powiedział. Poszedłem za jego wzrokiem. Zobaczyłem kilka listów w tym samym miejscu, gdzie leżały, gdy spadły z kolan Ackroyda w czasie mojej poprzedniej bytności.

Jednakże niebieska koperta z listem pani Ferrars zniknęła. Otworzyłem usta, chcąc coś powiedzieć, ale w tejże chwili rozległ się dzwonek, potem usłyszeliśmy niewyraźne głosy w hallu, a wreszcie pojawił się Parker, prowadząc miejscowego inspektora policji i policjanta.

— Dobry wieczór! — powitał nas inspektor. — Cóż za straszny wypadek! Taki miły, dobry dżentelmen jak pan Ackroyd! Lokaj powiedział mi, że to morderstwo. Czy tak, doktorze? Nie mógł to być wypadek albo samobójstwo?

— Wykluczone — odparłem.

— No, no! Straszne, okropne! — Podeszedł bliżej fotela i stanął nad ciałem. — Czy ktoś go ruszał? — spytał ostro.

— Sprawdziłem tylko, czy na pewno nie żyje, sprawa była prosta. Poza tym niczego nie dotykałem

— zapewniłem inspektora.

— Aha. I wszystko wskazuje, że mordercy udało się zbiec. No, w każdym razie chwilowo. Aha. A teraz, panowie, powiedzcie mi wszystko, co o tym wiecie. Kto znalazł ciało?

Dokładnie opisałem wszystkie okoliczności.

— Zawiadomiono pana telefonicznie? Kto? Lokaj?

— Ja nie telefonowałem — pośpieszył z wyjaśnieniem Parker. — Nie zbliżałem się przez cały wieczór do telefonu. Wszyscy mogą zaświadczyć, że się nie zbliżałem.

— Dziwne, dziwne. Pan poznał głos Parkera, doktorze?

— Trudno mi twierdzić na pewno. Po prostu się nad tym nie zastanawiałem. Sądziłem, że to Parker, bo widzi pan...

— Rozumiem, rozumiem. Więc przyjechał pan tu, wyłamał drzwi i zastał biednego pana Ackroyda w tym stanie? I co pan sądzi, od jak dawna pan Ackroyd nie żył?

— Najmniej pół godziny, może trochę dłużej — odparłem.

— I twierdzi pan, że drzwi były zamknięte od wewnątrz na klucz? A okno?

— Osobiście je zamknąłem na wszystkie spusty dziś po kolacji. Na prośbę pana Ackroyda.

Inspektor rozchylił story.

— Ale teraz jest otwarte!

W istocie, okno było otwarte — dolna połowa podniesiona na maksymalną wysokość.

Inspektor wyjął z kieszeni latarkę i oświetlił nią parapet.

— Aha, morderca wszedł tędy — zauważył. — I tędy opuścił gabinet. Spójrzcie, panowie!

W silnym świetle latarki dostrzegliśmy kilka zupełnie wyraźnych śladów. Były to odciski gumowych podeszew unurzanych w błocie. Jeden szczególnie wyraźny ślad skierowany był do gabinetu, drugi, z lekka nań zachodzący, wskazywał na ogród.

— To jasne jak słońce — oświadczył inspektor. — Czy zginęły jakieś kosztowności?

Geoffrey Raymond potrząsnął głową.

— Nie stwierdziliśmy. Pan Ackroyd nie trzymał w gabinecie żadnych wartościowych rzeczy.

— Hm! — mruknął inspektor. — Złodziej zobaczy! otwarte okno, wszedł do pokoju, ujrzał pana Ackroyda. Pan Ackroyd może właśnie drzemał. Zadźgał go od tyłu, przeraził się i uciekł. No, ale

zostawił wyraźne ślady. Nie sądzę, abyśmy mieli trudności ze złapaniem tego ptaszka. Widzieli panowie ostatnio jakieś podejrzane typki w pobliżu domu?

— Och! — wyrwało mi się nagle.

— Słucham, doktorze?

— Dziś wieczorem spotkałem obcego człowieka. Właśnie wychodziłem z bramy. Spytał mnie o drogę do Fernly Park.

— O której to mogło być'?

— Dokładnie o dziewiątej. Mijając bramę, usłyszałem bicie zegara kościelnego.

— Mógłby pan opisać tego człowieka?

W miarę moich możliwości zaspokoilem to życzenie. Inspektor zwrócił się do lokaja:

— Czy ktoś odpowiadający temu rysopisowi dzwonił od frontu?

— Nie, proszę pana. Nikogo nie było cały wieczór.

— A od kuchni?

— Nie zdaje mi się, proszę pana, ale sprawdzę.

Parker ruszył do drzwi, lecz inspektor powstrzymał go ruchem ręki:

— Nie, dziękuję, sprawdzę sam. Ale przedtem chciałbym jeszcze ustalić dokładniej czas. Kto i kiedy widział pana Ackroyda po raz ostatni?

— Pewno ja — odparłem. — Kiedy go pożegnałem, była... zaraz... zaraz... chyba za dziesięć dziesiątą. Prosił, aby zostawiono go w zupełnym spokoju. Przekazałem to polecenie Parkerowi.

— Tak było, proszę pana — odezwał się z szacunkiem Parker.

— Pan Ackroyd z pewnością żył jeszcze o wpół do dziesiątej — wtrącił Raymond — bo słyszałem jego głos.

— Z kim rozmawiał?

— Tego nie wiem. Chociaż wtedy wydało mi się, że na pewno z doktorem Sheppardem. Chciałem właśnie poradzić się pana Ackroyda w sprawie pewnych umów, które przygotowywałem, ale kiedy usłyszałem jego głos, przypomniałem sobie, że pan Ackroyd nie życzył sobie, aby mu przeszkadzano w rozmowie z doktorem, i odszedłem od drzwi. Dopiero teraz dowiaduję się, że doktora Shepparda już wtedy nie było.

Skinąłem głową.

— Wróciłem do domu o dziewiątej piętnaście. Nie wychodziłem przed tym telefonem...

— Z kim więc mógł pan Ackroyd rozmawiać o dziewiątej trzydziści? — zdziwił się inspektor. — Nie z panem, panie... panie...?

— To pan major Blunt — wyjaśniłem.

— Major Hektor Blunt? — spytał inspektor z odcieniem szacunku w głosie.

Blunt potwierdził jednym gwałtownym skinieniem głowy.

— Zdaje się, że już pana tutaj widziałem — powiedział inspektor. — W pierwszej chwili pana nie poznałem. Czy to nie pan odwiedził pana Ackroyda w maju ubiegłego roku?

— W czerwcu — poprawił Blunt.

— Tak, tak, w czerwcu. Więc to nie pan rozmawiał z panem Ackroydem o dziewiątej trzydziści?

Blunt potrząsnął przecząco głową.

— Od kolacji go nie widziałem — poinformował krótko. Inspektor ponownie zwrócił się do Raymonda:

— Czy pan dosłyszał może jakieś urywki rozmowy?

— Owszem, jedno zdanie — odparł sekretarz. — I ponieważ wtedy przypuszczałem, że w gabinecie jest doktor Sheppard, temat rozmowy wydał mi się dziwny. Właśnie mówił pan Ackroyd: „Ostatnimi czasy moje zobowiązania finansowe uległy znacznemu zwiększeniu — jeśli dokładnie sobie przypominam — znacznemu zwiększeniu i nie mogę, niestety, pozytywnie ustosunkować się do pańskiej prośby...”. Natychmiast potem odszedłem od drzwi i nic już więcej nie usłyszałem. Jak powiedziałem, zastanowiło mnie to, ponieważ doktor Sheppard...

— Nie prosi nigdy o pożyczki dla siebie ani o zapomogi dla innych — dokończyłem za Raymonda.

— Żądanie pieniędzy... — powiedział inspektor do siebie. — Być może, to jest bardzo ważny szczegół. — Następnie spytał lokaja: — Powiadasz, Parker, że od frontu nikogo dziś wieczorem nie wpuszczałeś?

— Z pewnością nie, proszę pana.

— A więc wydaje się prawie pewne, że pan Ackroyd sam wpuścił obcego. Nie rozumiem tylko...

Można śmiało powiedzieć, że przez parę minut inspektor śnił.

— Jedna rzecz wydaje się jasna — oświadczył wreszcie, budząc się z zamyślenia. — Pan Ackroyd

żył jeszcze o dziewiątej trzydzieści. Potem już nie wiemy.

Parker chrząknął znacząco, co natychmiast zwróciło uwagę inspektora.

— Tak? — spytał ostro.

— Za pana pozwoleniem, panie inspektorze, jeszcze później widziała się z panem Ackroydem panna Flora.

— Panna Flora?

— Tak jest, proszę pana. Musiała być wtedy za kwadrans dziesiąta. I zaraz potem, proszę pana, powiedziała mi, że pan Ackroyd nie życzy sobie, żeby mu więcej przeszkadzano.

— Pan Ackroyd polecił jej to powtórzyć’?

— Niezupełnie, proszę pana. Niosłem na tacy whisky i wodę sodową, kiedy panna Flora, która właśnie wychodziła z gabinetu, powiedziała mi, że pan Ackroyd nie życzy sobie, by mu więcej przeszkadzano.

Inspektor spojrzał na Parkera z nieco większą uwagą niż dotychczas.

— Przecież już ci przedtem powiedziano, że pan Ackroyd życzy sobie mieć spokój, prawda?

Parker zaczął się jękać. Ręce mu drżały.

— Tak właśnie, proszę pana. Właśnie, tak jest.

— A mimo to szedłeś do niego z whisky?

— Bo zapomniałem, proszę pana. To znaczy, właściwie ja zawsze przynoszę whisky mniej więcej o tej porze, proszę pana, i pytam, czy jeszcze czego nie potrzeba. Więc pomyślałem, to znaczy, zrobiłem to, co zawsze, niewiele myśląc...

Wtedy uderzyło mnie nagle, że podniecenie Parkera jest bardzo podejrzane. Lokaj trząśł się jak osika i niespokojnie przestępował z nogi na nogę.

— Hm...! — powiedział inspektor. — Muszę zaraz porozmawiać z panną Ackroyd. Chwilowo zostawmy gabinet, tak jak jest. Wrócę tu, jak się dowiem wszystkiego, co ma do powiedzenia panna Ackroyd. Zabezpieczymy tylko pokój, zamykając dobrze okno.

Inspektor sam zamknął okno i następnie wyprowadził nas do przedpokoju. Ciekawie zerknął w górę wąskich schodów, a potem odezwał się przez ramię do towarzyszącego mu policjanta:

— Zostań tu, Jones! Nie wpuszczaj nikogo do gabinetu. Parker wtrącił się z szacunkiem:

— Za pozwoleniem, panie inspektorze, ale można zamknąć drzwi prowadzące do głównego hallu i

nikt nie będzie mógł wejść do tej części domu. Te schody prowadzą wyłącznie do sypialni pana Ackroyda i do łazienki. Nie ma żadnego połączenia z resztą budynku. Kiedyś były drzwi, ale pan Ackroyd kazał je zamurować. Chciał mieć całkowicie oddzielony, prywatny apartament.

Aby ułatwić zorientowanie się w sytuacji, załączam odręczny szkic prawego skrzydła domu. Wąskie schody prowadzą, jak to już wyjaśnił Parker, do dużej sypialni (powstałej z połączenia dwóch mniejszych) i sąsiadującej z nią łazienki i ubikacji.



Inspektor zorientował się szybko w rozkładzie pokoi. Kiedy przeszliśmy do hallu, zamknął drzwi i klucz schował do kieszeni. Potem przyciszonym głosem wydał parę poleceń policjantowi, który zaraz odszedł.

— Musimy się zająć tymi śladami — wyjaśnił. — Ale przede wszystkim chcę porozmawiać z panną Ackroyd. Chyba ona ostatnia widziała się z panem Ackroydem? Czy już ją zawiadomiono?

Raymond potrząsnął głową.

— No, więc przez pięć minut nic jej jeszcze nie powiemy. Będzie jaśniej odpowiadała, nie znając prawdy. Proszę tylko wspomnieć, że było włamanie i że pragnąłbym zamienić z nią kilka słów.

Raymond poszedł na górę z poleceniem sprowadzenia Flory.

— Panna Ackroyd zaraz zejdzie — oświadczył po powrocie. — Powiedziałem jej to, co pan sobie życzył.

Mniej więcej po pięciu minutach na schodach ukazała się Flora. Miała na sobie różowe jedwabne kimono. Wydawała się bardzo zaniepokojona i podniecona.

— Dobry wieczór, panno Ackroyd — powitał ją grzecznie inspektor. — Z przykrością panią zawiadamiam, że usiłowano włamać się do domu. Bardzo prosimy o udzielenie nam pomocy. Co to za pokój, tam? A, pokój bilardowy. Może tam porozmawiamy?

Flora usiadła na brzeжку szerokiej kanapki, która zajmowała całą długość ściany, i podniosła wzrok na inspektora.

— Niezupełnie rozumiem. Co ukradziono? W czym mam panu pomóc?

— Zaraz pani wszystko wyjaśnię, panno Ackroyd. Parker mówi, że wyszła pani z gabinetu stryja mniej więcej za kwadrans dziesiąta. Czy to prawda?

— Prawda. Poszłam powiedzieć mu dobranoc.

— I godzina się zgadza?

— Tak, to musiało być o tej porze. Dokładniej trudno mi powiedzieć. Może parę minut później.

— Czy stryj pani był sam, czy też zastała pani kogoś w gabinecie?

— Był sam. Doktor Sheppard już wyszedł.

— Może pani zauważyła, czy okno było otwarte, czy zamknięte?

Flora potrząsnęła głową.

— Trudno mi powiedzieć. Story były zaciągnięte.

— Aha. A stryj pani wyglądał normalnie?

— Raczej tak.

— Może mi pani łaskawie powtórzyć swoją rozmowę ze stryjem?

Flora chwilę się zastanawiała, jakby zbierała myśli.

— Weszłam i powiedziałam: „Dobranoc, stryжку, idę spać. Jestem dziś bardzo zmęczona”. On coś mruknął, no a ja... podeszłam do niego i pocałowałam go. Coś jeszcze powiedział, że ładnie wyglądam w tej sukience, którą mam na sobie, a potem prosił, żebym już poszła, bo jest bardzo zajęty. Więc poszłam.

— Czy wspominał, żeby mu nikt nie przeszkadzał?

— O tak, zapomniałam! Powiedział: „Przekaż Parkerowi, że już dziś wieczorem nie będę niczego potrzebował i żeby tu nie przychodził”. Spotkałam Parkera tuż za drzwiami i powtórzyłam mu polecenie stryja.

— Aha — odparł inspektor.

— Czy może mi pan powiedzieć, co ukradziono?

— Nie jesteśmy jeszcze... pewni — zawahał się inspektor. W oczach dziewczyny pojawił się wyraz strachu. Wstała.

— Co się stało? Co wy przede mną ukrywacie? Hektor Blunt podszedł swoim posuwistym krokiem, stając między Florą a inspektorem. Dziewczyna wyciągnęła rękę, on ujął ją w obie dłonie i zaczął głaskać, jakby Flora była małym dzieckiem. Obróciła ku niemu twarz. Wydawało się, że szuka pocieszenia i osłony u tego stanowczego i silnego mężczyzny.

— Niestety, Floro — powiedział spokojnie. — Niestety dla nas wszystkich. Twój stryj Roger...

— Co się stało?!

— To będzie dla ciebie wielki cios. Musi być. Biedny Roger nie żyje...

Flora cofnęła się o krok, w oczach jej pojawiło się przerażenie.

— Kiedy? — spytała. — Kiedy?

— Wkrótce potem, jak się z nim pożegnałaś, Floro — odpowiedział poważnie Blunt.

Flora podniosła dłoń do krtani i wydała krótki okrzyk. Zdołałam ją pochwycić, gdy zemdlona padała na ziemię. Zanieśliśmy ją z Bluntem na górę i ułożyliśmy na łóżku. Potem prosiłem Blunta, by obudził panią Ackroyd i podzielił się z nią tragiczną wieścią. Flora szybko odzyskała przytomność. Przeprowadziłem do niej matkę, tłumacząc, jak trzeba zająć się dziewczyną. Potem pośpieszyłem na dół.

Rozdział szósty

Tunezyjski sztylet

Spotkałem inspektora, gdy wracał od strony kuchni.

— Jak tam młoda dama, doktorze?

— Czuje się już lepiej. Jest z nią matka.

— To świetnie. Przesłuchiwałem służbę. Wszyscy jednogłośnie twierdzą, że od kuchni nikt dziś wieczorem nie wchodził do domu. Pański opis owego nieznanego spotkanego przy bramie jest bardzo ogólnikowy. Czy nie przypomina pan sobie jakichś bliższych szczegółów?

— Niestety nie — odparłem z żalem. — Wieczór był ciemny, jak pan wie, a ten człowiek miał podniesiony kołnierz płaszcza i kapelusz naciśnięty nisko na oczy.

— Hm! — mruknął inspektor. — Chciał zasłonić twarz, co? Na pewno nikt ze znanych panu osób?

Odpowiedziałem przecząco, ale nie tak pewnie, jak powinienem to zrobić. Powróciło moje pierwsze wrażenie, iż głos tego człowieka nie był mi obcy. Z wahaniem powiedziałem to inspektorowi.

— Mówi pan, że miał chrapliwy, ordynarny głos? Potwierdziłem to, chociaż przyszło mi do głowy, że chrapliwość ta brzmiała sztucznie, jakby była świadomie przesadzona. Jeśli słuszne było przypuszczenie inspektora, że ów człowiek chciał ukryć twarz, to równie dobrze mógł pragnąć zmienić głos.

— Pan pozwoli jeszcze na chwilę do gabinetu, doktorze. Muszę wyjaśnić kilka szczegółów.

Inspektor Davis otworzył kluczem drzwi do przedpokoju, a kiedy weszliśmy, zamknął je z powrotem.

— Żeby nam nikt nie przeszkadzał — wyjaśnił ponuro. — I nie podsłuchiwał. Co to za historia z tym szantażem?

— Szantażem?! — wykrzyknąłem zaskoczony.

— Czy to płód wyobraźni Parkera, czy też rzeczywiście coś takiego było?

— Jeśli Parker słyszał coś o szantażu — odparłem z namysłem — musiał stać za drzwiami z uchem przyklejonym do dziurki od klucza.

Davis skinął głową.

— Najprawdopodobniej. Przyznam się panu, że przeprowadziłem maleńkie dochodzenie, co Parker robił dziś wieczorem. Mówiąc prawdę, nie podoba mi się jego zachowanie. On coś wie. Kiedy go zacząłem przesłuchiwać, mocno się zmieszał i wreszcie wykrztusił coś o tym szantażu.

Powziąłem szybką decyzję.

— Może to i dobrze, że wyciągnął pan tę sprawę — odparłem. — Jestem nawet zadowolony. Zastanawiam się właśnie, czy wyznać wszystko, czy nie. Właściwie już zdecydowałem się panu powiedzieć, inspektorze, czekałem tylko na sprzyjającą okazję. Niech więc będzie teraz, co za różnica!

I bez dalszej zwłoki opisałem inspektorowi wypadki wieczoru, tak jak je przedstawiłem już powyżej. Inspektor słuchał pilnie, od czasu do czasu wtrącając pytanie.

— Najdziwniejsza historia, jaką słyszałem! — orzekł, kiedy skończyłem. — I mówi pan, że ten list zniknął? Brzydko to pachnie! Cała ta sprawa brzydko pachnie. No, ale wreszcie znaleźliśmy to, czegośmy szukali. Motyw! Motyw morderstwa!

Skinąłem głową.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— I mówi pan, że pan Ackroyd napomknął, iż podejrzewa kogoś z domowników? Kogoś z domowników! To raczej bardzo ogólne.

— Chyba nie myśli pan, że Parker jest tym szantażystą? — podsunąłem.

— Owszem, dlaczego nie? Najwyraźniej podsłuchiwał pod drzwiami, kiedy pan wychodził. A potem natknęła się na niego panna Ackroyd. Już miał zamiar wejść do gabinetu. A może wrócił, gdy odeszła? Zamordował Ackroyda, zamknął drzwi od wewnątrz, otworzył okno, wyszedł na taras i wrócił do domu kuchennymi drzwiami, które uprzednio zostawił otwarte. Co pan o tym sądzi?

— Jedna rzecz przemawiałaby przeciwko temu — odparłem powoli. — Jeśli Ackroyd zaraz po moim wyjściu zabrał się do czytania listu, co miał zresztą zamiar zrobić, to nie wyobrażam sobie, by potem siedział spokojnie jeszcze przez godzinę i przetrwał całą sprawę. Natychmiast wezwałby Parkera i z miejsca go oskarżył. Byłaby niezła awantura. Proszę pamiętać, że Ackroyd był bardzo gwałtownym człowiekiem.

— Może po pana wyjściu nie miał już czasu powrócić do czytania listu? — wtrącił inspektor. — Wiemy przecież, że o wpół do dziesiątej ktoś u niego był. Jeśli ten gość zjawił się natychmiast po pana wyjściu i jeśli z kolei natychmiast po jego wyjściu przyszła panna Ackroyd, to nie było czasu na list. Chyba dopiero gdzieś koło dziesiątej.

— A telefon do mnie?

— Sam Parker zadzwonił. Zrobił to, nim pomyślał o zamkniętych drzwiach i otwartym oknie. Potem zmienił zamiar albo wpadł w panikę i postanowił zaprzeczać, że wie o morderstwie. Mówię

panu, że tak było.

— Może... — odparłem pełen wątpliwości.

— W każdym razie bliższych szczegółów o rozmowie telefonicznej dowiemy się w centrali. Jeśli się okaże, że wzywano pana stąd, to nie mógł dzwonić nikt inny oprócz Parkera. Jestem pewien, że to morderca, którego szukamy. Ale chwilowo proszę nic nikomu nie mówić. Nie trzeba go płoszyć, póki nie zbierzemy wszystkich dowodów. Już ja zadbam o to, żeby nam ptaszek nie umknął. Dla zachowania pozorów skoncentrujemy nasze wysiłki na tropieniu pańskiego nieznanego z bramy.

Inspektor wstał z przysuniętego do biurka krzesła, na którym siedział okrakiem, i podszedł do nieruchomej postaci w fotelu.

— Narzędzie zbrodni powinno być dla nas cenną poszlaką — zauważył, przyglądając się sztyletowi. — To chyba jakiś rzadki okaz. Wygląda bardzo oryginalnie.

Pochylił się z uwagą nad rękojeścią. Usłyszałem pełne zadowolenia chrząknięcie. Potem zgrabnie, nie dotykając miejsc, gdzie mogły być ślady palców, inspektor wyciągnął sztylet z rany. W dalszym ciągu ujmując rękojeść bardzo ostrożnie, wsadził sztylet ostrzem do chińskiej wazy, która zdobiła serwantkę.

— No tak — powiedział, kiwając głową. — To piękny przedmiot. Na pewno nie znajdzie się wiele takich cacek w okolicy.

To był naprawdę piękny sztylet: wąskie, spiczaste ostrze, mistrzowskiej roboty rękojeść, inkrustowana paroma rodzajami metalu. Davis delikatnie dotknął palcem ostrza i skrzywił się z uznaniem.

— Boże drogi! Co za ostrze! — wykrzyknął. — Dziecko bez wysiłku mogłoby wpakować je komuś po rękojeść jak w masło. Oj, to niebezpieczna zabawka w domu!

— Czy mogę teraz dokładnie zbadać ciało? — spytałem.

Skinął przyzwalająco.

— Proszę.

Przeprowadziłem drobiazgowo badanie.

— No i co? — spytał, kiedy skończyłem.

— Oszczędzę panu fachowych określeń, pozostawiając je na rozprawę — odparłem. — W każdym razie cios zadał od tyłu mężczyzna prawą ręką. Śmierć nastąpiła natychmiast. Z wyrazu twarzy Ackroyda wnoszę, iż cios był niespodziewany. Być może zmarł, nie wiedząc nawet, kim jest jego morderca.

— Lokaje potrafią poruszać się cicho jak koty — zauważył inspektor Davis. — Nie sądzę, aby

rozwiązanie zagadki tego morderstwa przedstawiało dla nas specjalne trudności. Proszę spojrzeć na rękojęść sztyletu!

Spojrzałem.

— Prawdopodobnie dla pana są one niedostrzegalne, ale ja widzę je zupełnie wyraźnie! — Zniżył głos. — Ślady palców!

Cofnął się o parę kroków, jakby chciał na mojej twarzy sprawdzić efekt tych słów.

— Tak — odparłem łagodnie. — Też tak myślałem. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego traktuje się mnie jak osobnika całkowicie pozbawionego inteligencji. Także przecież czytam powieści kryminalne i gazety, i jestem człowiekiem zdolnym do pojmowania otaczających mnie zjawisk. Ha, gdyby na rękojęści były odciski palców nóg, to zupełnie inna sprawa. Wtedy okazałbym odpowiednio wiele zdumienia i ciekawości.

Podaję, że inspektor miał do mnie pretensję o brak objawów dreszczyku emocji. Zabrał chińską wazę i poprosił, abym mu towarzyszył do pokoju bilardowego.

— Może pan Raymond udzieli mi jakichś informacji o tym sztylecte — powiedział.

Starannie zamknęliśmy za sobą drzwi na klucz i udaliśmy się do pokoju bilardowego, gdzie czekał Geoffrey Raymond. Inspektor podniósł w górę swój łup.

— Czy pan to kiedyś widział? — zapytał.

— Wydaje mi się, jestem prawie pewien, że to sztylet ofiarowany panu Ackroydowi przez majora Blunta. Pochodzi z Maroka, nie, z Tunezji. A więc tym zamordowano...? To zdumiewające! Chyba niemożliwe, a jednak trudno przypuszczać, by istniały dwa identyczne sztylety. Zawołam majora Blunta, dobrze?

Nie czekając na odpowiedź, wybiegł z pokoju.

— Miły chłopak — powiedział inspektor. — Taki jakiś naturalny, szczery i na pewno uczciwy.

Zgodziłem się skwapliwie. Nie widziałem, by choć raz w ciągu dwóch lat, w czasie których pełnił funkcję sekretarza Ackroyda, Raymond okazał zły humor albo stracił panowanie nad sobą. I wiem, że swoje obowiązki wykonywał nadzwyczaj sumiennie.

Po chwili Raymond wrócił w towarzystwie majora Blunta.

— Miałem rację — powiedział Raymond. — To jest tunezyjski sztylet.

— Ale major Blunt jeszcze go nie widział — zaprotestował inspektor.

— Widziałem. Zobaczyłem od razu. Kiedy wszedłem do gabinetu — wyjaśnił Blunt.

— Poznał go pan? Blunt skinął głową.

— Nic mi pan o tym nie wspomniał? — zapytał podejrzliwie inspektor.

— Nieodpowiednia chwila — odparł Blunt. — Dużo krzywd na świecie. Przez niepotrzebne gadanie. W nieodpowiedniej chwili.

Z zupełnym spokojem przyjął ostre spojrzenie inspektora, który długo chrząkał, aż wreszcie podszedł ze sztyletem do Blunta.

— Jest pan tego pewien? Poznaje pan ten sztylet?

— Absolutnie. Nie mam wątpliwości.

— Gdzie ten... ta pamiątka była zwykle przechowywana? Nie wie pan?

Wiedział sekretarz.

— W srebrnym stole w saloniku.

— Co?! — wykrzyknąłem. Wszyscy spojrzeli na mnie.

— Słucham, doktorze — zachęcił mnie inspektor do dalszych wyjaśnień.

— Nic, nic. To właściwie głupstwo — zacząłem się wycofywać. — Zapewne bez znaczenia. Kiedy przyszedłem na kolację, usłyszałem, jak ktoś zamyka blat srebrnego stolika w salonie.

— Skąd pan wie, że to był blat srebrnego stolika?

W słowach inspektora wyczułem niedowierzenie, a z twarzy jego wyczytałem podejrzliwość.

Wytłumaczyłem wszystko szczegółowo — było to długie, trudne wyjaśnienie i z pewnością wolałbym go uniknąć.

Inspektor wysłuchał mnie do końca.

— Czy sztylet znajdował się na swoim miejscu, kiedy oglądał pan zawartość gablotki? — spytał.

— Nie wiem — odparłem. — Nie mogę twierdzić tak, nie mogę twierdzić nie. Być może leżał tam przez cały czas.

— Wobec tego wezwijmy gospodynię — zdecydował inspektor i pociągnął za sznur dzwonka.

Po paru minutach zawiadomiona przez Parkera panna Russell zjawiała się w pokoju bilardowym.

— Nie, chyba nie podchodziłam do srebrnego stolika — odpowiedziała na pytanie inspektora. — Sprawdzałam tylko, czy we wszystkich wazonach są świeże kwiaty. O tak! Teraz sobie przypominam. Srebrny stół był otwarty. A nie powinien być. Przechodząc, opuściłam blat.

Z wyzwaniem zwróciła oczy na inspektora.

— Aha — odparł Davis. — A może mi pani powiedzieć, czy ten sztylet znajdował się w gablotce?

Panna Russell z opanowaniem spojrzała na narzędzie zbrodni.

— Nie jestem pewna. Nie zatrzymałam się koło stołu, tylko zamknęłam go, przechodząc. Wiedziałam, że państwo za chwilę zejdą, i nie chciałam, by mnie zastali w salonie.

— Dziękuję pani — odparł inspektor.

W zachowaniu jego widziałem coś jakby wahanie, jakby chciał jeszcze zatrzymać pannę Russell. Ale ona skorzystała z tych słów i bez zwłoki wypłynęła dostojnie z pokoju.

— Ależ to twarda sztuka, co? — mruknął inspektor, patrząc za nią. — Zaraz, srebrny stół stoi naprzeciwko jednego z okien, tak pan mówił, doktorze, co?

Odpowiedział za mnie Raymond.

— Tak, na wprost lewego okna. — I to okno było otwarte?

— Oba były szeroko otwarte.

— No dobrze, chwilowo nie widzę potrzeby dalszego zagłębiania się w ten problem. Wydaje mi się jasne, że każdy

— po prostu każdy — mógł wziąć sztylet, kiedy chciał. To nawet nie jest obecnie ważne kiedy. Rano przyjdę tu z szefem policji okręgu, panie Raymond. Do tej chwili zachowam przy sobie klucz do gabinetu. Chcę, żeby pułkownik Melrose zastał wszystko tak, jak jest teraz. Wiem przypadkowo, że wyjechał dzisiaj na proszoną kolację w sam kraniec okręgu i ma tam zostać na noc...

Patrzyliśmy na inspektora, który zdejmował z półki wazę ze sztyletem.

— Muszę to jakoś ostrożnie zapakować — wyjaśnił nam.

— To bardzo ważny dowód rzeczowy. Ważny pod wieloma względami.

W parę minut później, kiedy wychodziłem z pokoju bilardowego, Raymond ujął mnie znacząco pod ramię i parsknął rozbawiony. Spojrzałem w kierunku, który mi wskazywał: inspektor Davis zasięgał opinii Parkera co do małego notatnika kieszonkowego.

— Aż nadto oczywiste! — mruknął Raymond. — A więc podejrzany jest i Parker? My pewno też powinniśmy obdarować inspektora kompletem odcisków naszych palców.

Wziął z tacki dwa bilety wizytowe, wytarł je chusteczką, potem podał jeden mnie, a sam ścisnął palcami drugi. Następnie z uśmiechem zwrócił się do inspektora:

— Drobne upominki — powiedział. — Numer jeden, doktor Sheppard, numer dwa, moja skromna osoba. Pamiątka od majora Blunta nadejdzie rano.

Młodość jest nieposkromiona. Nawet brutalne zamordowanie jego przyjaciela i pracodawcy nie potrafiło na długo stłumić ducha Geoffreya Raymonda.

Do domu wróciłem bardzo późno. Miałem nadzieję, że Karolina już śpi. Płonna to była nadzieja.

Czekała z gorącym kakao i kiedy je piłem, wydobyła ze mnie wszystkie szczegóły wieczoru. Naturalnie nie powiedziałem nic o sprawie szantażu, ograniczając się tylko do faktów dotyczących morderstwa.

— Policja podejrzewa Parkera — powiedziałem, wstając od stołu z zamiarem pójścia do sypialni. — Wszystko na niego wskazuje.

— Parker?! — wykrzyknęła Karolina. — Bzdura! Ten inspektor jest skończonym bałwanem. Parker! Nikt mnie nie przekona.

Po tym dość tajemniczym oświadczeniu poszliśmy spać.

Rozdział siódmy

Dowiaduję się, jaki jest zawód mojego sąsiada

Następnego ranka niewybaczalnie szybko i niedbale załatwiłem się z moimi pacjentami na mieście. Łagodzi moją winę okoliczność, że nie miałem żadnych ciężiej chorych. Kiedy wróciłem do domu, w przedpokoju czekała na mnie Karolina.

— Przyszła Flora Ackroyd — oświadczyła podnieconym szeptem.

— Co?

Ukryłem zdziwienie, jak umiałem najlepiej.

— Koniecznie chce się z tobą widzieć. Czeka już od pół godziny.

Karolina poszła do małego saloniku, ja za nią.

Flora siedziała na kanapce pod oknem. Miała czarną suknię i nerwowo wylaamywała sobie palce. Przerażony byłem wyrazem twarzy dziewczyny. Krew chyba odpłynęła z niej całkowicie. Ale kiedy zaczęła mówić, stwierdziłem, że jest opanowana.

— Doktorze Sheppard, przyszedłam prosić pana o pomoc.

— Ależ naturalnie, że James ci pomoże, moja droga — odezwała się Karolina.

Wątpię, by Flora była zachwycona perspektywą obecności Karoliny przy naszej rozmowie. Wolałaby — jestem tego pewien — pomówić ze mną na osobności. Z drugiej strony nie chciała jednak tracić czasu, więc od razu przystąpiła do rzeczy.

— Chcę, żeby pan ze mną poszedł do Modrzewiowego Dworku.

— Co, do Modrzewiowego Dworku? — spytałem zdziwiony.

— Do tego śmiesznego starszego pana?! — wykrzyknęła Karolina.

— Tak, pan wie, kto to jest, prawda?

— Myśleliśmy — odparłem — że to fryzjer na emeryturze. Flora szeroko otworzyła niebieskie oczy.

— Ależ skąd! To Herkules Poirot! Wie pan, ten prywatny detektyw. Mówią o nim, że to niezrównany specjalista, rozwiązał wiele tajemniczych spraw. Zupełnie jak detektyw w książkach. Rok temu wycofał się z aktywnego życia i osiadł tutaj. Stryj go znał, ale obiecał, że nikomu nie

zdradzi jego nazwiska, bo pan Poirot chciał mieć spokój. Żeby mu nikt nie zawracał głowy.

— A więc to tak! — powiedziałem w zamyśleniu.

— Naturalnie słyszał pan o nim, prawda?

— Jestem stary głupiec, jak mnie nazywa moja siostra — odparłem — ale o nim słyszałem.

— Nadzwyczajne! — skomentowała Karolina.

Nie wiem, do czego odnosił się ten wykrzyknik. Prawdopodobnie do tego, że jej samej nie udało się wcześniej dowiedzieć, jaki jest zawód naszego sąsiada.

— Więc pani chce się do niego udać? — spytałem. — Ale po co?

— Nie bądź taki tępy, James! — oburzyła się Karolina. — Naturalnie po to, żeby znaleźć mordercę.

Naprawdę nie byłem w tym wypadku tępy. Karolina nie zawsze rozumie, do czego zmierzam.

— Nie ma pani zaufania do inspektora Davisa? — spytałem Florę.

— Naturalnie, że nie ma! — wykrzyknęła Karolina. — I ja też nie mam!

Można by pomyśleć, że to stryj Karoliny został zamordowany.

— A skąd pani wie, czy pan Poirot będzie chciał zająć się tą sprawą? — spytałem. — Proszę pamiętać, że wycofał się z pracy.

— Wiem — powiedziała spokojnie Flora. — Muszę go namówić.

— Jest pani pewna, że to rozsądne? — spytałem poważnie.

— Naturalnie, że rozsądne! — wtrąciła Karolina. — Ja z nią pójdę, jeśli będzie chciała.

— Wolałabym, żeby poszedł doktor Sheppard. Bardzo panią przepraszam, panno Sheppard... — odezwała się Flora.

Flora rozumie potrzebę stosowania w pewnych wypadkach metody bezpośredniego natarcia. Żadne aluzje nie dotarłyby do Karoliny.

— Widzi pani — ciągnęła Flora, taktownie tuszując swą wcześniejszą niezręczność — pani brat jest doktorem i znalazł ciało, będzie więc mógł panu Poirotowi wszystko szczegółowo opisać.

— Rozumiem — odparła Karolina z rezygnacją. — Rozumiem doskonale.

Przeszedłem się parę razy tam i z powrotem po pokoju.

— Floro — powiedziałem — posłuchaj mnie, dziecko. Radzę ci, nie wciągaj w całą sprawę tego detektywa.

Flora zerwała się na równe nogi. Policzki jej zabarwiły się czerwienią.

— Wiem, dlaczego pan tak mówi! — wykrzyknęła. — Ale to jest właśnie powód, dla którego chcę iść do pana Poirota. Pan się obawia. A ja nie. Znam Ralfa lepiej niż pan!

— Ralfa? — powiedziała Karolina. — A cóż Ralf ma z tym wspólnego?

Żadne z nas nie zwróciło na nią uwagi.

— Ralf może i ma słaby charakter — ciągnęła Flora — może i popełnił w życiu wiele głupstw, nawet złych rzeczy, ale nikogo by nie zamordował.

— Ależ naturalnie, że nie! — wykrzyknąłem. — Nigdy mi to przez myśl nie przeszło.

— No, to w takim razie po co pan chodził wczoraj do gospody Pod Trzema Dzikami? — zapytała Flora. — W drodze powrotnej do domu, po znalezieniu ciała stryja?

Przez chwilę nie wiedziałem, co odrzec. Miałem nadzieję, że moje odwiedziny u Ralfa minęły niedostrzeżone przez nikogo.

— Skąd pani o tym wie? — odpowiedziałem pytaniem.

— Poszłam dziś rano i dowiedziałam się od służby, że Ralf tam mieszkał...

Przerwałem jej:

— Nie wiedziała pani, że był w King's Abbot?

— Nie, bardzo mnie to zaskoczyło. Nie mogłam nic z tego zrozumieć. Kiedy o niego spytałam, powiedzieli mi to, co prawdopodobnie powiedzieli i panu: że Ralf wyszedł wczoraj około dziewiątej wieczorem i... więcej nie wrócił.

Flora patrzyła mi odważnie w oczy i jakby odpowiadając na coś, co w nich odczytała, wybuchnęła:

— Czy nie wolno mu było tego zrobić? Mógł wyjechać, dokąd chciał, mógł nawet wrócić do Londynu.

— Zostawiając swoje rzeczy? — spytałem łagodnie. Flora tupnęła.

— Nie wiem. Wyjaśnienie jest na pewno całkiem proste.

— I dlatego pragnie pani się udać do Herkulesa Poirota? Czy nie lepiej pozostawić sprawy tak, jak są? Proszę pamiętać, że policja wcale nie podejrzewa Ralfa. Policja jest na zupełnie innym tropie.

— Właśnie, że go podejrzewa! — zawołała Flora. — Dziś rano przyjechał policjant z Cranchester. Inspektor Raglan, okropny, wstrętny karzeł! Zdążył być w gospodzie Pod Trzema Dzikami przede mną. Powiedzieli mi tam o jego wizycie. I powtórzyli pytania, jakie zadawał. Raglan jest pewien, że to Ralf!

— Jeśli tak jest, to nastąpiła jakaś zmiana od wczorajszego wieczoru — powiedziałem wolno. — Więc Raglan nie wierzy w teorię Davisa, że to Parker?

— Jaki tam Parker! — prychnęła Karolina.

Flora podeszła parę kroków i położyła mi dłoń na ramieniu.

— Doktorze, proszę pana bardzo, chodźmy do Herkulesa Poirota. On wykryje prawdę!

— Moja droga Floro — powiedziałem łagodnie, nakrywając jej dłoń swoją. — Czy pani jest zupełnie pewna, iż zależy pani na wykryciu prawdy?

Spojrzała na mnie poważnie i potrząsnęła zdecydowanie głową.

— Pan tego nie jest pewien — odparła. — Ja jestem. Znam

Ralfa lepiej niż pan.

— Jasne, że to nie Ralf — powiedziała Karolina, która z trudem zachowywała milczenie. — Ralf może być dziwny, ale to kochany chłopak i bardzo dobrze wychowany, ma dobre maniery.

Miałem ochotę powiedzieć Karolinie, że wielu morderców ma dobre maniery, ale powstrzymała mnie obecność Flory. Ponieważ dziewczyna była zdecydowana, musiałem ustąpić i bez zwłoki poszliśmy do Modrzewiowego Dworku, nim moja siostra zdołała zarzucić nas dalszymi oświadczeniami, rozpoczynającymi się od jej ulubionego słowa „bzdura”.

Drzwi Modrzewiowego Dworku otworzyła nam stara kobieta w potężnym bretońskim czepku. Pan Poirot był w domu.

Wprowadzono nas do małego saloniku, urządzonego dość pretensjonalnie. Po paru minutach czekania pojawił się mój wczorajszy znajomy.

— *Monsieur le docteur!* — powiedział z uśmiechem. — *Mademoiselle!**

Złożył głęboki ukłon Florze.

— Zapewne słyszał pan już o tragedii, jaka wydarzyła się wczoraj wieczorem — zacząłem.

Twarz Poirota oblokła się w powagę.

— Ależ naturalnie, słyszałem! To straszne. Składam *mademoiselle* wyrazy głębokiego współczucia. W jaki sposób mogę pani służyć?

— Panna Ackroyd... — powiedziałem — panna Ackroyd chce, żeby pan...

— Wykrył mordercę — dokończyła Flora wyraźnie.

— Aha — skinął głową śmieszny pan. — Ależ chyba policja to zrobi, nie?

— Oni mogą popełnić omyłkę — pośpieszyła Flora z wyjaśnieniem. — Oni już popełniają omyłkę. Tak mi się zdaje. Proszę pana, panie Poirot, proszę nam pomóc! Jeśli to... jeśli chodzi o pieniądze...

Poirot podniósł rękę:

— Proszę o tym nie mówić, *mademoiselle*, błagam! Nie znaczy to, że ja nie dbam o pieniądze. — Oczy błysnęły mu szelmowsko. — Pieniądze! O, te dużo dla mnie znaczą i wiele znaczyły... Tak! Ale jeśli ja się tym zajmę, i proszę to dobrze zrozumieć, to będę się zajmował aż do samego końca! Dobry pies nie schodzi z tropu. Proszę pamiętać! Może pani jeszcze żałować, że sprawa nie pozostała tylko w rękach policji.

— Ja chcę poznać prawdę — powiedziała Flora, patrząc detektywowi prosto w oczy.

— Całą prawdę?

— Całą prawdę!

— A więc zgadzam się — odparł Poirot spokojnie. — Mam nadzieję, że nie będzie pani żałować swojej decyzji, *mademoiselle*. A teraz proszę o okoliczności.

— Lepiej zrobi to doktor Sheppard. Wie znacznie więcej ode mnie.

Tak wciągnięty wbrew woli w całą historię, zacząłem opowieść, nie opuszczając żadnego ze szczegółów już poprzednio przeze mnie opisanych. Poirot słuchał uważnie, tu i tam wtrącając pytanie, przeważnie jednak siedząc w milczeniu i wpatrując się w sufit.

Zakończyłem wyjściem z Fernly Park wczoraj wieczorem w towarzystwie inspektora.

— A teraz — rzuciła Flora po moim opowiadaniu — proszę powiedzieć wszystko o Ralfie.

Zawahałem się, ale jej spojrzenie było rozkazujące.

— Więc pan poszedł do tej oberży, do tych Trzech Dzików, wczoraj wieczorem w drodze powrotnej do domu? — spytał Poirot, gdy spełniłem jej życzenie. — A dlaczego pan to zrobił?

Chwilę milczałem, dobierając starannie słowa.

— No, ktoś powinien był zawiadomić tego młodego człowieka o śmierci ojczyma. Pomyślałem sobie po wyjściu z Fernly Park, że prawdopodobnie nikt oprócz mnie i pana Acroyda nie wiedział o obecności Ralfa w King's Abbot.

Poirot skinął głową.

— Aha, rozumiem. To był jedyny powód, dla którego pan tam poszedł, tak?

— To był jedyny powód — odparłem sztywno.

— A nie pomyślał pan, że tak powiem, o sprawdzeniu, czy *ienjeune homme** ...

— Sprawdzeniu? Czego?

— Myślę, *monsieur le docteur*, że pan mnie dobrze rozumie, chociaż pan udaje, że tak nie jest. Wydaje mi się, że powitałby pan z wielką ulgą wiadomość, że pan kapitan Paton spędził wieczór, nigdzie nie wychodząc.

— Wcale mi o to nie chodzi! — obruszyłem się. Śmieszny mały detektyw poważnie potrząsnął głową, patrząc mi w oczy.

— Pan mi nie ufa tak jak panna Flora — powiedział. — Ale to nieważne. Musimy na te wypadki spojrzeć inaczej: kapitan Paton zniknął w okolicznościach, które wymagają wyjaśnienia. Nie będę przed panem ukrywał, że sprawa wygląda poważnie. Wyjaśnienie jednak może być zupełnie proste, to przyznaję.

— I ja to samo powiedziałam! — wyrwała się Flora. Poirot nie poruszał już tego tematu, lecz zaproponował

natychmiastowe udanie się na posterunek policji. Uważał, że lepiej będzie, jeśli Flora wróci do siebie, a ja odprowadzę go i przedstawię inspektorowi zajmującemu się sprawą morderstwa.

Tak też zrobiliśmy. Inspektora Davisa zastaliśmy w bardzo ponurym nastroju. Stał przed budynkiem policji z pułkownikiem Melrose'em, szefem policji okręgu, i jeszcze jakimś mężczyzną. Opierając się na niezbyt pochlebnym określeniu Flory, bez trudu rozpoznałem w nim inspektora Raglana z Cranchester.

Znam Melrose'a dosyć dobrze, jemu też w pierwszej kolejności przedstawiłem Poirota i wyjaśniłem powody jego obecności. Szef policji był wyraźnie zaskoczony, a inspektor Raglan wściekły. Davisa natomiast rozbawił widok pochmurnego oblicza przełożonego.

— Cała sprawa wydaje mi się prosta jak kij od szczotki — powiedział Raglan. — Nie ma najmniejszej potrzeby, żeby wtykali w to nos amatorzy. Każdy idiota powinien był dostrzec już wczoraj, jak się rzecz przedstawia. Nie straciłoby się wtedy dwunastu godzin. — Rzucił jadowite spojrzenie na biednego Davisa, który przyjął to z pełnym spokojem.

— Naturalnie rodzina pana Ackroyda może robić, co uważa za stosowne — odezwał się pułkownik Melrose. — Ale my nie zgadzamy się na żadne komplikowanie normalnego toku dochodzenia. Rzecz jasna, znana mi jest sława pana Poirota — dorzucił na ośłodę swoich poprzednich słów.

— Niestety, policja nie potrafi się tak reklamować — powiedział zgryźliwie Raglan.

Poirot uratował jednak sytuację:

— Wycofałem się, co prawda, z publicznego życia. I nie miałem zamiaru podejmować już więcej spraw. Ponad wszystko czuję wrodzony strach przed dziennikarzami i prasą. Dlatego też błagam usilnie, aby w razie gdyby mi się udało czymś przyczynić do wyjaśnienia tajemnicy, moje nazwisko nie było wymieniane.

Twarz inspektora Raglana troszkę się rozjaśniła.

— O tak, nawet tu dochodziły echa pańskich wspaniałych sukcesów — dorzucił pułkownik znacznie łaskawiej.

— Owszem, moje doświadczenie jest duże — powiedział Poirot spokojnie. — Ale większość sukcesów zawdzięczam współpracy z policją. Zachwycom się waszą angielską policją. Jeśli tylko inspektor Raglan pozwoli sobie pomóc, będę jednocześnie szczęśliwy i zaszczycony.

Inspektor zaczął się zachowywać nieco uprzejmiej. Pułkownik Melrose odciągnął mnie na bok.

— Z tego, co słyszałem, ten jegomość w istocie dokonał zupełnie fantastycznych rzeczy — mruknął. — Naturalnie zależy nam na tym, by nie wciągać do sprawy Scotland Yardu. Raglan wydaje się bardzo pewny siebie, ale ja nie we wszystkim się z nim zgadzam. Bo wie pan, no, jak to powiedzieć, znam osoby zorientowane lepiej niż on. Ten pański znajomy nie jest, jak tu powiedzieć, skory do zabierania nam laurów, co? Dyskretnie by z nami współpracował?

— Tak, ku większej chwale inspektora Raglana — odparłem uroczyście.

— No, to dobrze — skostatował wesoło pułkownik Melrose i już głośniejszym głosem zwrócił się do detektywa: — Musimy więc pana wtajemniczyć, panie Poirot, w ostatnie wypadki.

— Będę niezmiernie zobowiązany — podziękował Poirot.

— Mój przyjaciel, doktor Sheppard, wspominał coś, że podejrzewany jest lokaj.

— To wszystko nonsens! — odparł natychmiast Raglan.

— Ta arystokracja lokajska ma takie delikatne nerwy, że zachowuje się podejrzanie bez najmniejszej przyczyny i przy lada okazji.

— A odciski palców? — podsunąłem.

— Zupełnie niepodobne do odcisków Parkera. — Uśmiechnął się słabo i dodał: — Niepodobne również do pańskich odcisków, doktorze, ani do odcisków pana Raymonda.

— A do odcisków kapitana Patona? — spytał cicho Poirot.

Czułem ukryty podziw dla Poirota. Od razu chwycił byka za rogi. W oczach inspektora zauważyłem również błysk szacunku.

— Ho ho, widzę, że nie traci pan czasu, panie Poirot. Współpraca z panem okazuje się prawdziwą przyjemnością. Więc jeśli o to chodzi, sprawdzimy odciski palców kapitana Patona, jak tylko go odnajdziemy.

— A ja jednak sędzę, że pan się myli, inspektorze — zaprotestował gorąco pułkownik Melrose. — Znam Ralfa Patona od dziecka. On nigdy by nie popełnił morderstwa.

— Może i nie — odparł inspektor drewnianym głosem.

— Cóż właściwie wskazuje na niego, inspektorze? — spytałem.

— Opuścił gospodę wczoraj o dziewiątej. Po raz ostatni widziano go w okolicy Fernly Park właśnie około dziewiątej trzydzieści. Od tego czasu zniknął. Rzekomo był w kłopotach finansowych. Znalazłem parę jego półbutów na gumowej podeszwie. Miał podobno dwie pary takich samych.

Wziąłem te buty i idę teraz porównać je ze śladami na oknie. Zostawiłem policjanta, żeby nikomu nie pozwolił się tam kręcić.

— Chodźmy więc od razu — powiedział pułkownik Melrose. — Pan, doktorze, i pan Poirot będą nam towarzyszyć, prawda?

Przyjęliśmy zaproszenie i udaliśmy się wszyscy do Fernly Park samochodem pułkownika. Inspektorowi pilno było porównać ślady na parapecie z podeszwami półbutów i poprosił, by go wysadzono zaraz za bramą, skąd w bok od głównego podjazdu biegła ścieżka w kierunku tarasu i okna do gabinetu Ackroyda.

— Chce pan pójść razem z inspektorem, panie Poirot — spytał szef policji — czy też woli pan obejrzeć gabinet?

Poirot wybrał tę drugą propozycję. Drzwi otworzył nam Parker. Zachowywał się dostojnie i obojętnie, jakby już całkowicie odzyskał równowagę po wstrząsie minionego dnia.

Pułkownik Melrose wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi z hallu do małego przedpokoju, skąd weszliśmy od razu do gabinetu Ackroyda.

— Poza tym, że ciało zostało już zabrane, panie Poirot, wszystko znajduje się dokładnie na tym samym miejscu co wczoraj wieczorem.

— A ciało gdzie znaleziono?

Bardzo szczegółowo opisałem położenie ciała Ackroyda. Fotel w dalszym ciągu stał przed kominkiem. Poirot podszedł i zagłębił się w fotelu.

— A niebieski list, o którym pan wspominał, gdzie leżał, gdy opuszczał pan pokój?

— Pan Ackroyd położył go na małym stoliku po prawej ręce.

Poirot skinął głową.

— Poza tym listem wszystko znajdowało się potem na tym samym miejscu?

— Tak mi się wydaje.

— Panie pułkowniku, czy byłby pan łaskaw na chwilę usiąść w tym fotelu? Dziękuję uprzejmie. A teraz, *monsieur le docteur*, czy byłby pan łaskaw wskazać mi dokładne położenie sztyletu?

Gdy spełniałem to życzenie, mały detektyw obserwował mnie od progu.

— A więc rękojeść sztyletu była widoczna od drzwi. I pan, i Parker mogliście zauważyć go natychmiast?

— Tak.

Poirot podszedł następnie do okna.

— Naturalnie światło się paliło, kiedy panowie znaleźli ciało? — spytał przez ramię.

Potwierdziłem to i zbliżyłem się do niego. Poirot oglądał ślady na parapecie.

— Odciski gumowych spodów są bardzo podobne wzorem do podeszew butów kapitana Patona — zauważył cicho.

Potem wrócił na środek pokoju. Oczy jego wędrowały dokoła, szybkim i wprawnym spojrzeniem obejmując każdy szczegół.

— Czy pan jest dobrym obserwatorem, doktorze Sheppard? — spytał wreszcie.

— Tak mi się wydaje — odparłem lekko zdziwiony.

— Na kominku palił się ogień, jak widzę. Kiedy pan wyważył drzwi i znalazł pana Ackroyda zamordowanego, to ogień się jeszcze palił, tak? Czy dogasał?

Roześmiałem się trochę zakłopotany.

— Trudno mi naprawdę powiedzieć. Nie zauważyłem. Może pan Raymond albo major Blunt...

Mały detektyw potrząsnął głową i lekko się uśmiechnął.

— Zawsze trzeba postępować według pewnej metody. Popełniłem błąd, zadając panu to pytanie. Każdy człowiek ma krąg swoich zainteresowań. Pan może mi opisać szczegółowo wygląd pacjenta, nic pan nie opuści. Gdybym chciał informacji co do papierów na biurku, to spytać powinienem pana Raymonda, który zapewne zauważył wszystko, co można zauważyć. Jeśli idzie o ogień na kominku,

muszę spytać człowieka, którego obowiązkiem jest zwracać na takie rzeczy uwagę. Panowie pozwolą...

Podszedł szybko do kominka i pociągnął za sznur dzwonka.

Po chwili pojawił się Parker.

— Słyszałem dzwonek — rzekł z wahaniem.

— Wejdz, Parker — odezwał się pułkownik Melrose. — Ten pan pragnie zadać kilka pytań. — Wskazał Poirota.

Parker przeniósł swą pełną szacunku uwagę na detektywa.

— Parker — powiedział Poirot — kiedy wyważyliście z doktorem Sheppardem drzwi do gabinetu wczoraj wieczorem i znaleźliście twojego pana zamordowanego, to jaki był ogień na kominku?

Parker odpowiedział bez namysłu:

— Prawie wszystko się wypaliło, proszę pana. Omal wygasło.

— Ach! — Był to okrzyk niemal triumfujący. Poirot ciągnął dalej: — Obejrzyj dokładnie gabinet, Parker. Czy wszystko jest tak, jak było?

Oczy Parkera przesunęły się kolejno po całym gabinecie, wreszcie spoczęły na oknie.

— Story były zaciągnięte, proszę pana. I paliło się światło. Poirot przytaknął skinieniem głowy.

— I coś jeszcze?

— Tak, proszę pana, ten fotel był nieco bardziej wysunięty. Wskazał wielki fotel wolterowski, który stał na lewo od drzwi, właśnie pomiędzy drzwiami i oknem. Na załączonym planie pokoju fotel, o którym mowa, oznaczony jest literą x.

— Proszę mi pokazać, jak stał — powiedział Poirot. Lokaj odsunął fotel z pół metra od ściany i obrócił go w kierunku drzwi.

— *Voilà, ce qui est curieux* * — mruknął Poirot. — Kto by chciał siedzieć w fotelu podobnie ustawionym! Dziwne. I któż ten fotel odstawił z powrotem na miejsce? Czy to wy, Parker?

— Nie, proszę pana — odparł Parker. — Byłem zbyt zdenerwowany widokiem mojego pana i tym wszystkim...

Poirot spojrzał w moim kierunku.

— Może pan, doktorze? Potrząsnąłem głową.

— Fotel stał już na swoim miejscu, kiedy wróciłem z policją, proszę pana — wtrącił Parker. — Jestem tego pewien.

— Ciekawe — powtórzył Poirot.

— Pewno przesunął go Raymond albo Blunt — podsunąłem. — Ale to chyba nie jest ważne?

— To zupełnie nieważne — odparł Poirot. — I dlatego jest takie ciekawe — mruknął miękko.

— Przepraszam na chwilę — powiedział pułkownik Melrose i wyszedł z gabinetu za Parkerem.

— Czy pan sądzi, że Parker mówi prawdę? — spytałem.

— O fotelu? Tak. O innych rzeczach, nie wiem. Jeśli się ma do czynienia z wieloma sprawami, *monsieur le docteur*, to szybko dochodzi się do wniosku, że pod jednym względem są one wszystkie do siebie podobne.

— Mianowicie pod jakim? — spytałem z zaciekawionym.

— Wszyscy zainteresowani chcą coś ukryć.

— Czy i ja też? — zagadnąłem z uśmiechem. Poirot przyjrzał mi się uważnie.

— Myślę, że tak — odparł spokojnie. — Ale!...

— Czy powiedział mi pan wszystko, co wie pan o młodym Patonie? — Uśmiechnął się, gdy poczerwieniałem. — Och, niech się pan nie obawia, nie będę nalegał. I tak się dowiem w swoim czasie.

— Bardzo bym chciał poznać pańską metodę — powiedziałem szybko, usiłując pokryć zmieszanie. — Na przykład, co pan chce udowodnić w związku z ogniem na kominku?

— To bardzo proste. Pan pożegnał Ackroyda o ósmej pięćdziesiąt, nie?

— Tak, chyba dokładnie o ósmej pięćdziesiąt.

— Okno było wtedy zamknięte i zaryglowane, drzwi nie—zamknięte. O dziesiątej piętnaście, kiedy znaleziono ciało, drzwi są zaryglowane, a okno otwarte. Kto je otworzył? Jasne, że uczynić to mógł tylko pan Ackroyd, a to z jednego z dwóch powodów: albo w pokoju zrobiło się nieznośnie gorąco (ale ponieważ ogień prawie już wygasiał, a wieczorem bardzo się ochłodziło, nie to było powodem), albo chciał kogoś wpuścić do gabinetu. A jeśli kogoś wpuszczał przez okno, to ten ktoś musiał być mu dobrze znany, ponieważ poprzednio pan Ackroyd bardzo się niepokoił tym oknem.

— Wydaje mi się to bardzo proste — zauważyłem.

— Wszystko jest proste, jeśli ułoży się fakty metodycznie. Teraz interesuje nas osoba, która przebywała z panem Ackroydem o godzinie dziewiątej trzydzieści. Wszystko wskazuje, że był to

właśnie ów osobnik wpuszczony przez okno, i chociaż panna Flora widziała później pana Ackroyda w pełni sił, nie możemy zbliżyć się do rozwiązania tajemnicy, jeśli się nie dowiemy, kim był tamten gość. Okno mogło pozostać otwarte po jego odejściu i umożliwić wejście mordercy albo też ten sam osobnik mógł powrócić po raz drugi.

A, pułkownik.

Pułkownik Melrose wszedł bardzo ożywiony.

— Wreszcie udało nam się sprawdzić tę rozmowę telefoniczną — powiedział. — Nie przeprowadzono jej stąd. Do doktora Shepparda dzwoniono wczoraj o dziesiątej piętnaście z publicznej rozmównicy na dworcu kolejowym w King's Abbot, a o dziesiątej dwadzieścia trzy odjeżdża nocny pociąg do Liverpoolu.

Rozdział ósmy

Inspektor Raglan jest pewny siebie

Spojrzelismy po sobie.

— Jeszcze pan przeprowadzi dochodzenie na stacji, prawda? — spytałem.

— Jasna rzecz, choć nie spodziewam się po tym wiele. Wie pan przecież, jak wyglądają perony?

Wiedziałem. King's Abbot to właściwie wioska, ale stacja jest ważnym węzłem kolejowym. Zatrzymuje się tam większość pociągów pospiesznych, zmienia składy i doczepia wagony. Na peronach stoi kilka budek telefonicznych. Około dziesiątej przychodzą w bliskich odstępach czasu trzy lokalne pociągi, by zapewnić połączenie z ekspresem na północ, który przyjeżdża o dziesiątej dziewiętnaście i odjeżdża o dziesiątej dwadzieścia trzy. Cały dworzec tętni wtedy życiem i nie ma prawie żadnych szans, by ktoś o tej porze zauważył jakąś konkretną osobę telefonującą lub wsiadającą do pociągu.

— Ale nie widzę w ogóle celu tego telefonu — powiedział Melrose. — To właśnie mnie zdumiewa. Nie ma w tym ani rytmu, ani rymu.

Poirot delikatnie przesuwał jakąś figurynkę na półce z książkami.

— Niech pan będzie spokojny, pułkowniku, był powód — odparł przez ramię. — Ale jaki?

— Kiedy dowiemy się tego, będziemy mieli rozwiązanie całej zagadki. To jest bardzo interesująca i ciekawa zagadka.

W tonie Poirota kryło się coś, co trudno opisać słowami: Czułem, że wyrobił już sobie własne, odmienne od innych zdanie, a to, co wie, zachowuje wyłącznie dla siebie.

Podszedł do okna i spojrzał na ogród.

— Pan mówi, doktorze, że spotkał tego obcego pod bramą o godzinie dziewiątej? — zapytał, nie odwracając głowy.

— Tak — odpowiedziałem. — Słyszałem właśnie bicie zegara na wieży kościelnej.

— Ile czasu potrzebowalby ten człowiek, żeby dojść do domu? Na przykład pod to okno?

— Najwyżej pięć minut. Albo dwie do trzech minut, jeśli skorzystał ze ścieżki, która skrótem prowadzi od głównego podjazdu do samego tarasu.

— No tak, ale musielibyśmy przyjąć, że znał drogę. Chciałem powiedzieć: gdybyśmy przyjęli, że

on już kiedyś był i znał rozkład parku.

— To prawda — zgodził się pułkownik Melrose.

— Można sprawdzić, czy w ubiegłym tygodniu odwiedził pana Ackroyda ktoś obcy, tak? — spytał Poirot.

— Geoffrey Raymond mógłby nam to powiedzieć — podsunąłem.

— Albo Parker — zaproponował pułkownik Melrose.

— *Ou tous les deux** — uśmiechnął się Poirot.

Pułkownik Melrose ruszył na poszukiwanie Raymonda, a ja raz jeszcze zadzwoniłem na Parkera.

Pułkownik wrócił bardzo szybko w towarzystwie sekretarza i przedstawił go Poirotowi. Geoffrey Raymond był wypoczęty i jak zwykle w świetnym humorze. Wydawał się zdziwiony i jednocześnie zachwycony obecnością sławnego detektywa.

— Nie miałem pojęcia, że przez cały czas mieszkał pan incognito w naszym sąsiedztwie — powiedział. — To dla mnie wielki zaszczyt móc obserwować pana w akcji. A cóż to takiego?

Poirot stał na lewo od drzwi. Teraz nagle się odsunął i zauważyłem, że podczas gdy spoglądałem w przeciwnym kierunku, wypchnął szybkim ruchem fotel na miejsce wskazane uprzednio przez Parkera.

— Chce pan posadzić mnie w fotelu i poddać badaniom tętna? — spytał Raymond żartobliwie. — O co chodzi?

— Proszę pana, wczoraj wieczorem ten fotel znajdował się właśnie w takim położeniu. Kiedy znaleziono pana Ackroyda zamordowanego, ktoś przesunął go z powrotem pod ścianę.

Sekretarz odpowiedział bez chwili wahania:

— Nie, po co miałbym to robić? Zresztą nawet sobie nie przypominam, jak on stał. Może i tak stał, skoro pan mówi, w każdym razie ktoś inny musiał odsunąć go na dawne miejsce. Czy przez to zniszczono jakiś ważny dowód rzeczowy? To byłoby fatalne.

— Nie, to nieważne — odparł detektyw. — To zupełnie nieważne. Chciałem pana właściwie zapytać o coś całkiem innego. Czy w ubiegłym tygodniu odwiedził pana Ackroyda ktoś obcy?

Sekretarz zastanawiał się chwilę, ściągnąwszy brwi. W tym czasie, wezwany dzwonkiem, wszedł do gabinetu Parker.

— Nie! — odparł wreszcie Raymond. — Nie przypominam sobie nikogo. A wy, Parker?

— Przepraszam pana, nie rozumiem?

— Czy w zeszłym tygodniu był u pana Ackroyda ktoś obcy?

Lokaj też zastanawiał się dłuższą chwilę.

— W środę był ten młody człowiek, proszę pana — powiedział wreszcie. — Słyszałem, że z firmy Curtis i Troute.

Raymond lekceważąco machnął ręką.

— A tak, przypominam sobie, ale pan Poirot na pewno nie pyta o tego rodzaju wizyty. — Obrócił się do detektywa. — Pan Ackroyd miał zamiar kupić dyktafon. To by znacznie usprawniło dyktowanie listów. Firma, która je sprzedaje, przysłała swojego przedstawiciela, lecz nic z tego nie wyszło. Pan Ackroyd nie mógł się zdecydować.

Poirot zwrócił się do Parkera:

— Opiszcie mi tego młodego człowieka, Parker.

— Bardzo porządnie wyglądający młody człowiek, biorąc pod uwagę zajęcie i stanowisko. Niski blondyn, przyzwoicie ubrany, w granatowym garniturze.

Poirot z kolei obrócił się do mnie:

— Mężczyzna, którego pan spotkał przy bramie, doktorze, był wysoki czy niski?

— Wysoki — odparłem. — Co najmniej metr osiemdziesiąt.

— A więc to nie ten sam — oświadczył Belg. — Dziękuję, Parker.

Lokaj odezwał się do Raymonda:

— Przyszedł pan Hammond, proszę pana. Pragnie wiedzieć, czy może w czymś pomóc, i chciałby zamienić z panem kilka słów.

— Już idę — odparł sekretarz i wyszedł szybko z gabinetu. Poirot spojrzał pytającym wzrokiem na szefa policji.

— Adwokat rodziny — wyjaśnił pułkownik Melrose.

— Ciężkie dni dla młodego Raymonda — mruknął Poirot. — Ale widać, że daje sobie radę.

— Pan Ackroyd bardzo go cenił.

— Od dawna tu jest?

— Wydaje mi się, że ponad dwa lata.

— I swoje obowiązki wykonuje dokładnie. Jestem pewien. A czym się bawi? No, czym się

zajmuje, no, *le sport*?

— Prywatni sekretarze nie mają czasu na podobne rzeczy — odparł pułkownik Melrose z uśmiechem. — Raymond gra w golfa, jeśli się nie mylę, a latem w tenisa.

— A na tory nie chodzi? Chciałem powiedzieć na końskie tory?

— Na wyścigi? Nie, nie sędzę, aby interesowały go wyścigi konne.

Poirot skinął głową i wydawało się, że temat ten przestał go zaprzętać. Rozejrzał się uważnie po gabinecie.

— Chyba zobaczyłem wszystko, co było do zobaczenia. Także się rozejrzałem.

— Gdybyż te mury mogły przemówić — mruknąłem. Poirot pokręcił głową.

— Język nie wystarczy — powiedział. — Murom potrzeba by było jeszcze uszu i oczu. Ale niech się panu nie zdaje, że te martwe przedmioty są zawsze nieme — mówiąc to, dotknął wierzchu jednej z półek na książki. — Czasami one mówią. Do mnie. Krzesła, stoły, one przekazują mi wiadomości.

Obrócił się w stronę drzwi.

— Jakie wiadomości?! — wykrzyknąłem. — Cóż one panu dzisiaj powiedziały?

Obejrzał się przez ramię i podniósł znacząco jedną brew.

— Otwarte okno! Zamknięte drzwi! Krzesło, które samo zmieniło swoje położenie. Te trzy przedmioty ja pytam: „dlaczego”, a one mi nie odpowiadają.

Znowu potrząsnął głową, napuszył się, wypiął pierś i stał, mrugając oczami. Wyglądał strasznie śmiesznie w tym poczuciu własnej ważności. W mojej głowie zrodziła się wątpliwość, czy jest on rzeczywiście tyle wart jako detektyw. Może jego reputacja została zbudowana po prostu na serii szczęśliwych zbiegów okoliczności?

Wydaje mi się, że ta sama myśl uderzyła jednocześnie pułkownika Melrose'a, gdyż zmarszczył brwi.

— Czy chciałby pan jeszcze coś powiedzieć? — spytał krótko Poirota.

— Owszem, może byłby pan łaskaw pokazać mi ów srebrny stół, z którego wzięto sztylet? Potem już nie będę narzucał panu swojej osoby.

Poszliśmy do salonu. Po drodze policjant zatrzymał pułkownika i po chwili przyciszonej rozmowy ten ostatni przeprosił nas i obaj zniknęli. Pokazałem Poirotowi srebrny stół. Poirot otwierał go i zamykał z hałasem parę razy, następnie podszedł do ogrodowych drzwi i wyszedł na taras. Pośpieszyłem za nim.

Zza rogu domu ukazał się właśnie inspektor Raglan i zmierzał w naszym kierunku. Twarz jego była ściągnięta, ale jednocześnie wyrażała zadowolenie.

— A, tu pan jest, panie Poirot! — powiedział. — Niestety, sprawa zamknięta, bardzo mi przykro. Miły chłopak, ale zszedł na złą drogę.

Poirot zasmucił się i spytał łagodnie:

— A więc nie będę mógł panu służyć żadną pomocą?

— Może następnym razem — odparł pocieszająco inspektor. — Chociaż, prawdę powiedziawszy, nieczęsto zdarzają się morderstwa w naszym cichym zakątku świata.

Poirot spojrział na niego z zachwytem.

— Pan pracuje z niesłychaną doskonałością, inspektorze — zauważył. — Jakże pan wykrył mordercę, jeśli wolno spytać?

— Ależ proszę bardzo! Przede wszystkim metoda. Zawsze to mówię, tylko metoda.

— Ach! — wykrzyknął Poirot. — To również moje ulubione słowo. Metoda, porządek i małe szare komórki.

— Komórki? — spytał inspektor, wytrzeszczając oczy.

— Tak, małe komórki mózgu — wyjaśnił Belg.

— Aha, aha, no tak, wszyscy z nich chyba korzystamy.

— W mniejszym lub większym stopniu — mruknął Poirot. — Są także różnice w ich jakości. Poza tym jest psychologia zbrodni. Trzeba i to studiować.

— Eee! — odparł inspektor. — I pan się zaraził tą całą bzdurą na temat psychoanalizy? Nie, ja jestem prosty człowiek...

— Jestem pewien, że pani Raglan by się z tym nie zgodziła — powiedział Poirot, kłaniając się uprzejmie.

Inspektor, zaskoczony, również się uklonił.

— Nie zrozumiał mnie pan — odparł, krzywiąc twarz w uśmiechu. — Boże, jakąż różnicę czyni język! Ja tylko opowiadam panu, jak zabrałem się do roboty. Przede wszystkim metoda. Pana Ackroyda widziała panna Flora o godzinie dziewiątej czterdzieści pięć. To fakt numer jeden, prawda?

— Skoro pan tak mówi...

— To pierwszy fakt. O dziesiątej trzydzieści doktor Sheppard powiedział, że pan Ackroyd nie żyje co najmniej od pół godziny. Pan to podtrzymuje, doktorze?

— Naturalnie — odparłem. — Pół godziny albo i dłużej.

— Bardzo dobrze. Pozostaje nam dokładnie piętnaście minut, w czasie których popełniono morderstwo. Robię listę wszystkich mieszkańców domu i przy każdym nazwisku notuję, gdzie dana osoba przebywała między godziną dziewiątą czterdzieści pięć i dziesiątą.

Wręczył kartkę Poirotowi. Czytałem detektywowi przez ramię. Lista sporządzona wyraźnym charakterem pisma wyglądała, jak następuje:

Major Blunt — w pokoju bilardowym z panem Raymondem (ten ostatni potwierdza).

Pan Raymond — jak wyżej.

Pani Ackroyd — 9.45 przygląda się rozgrywce bilardowej.

Idzie spać o 9.55 (Raymond i Blunt widzą, jak wchodzi po schodach).

Panna Ackroyd — z gabinetu stryja poszła prosto na górę (potwierdził to Parker i pokojówka Elsie Dale).

Służba:

Parker — poszedł prosto do pokoju służby. (Potwierdziła panna Russell, która zeszła na dół coś mu powiedzieć o 9.47 i pozostawała z Parkerem co najmniej dziesięć minut).

Panna Russell — jak wyżej. Rozmawiała również z pokojówką Elsie Dale na piętrze o 9.45.

Urszula Bourne, pokojówka — w swoim pokoju do 9.55, następnie w pokoju służby.

Pani Cooper, kucharka — w pokoju służby.

Gladys Jones, pokojówka — w pokoju służby.

Elsie Dale — na piętrze w sypialni. Widziała ją tam panna Russell i panna Ackroyd.

Mary Thrupp, pomoc kuchenna — w pokoju służby.

— Kucharka służy w tym domu siedem lat — wyjaśniał inspektor. — Urszula Bourne osiemnaście miesięcy, Parker ponad rok. Pozostali od niedawna. Poza jakąś dziwną historią z Parkerem wszyscy wydają się w porządku.

— Bardzo kompletna lista — powiedział Poirot, zwracając ją inspektorowi. — Jestem pewien, że Parker nie zamordował pana Ackroyda — dodał poważnie.

— To samo powiedziała moja siostra — wtrąciłem. — A ona ma przeważnie rację.

Nikt nie zwrócił uwagi na moje słowa.

— To załatwia dosyć wyczerpująco sprawę domowników — ciągnął inspektor. — Teraz dochodzimy do bardzo ważnego punktu. Mary Black, to ta kobieta w stróżówce, zaciągała właśnie zasłony wczoraj wieczorem, kiedy zobaczyła Ralfa Patona, jak przechodził przez bramę, idąc w stronę domu.

— Jest tego pewna? — spytałem ostro.

— Zupełnie pewna. Zna go bardzo dobrze z widzenia.

Minął bramę dość szybko i od razu skręcił na ścieżkę prowadzącą w kierunku tarasu.

— A o której to było godzinie? — spytał Poirot, który dotychczas siedział niewzruszony.

— Dokładnie o godzinie dziewiętej dwadzieścia pięć — powiedział inspektor z powagą.

Zapadła cisza. Potem inspektor znowu zaczął mówić:

— Sprawa jest zupełnie jasna. Nie ma obawy o najmniejszy błąd, wszystko pasuje. O dziewiętej dwadzieścia pięć kapitan Paton przechodzi koło bramy i mija stróżówkę, o dziewiętej trzydzieści albo coś koło tego pan Geoffrey Raymond słyszy, jak ktoś nagabuje pana Ackroyda o pieniądze i pan Ackroyd odmawia. Cóż dzieje się potem? Kapitan Paton opuszcza gabinet tą samą drogą, jaką przyszedł, przez okno. Jest zły i nie wie, co dalej robić. Spaceruje po tarasie. Podchodzi do otwartego okna saloniku. Powiedzmy, że jest godzina za kwadrans dziesiąta. Właśnie wtedy panna Flora Ackroyd mówi dobranoc stryjowi, major Blunt, pan Raymond i pani Ackroyd są w pokoju bilardowym. W salonie nie ma nikogo. Kapitan Paton zakrada się, bierze sztylet ze srebrnego stołu i powraca pod okno gabinetu. Zdejmuje buty, wchodzi do gabinetu, no i... po co mamy powtarzać wszystkie szczegóły. Potem wymyka się przez okno i ucieka. Nie ma odwagi wrócić do gospody, jedzie więc od razu na stację, stamtąd dzwoni do doktora...

— Po co? — przerwał cichutko Poirot.

Poderwałem się. Krępy detektyw pochylił się do przodu. Oczy błyszczały mu jakimś dziwnym, zielonym światłem.

Przez chwilę inspektor Raglan wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

— Trudno dokładnie powiedzieć po co — odezwał się wreszcie. — Ale mordercy robią dziwne rzeczy. Wiedziałby pan o tym, gdyby pan służył w policji. Najsprytniejsi z nich robią najgłupsze posunięcia. Ale niech pan pójdzie za mną, to pokażę panu ślady butów.

Poszliśmy wszyscy za inspektorem na taras aż pod okno gabinetu. Na rozkaz Raglana policjant pokazał obuwiu przyniesione z gospody.

Inspektor Raglan przyłożył je do śladów.

— Te same — powiedział z pewnością w głosie. — To znaczy, nie ta sama para, ale taka sama. W tej drugiej Paton uciekł. Te półbuty są zupełnie podobne, tylko nieco starsze, widzą panowie, że gumowe fleki są mocno ścięte.

— Ale przecież wielu ludzi nosi obuwiu z gumowymi podeszwami — powiedział Poirot.

— To prawda, racja — odparł inspektor. — I nie kładłbym specjalnego nacisku na sprawę śladów, gdyby nie towarzyszyły temu wszystkie inne okoliczności.

— Bardzo nierozsądny młody człowiek ten kapitan Paton — odezwał się Poirot zamyślony. — Zostawiać tyle śladów swojej obecności!

— No cóż! — zaśmiał się inspektor. — Wieczór był ciepły, suchy, więc pan Paton nie zostawił żadnych odcisków na ścieżce czy tarasie, ale na nieszczęście dla niego trochę wody zebrało się właśnie tu, gdzie kończy się żwir. Proszę spojrzeć.

Pod sam taras podchodziła zwirowana alejka. W jednym miejscu, o parę jardów od nas, ziemia była nasiąknięta wodą z płynącej wąskiej strużyny. Przez to miejsce przechodziło kilka śladów stóp, a między innymi ślady butów na gumowych podeszwach.

Poirot poszedł kawałek alejką. Inspektor mu towarzyszył. Ja ruszyłem za nimi.

— Zauważył pan ślady damskich pantofli? — spytał Poirot nagle.

Raglan się roześmiał:

— Naturalnie. Wiele kobiet przechodziło tą drogą. I wielu mężczyzn. Ten skrót prowadzi do bramy. Trudno by nam było zidentyfikować wszystkie ślady. Dla nas ważne są tylko te na parapecie okiennym.

Poirot skinął głową.

— Nie ma sensu iść dalej — zawyrokował inspektor, gdy znaleźliśmy się w pobliżu głównego podjazdu. — Dalej żwir jest zupełnie twardy.

Poirot po raz wtóry skinął głową. Wzrok utkwiał w małym pawiloniku, czymś w rodzaju bardzo rozbudowanej altany. Wznosił się on po lewej stronie alejki, na której staliśmy, i prowadziła do niego również zwirowana, wąska ścieżka.

Poirot pokręcił się na miejscu, póki inspektor nie wrócił do domu. Następnie spojrział na mnie.

— Pan rzeczywiście został mi chyba zesłany przez dobrego Boga, żeby zastąpić mojego

przyjaciela Hastingsa, doktorze — powiedział z szelmowskim błyskiem w oczach. — Widzę, że nie opuszcza pan mojego boku. Co pan powie na obejrzenie tej altany, doktorze Sheppard? Ona mnie interesuje.

Podszedł do pawiloniku i otworzył drzwi. Wnętrze było zupełnie mroczne. Znajdowały się tam dwa ogrodowe krzesła, sprzęt do krokieta i kilka złożonych leżaków.

Zaskoczyło mnie zachowanie mojego nowego przyjaciela. Opadł na ręce i kolana, nieomal zaczął się czołgać po podłodze. Co parę chwil potrząsał głową, jakby był z czegoś niezadowolony. Wreszcie przysiadł na piętach.

— Nic — mruknął. — No, może nie powinienem był niczego się spodziewać. Ale znaczyłoby to bardzo wiele, gdybym...

Urwał w pół zdania i cały się nastroszył. Potem wyciągnął rękę w kierunku jednego z ogrodowych krzeseł i oderwał coś od poręczy.

— Co to jest?! — wykrzyknąłem. — Co pan znalazł? Uśmiechnął się, rozwierając dłoń, na której zobaczyłem kawałek białej, wykrochmalonej tkaniny.

Wziąłem to w palce, obejrzałem ciekawie i zwróciłem Poirotowi.

— I co pan o tym myśli, przyjacielu? — spytał, przyglądając mi się podniecony.

— No cóż, kawałek chusteczki — podsunąłem, wzruszając ramionami.

Poirot uczynił jeszcze jedną, równie nagłą jak poprzednio wyprawę w kierunku krzesła i ręka jego wróciła z nową zdobyczą: maleńkim piórkiem, z wyglądu gęsim.

— A to?! — wykrzyknął triumfalnie. — Co pan myśli o tym?

Nic nie odpowiedziałem.

Schował piórko do kieszeni i spojrzał ponownie na skrawek białej materii.

— Kawałek chusteczki? — uśmiechnął się. — Może pan ma rację. Ale niech pan pamięta, że dobra praczka nie krochmali chustek!

Pokiwał triumfalnie głową, następnie schował biały skrawek między kartki notesu.

Rozdział dziewiąty

Sadzawka ze złotymi rybkami

Wróciliśmy do domu razem. Inspektora już nie było. Poirot chwilę zatrzymał się na tarasie i obrócił plecami do domu. Uważnie rozglądał się w lewo i prawo.

— *Une belle propriete** — powiedział z uznaniem w głosie.

— Kto ją dziedziczy?

Jego słowa wstrząsnęły mną. Dziwna rzecz, ale do chwili obecnej sprawa dziedziczenia po Ackroydzie nie przyszła mi do głowy. Poirot przyglądał mi się uważnie.

— To dla pana nowa myśl, tak? — powiedział po chwili.

— Pan nie myślał o tym przedtem?

— Nie — odparłem zupełnie szczerze. — Przykro mi, ale nie pomyślałem.

Spojrzał na mnie ciekawie.

— Z kolei ja jestem zainteresowany, co pan przez to chce powiedzieć — mruknął w zadumie. — Ale nie, niech pan nie mówi — odezwał się w chwili, gdy już otwierałem usta. — *Inutile**! Pan mi nie powierzy swoich prawdziwych myśli.

— Każdy ma coś do ukrycia — przytoczyłem słowa Poirota, uśmiechając się.

— Właśnie!

— Dalej tak pan uważa?

— Jeszcze bardziej niż poprzednio, mój przyjacielu. Ale niełatwo jest coś ukryć przed Herkulesem Poirotem. On ma talent wykrywania wszystkiego. — Mówiąc to, schodził z tarasu między klomby. — Przejdźmy się trochę — rzucił przez ramię. — Dziś jest takie świeże powietrze.

Poszedłem za nim. Poprowadził mnie alejką, po obu stronach obrośniętą bukszpanowym żywopłotem. Poszliśmy w głąb ogrodu, gdzie otoczona strojnymi rabatami kwiatów znajdowała się mała sadzawka ze złotymi rybkami. Brzegi jej były wyłożone płytami, a po jednej stronie stała ławeczka. Zamiast iść ścieżką do końca Poirot skręcił w alejkę, która biegła zygzakiem po zadrzewionym zboczu. W jednym miejscu wycięto parę drzew i ustawiono ławeczkę. Można się było stamtąd napawać ślicznym widokiem całej okolicy, a w dole błyszczała tafla sadzawki.

— Anglia jest bardzo piękna! — powiedział Poirot, błędząc wzrokiem po okolicy. Potem się uśmiechnął. — I angielskie dziewczęta też są bardzo piękne — powiedział szeptem. — Cicho, przyjacielu, spójrz na piękny obrazek przed naszymi oczami.

Dopiero wtedy ujrzałem Florę. Szła alejką, którą my niedawno szliśmy, i nuciła piosenkę. Właściwie nie szła, tylko posuwała się tanecznym krokiem i mimo żałobnej sukni z zachowania jej przebijały wyłącznie zadowolenie i radość. Zrobiła parę piruetów na palcach, a czarny materiał rozwiął się szerokim kołem. W tym samym momencie przechyliła głowę do tyłu i roześmiała się głośno.

Nagle zza drzew wyszedł mężczyzna. Był to Hektor Blunt.

Dziewczyna zastygła i wyraz jej twarzy lekko się zmienił.

— Zaskoczył mnie pan tak znienacka! Nie widziałam pana!

Blunt nic nie odpowiedział, stał i przez długą chwilę wpatrywał się milcząco we Florę.

— Co mi się w panu podoba — rzekła nieco zjadliwie — to pańska umiejętność prowadzenia dowcipnej rozmowy.

Wydało mi się, że na te słowa Blunt poczerwieniał pod opalenizną. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał inaczej niż zwykle, jakby zabarwiony akcentem dziwnej pokory:

— Nigdy nie byłem rozmowny. Nawet jako chłopiec.

— To musiało być bardzo dawno temu. — Flora mówiła poważnie, jednak z ukrytą nutką drwiny. Wątpię, czy Blunt to zauważył.

— Tak — odparł prosto. — Dawno.

— No i jak pan się czuje jako Matuzalem? — spytała Flora. Tym razem żart był bardziej uchwytny, ale Blunt i tego nie dostrzegł, gdyż myśli jego szły zupełnie innym torem.

— Pamięta pani, gość sprzedał duszę diabłu, a ten zrobił go znowu młodym. Jest taka opera.

— Myśli pan o Fauście?

— Tak, właśnie. Głupia historia. Ale niejeden chętnie by się na to zgodził. Gdyby mógł.

— Słyszając pańskie słowa, można by pomyśleć, że panu grzechoczą już kości! — wykrzyknęła Flora, na poły rozbawiona, na poły skrępowana tą rozmową.

Przez parę minut Blunt nie odpowiadał. Potem odwrócił głowę i spojrzawszy w przestrzeń, wygłosił do odległego pniaka sentencję, iż czas wracać do Afryki.

— Wybiera się pan na nową ekspedycję, polowanie na grubego zwierza i różne takie?

— Chyba tak. Zwykle to robię. To znaczy, poluję i w ogóle.

— To pan ustrzelił to zwierzę, którego łeb wisi w hallu? Blunt skinął głową. Potem wyrzucił z siebie, czerwieniąc się mocno:

— Lubi pani ładne skórki? Mógłbym pani przysłać.

— O, bardzo proszę! — wykrzyknęła Flora. — Przyśle pan naprawdę? Nie zapomni pan?

— Nie zapomnę — odparł Hektor Blunt i po chwili dodał w nagłym wybuchu gadatliwości: — Czas, żebym pojechał. Nic tu po mnie. Brak mi wychowania do takiego trybu życia. Jestem cham, żadnego ze mnie pożytku w towarzystwie. Nigdy nie wiem, co trzeba powiedzieć w danej chwili. Tak, czas, żebym pojechał.

— Ale chyba nie od razu! — wykrzyknęła Flora. — Nie, nie teraz, kiedy mamy tę straszną sytuację. Proszę! Gdyby pan wyjechał... — Spojrzała gdzieś w bok.

— Chce pani, żebym został? — spytał Blunt z dobrze ukrywanym zadowoleniem.

— My wszyscy...

— Ja pytam, czy pani chce — powtórzył Blunt bez owijania w bawełnę.

Flora obróciła się powoli i spojrzała mu w oczy.

— Tak, chcę — odparła. — Jeśli panu na tym zależy...

— Bardzo mi na tym zależy — powiedział.

Nastąpiła chwila ciszy. Usiedli na kamiennej ławeczce koło sadzawki. Wydawało się, że żadne z nich nie wie, co dalej mówić.

— Jest taki... Jakiż piękny dzień! — odezwała się wreszcie Flora. — Wie pan, trudno mi się nie cieszyć mimo... mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło. To okropne, że tak uważam, prawda?

— Rzecz naturalna — stwierdził Blunt. — Nie znała pani stryja. Poznała dwa lata temu. Trudno rozpaczać. Lepiej nie udawać.

— W panu jest coś kojącego — odparła Flora. — Gdy pan mówi, wszystko wydaje się takie proste.

— Wszystko na świecie jest zasadniczo proste — odparł sławny myśliwy.

— Nie zawsze — zaprotestowała Flora.

Zniżyła głos, a ja zobaczyłem, że Blunt obraca głowę i najwyraźniej przenosi wzrok z brzegów Afryki na twarz Flory. Musiał nadać własne znaczenie zmianie jej głosu, gdyż po dłuższej przerwie

powiedział dosyć sucho:

— Nie wolno się martwić. To znaczy o tego młodzieńca. Inspektor jest dureń. Wszyscy wiedzą. Bzdura uważać, że to on. Na pewno ktoś obcy. Pewno włamywacz. Jedyne możliwe rozwiązanie.

Flora obróciła twarz do Blunta.

— Pan naprawdę tak uważa?

— A pani nie? — odparował szybko Blunt.

— Ja, o tak, oczywiście.

Nowa chwila ciszy i wreszcie Flora wybuchnęła:

— Jestem... Powiem panu, dlaczego czułam się taka szczęśliwa dziś rano. Bez względu na to, co pan o mnie pomyśli, powiem panu. To dlatego, że był adwokat, pan Hammond. Powiedział nam o testamencie. Stryj Roger zapisał mi dwadzieścia tysięcy funtów. Proszę sobie wyobrazić! Dwadzieścia tysięcy ślicznych funtów!

Blunt wydawał się zdziwiony.

— To znaczy tak wiele dla pani?

— Wiele znaczy? Toż to wszystko! Wolność, życie, koniec z liczeniem groszy, oszczędzaniem i kłamstwami...

— Kłamstwami? — przerwał ostro Blunt. Flora na chwilę się zmieszła.

— Pan wie, co chcę powiedzieć — odparła niepewnie. — Udawanie, że się jest wdzięcznym za wszystkie ochłapy, które rzucają bogaci krewni. Zeszlóroczne płaszcze i spódnice, i kapelusze.

— Nie znam się na strojach. Pani jest zawsze elegancko ubrana.

— To mnie drogo kosztowało — cicho odparła Flora. — Nie mówmy zresztą o strasznych rzeczach. Jestem taka szczęśliwa! Jestem wolna! Mogę robić, co mi się podoba! Wolno mi nie... — urwała nagle.

— Nie robić czego? — spytał szybko Blunt.

— Zapomniałam, to nieważne.

Blunt trzymał w ręku laskę. Teraz zanurzył jej koniec w sadzawce i w coś stuknął.

— Co pan robi, majorze?

— Coś błyszczący na dnie. Zaciekawilo mnie. Wygląda jak złota broszka. Nie, tylko muł. Już nic nie

widać.

— Może to korona? — podsunęła Flora. — Taka sama jak ta, którą Melizanda zobaczyła w wodzie.

— Melizanda? — spytał Blunt, marszcząc brwi. — Ona też jest z opery.

— Pan lubi opery?

— Czasami zabierają mnie znajomi — odparł Blunt ze smutkiem. — Śmieszny sposób spędzania czasu. Gorszy hałas niż tubylcy z tam-tamami.

Flora roześmiała się.

— Pamiętam Melizandę — ciągnął dalej Blunt. — Wyszła za starego gościa, który mógł być jej ojcem.

Rzucił kamyk do sadzawki. Potem, zmieniając nagle zachowanie i ton, obrócił się do Flory.

— Panno Floro, czy mógłbym może pomóc? W sprawie Patona. Na pewno pani się martwi. Strasznie.

— Dziękuję — odparła Flora dosyć chłodno — ale nie widzę, co można by zrobić. Ralfowi nic się nie stanie. Znalazłam najlepszego detektywa na świecie. On się wszystkim zajmie i wszystko wyjaśni.

Od paru minut czułem się bardzo niewyraźnie na naszej ławeczce. Chociaż właściwie nie podsłuchiwalismy, ale tym dwojgu nad sadzawką wystarczyło podnieść głowy, by nas zobaczyć. Zwróciłbym ich uwagę już dawno, gdyby mój towarzysz nie zacisnął ostrzegawczo palców na moim ramieniu. Najwidoczniej chciał, bym siedział cicho.

Teraz jednak zadziałał szybko. Zerwał się z ławki i odchrząknął.

— Bardzo przepraszam! — wykrzyknął. — Nie mogę pozwolić, by *mademoiselle* tak bez opamiętania obsypywała mnie komplementami, a ja żebym nie zwrócił uwagi na moją obecność. Mówią zwykle, że ten, kto słucha, niewiele dowie się o sobie dobrego, ale w tym wypadku jest inaczej. Czerwienię się i wstydę. *Mademoiselle* pozwoli, że podejść i przeproszę.

Pośpieszył alejką, ja tuż za nim, i podszedł do siedzących.

— To jest pan Herkules Poirot — przedstawiła Flora. — Zapewne słyszał pan o nim, majorze?

Poirot skłonił się głęboko.

— Ja znam majora Blunta ze słyszenia — powiedział grzecznie. — Bardzo mi przyjemnie poznać pana, *monsieur*. Potrzebuję pewnych informacji, których może mi pan udzielić, tak?

Blunt spoglądał zdziwiony.

— Kiedy po raz ostatni widział pan pana Ackroyda żywego?

— Przy kolacji.

— I potem nie słyszał go pan ani nie widział więcej?

— Nie widziałem. Słyszałem jego głos.

— Jak to było?

— Spacerowałem po tarasie.

— *Pardon**, o której godzinie?

— Około wpół do dziesiątej. Chodziłem tam i z powrotem. Paliłem fajkę. Przed oknami salonu. Ackroyd rozmawiał w gabinecie...

Poirot nachylił się i wyrwał jakiś mikroskopijny chwast.

— Ależ chyba nie mógł pan słyszeć głosów w gabinecie z tej części tarasu? — bąknął.

Nie patrzył na Blunta, ale ja patrzyłem i ku memu największemu zdziwieniu zobaczyłem, jak ten się czerwieni.

— Poszedłem w sam róg — wyjaśnił major niechętnie.

— Aha, doprawdy? — odparł Poirot.

W bardzo delikatny sposób wyraził chęć usłyszenia czegoś więcej.

— Zdawało mi się, że widziałem kobietę. Mignęła w krzakach. Mignęło coś białego. Może się myliłem. Wtedy stałem w rogu tarasu. Usłyszałem głos Ackroyda. Mówił do swego sekretarza.

— Do pana Geoffreya Raymonda?

— Tak mi się wtedy wydawało. Najwidoczniej się myliłem.

— Pan Ackroyd nie zwracał się do niego po imieniu?

— O nie!

— A więc, jeśli wolno spytać, dlaczego pan myślał, że to... Blunt wyjaśnił dokładnie:

— Byłem pewien, że to Raymond. Przed wyjściem na taras słyszałem, jak mówił, że niesie papiery Ackroydowi. Nie przeszło mi przez myśl, że to kto inny.

— Przypomina pan sobie słowa, jakie wypowiedział pan Ackroyd?

— Niestety nie. Coś zupełnie zwykłego i nieważnego. Tylko jakieś pojedyncze słowa. Myślałem wtedy o czymś innym.

— O, to zresztą nieważne — uspokoił go Poirot. — Czy to pan przesunął głęboki fotel pod ścianę, kiedy pan wszedł do gabinetu po wykryciu zbrodni?

— Fotel? Nie, po co?

Poirot wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział. Zwrócił się do Flory:

— Jednej rzeczy chciałbym się dowiedzieć od pani, *mademoiselle*. Kiedy pani oglądała zawartość srebrnego stołu w towarzystwie doktora Shepparda, to sztylet był na miejscu, czy nie?

Flora podniosła szybko głowę.

— Inspektor Raglan już mnie o to pytał — odparła niechętnie. — Powiedziałam mu i powtórzę to samo panu. Jestem pewna, że sztyletu nie było. Inspektor myśli, że był i że Ralf wykradł go wieczorem. I on mi nie wierzy. Uważa, że tak mówię, by chronić Ralfa.

— A czy tak nie jest? — spytałem poważnie. Flora tupnęła:

— I pan, doktorze?! Och, jakie to okropne! Poirot taktownie zmienił temat:

— Pan miał rację, panie majorze. W sadzawce coś błyszczy. Zobaczmy, czy nie uda mi się tego wyłowić.

Ukląkł nad sadzawką, podciągając rękaw po łokieć. Bardzo wolno zagłębił rękę w wodzie, żeby nie poruszyć mułu na dnie. Ale mimo ostrożności woda się zmąciła i Poirot wyciągnął po chwili pustą dłoń, ubrudzoną mułem. Patrzył na nią żałośnie, więc zaofiarowałem mu chustkę, którą przyjął z wylewnym podziękowaniem. Blunt spojrzał na zegarek.

— Prawie czas na obiad — powiedział. — Wracajmy lepiej do domu.

— Może pan zje razem z nami, panie Poirot? — zaproponowała Flora. — Bardzo bym chciała, żeby pan poznał mamę. Ona jest... ona bardzo lubi Ralfa.

Detektyw skłonił się głęboko.

— Będę zachwycony, *mademoiselle*

— I pan też, doktorze, prosimy bardzo. Zawahałem się.

— Naprawdę proszę!

Miałem ochotę zostać, więc przyjąłem zaproszenie bez dalszych ceregieli.

Ruszyliśmy w stronę domu. Flora i Blunt szli pierwsi.

— Co za włosy! — odezwał się do mnie cicho Poirot, głową wskazując Florę. — Prawdziwe złoto. Ładna z nich będzie para. Ona i ten czarnowłosy, przystojny kapitan Paton. Tak?

Rzuciłem na Poirota pytające spojrzenie, ale on już się zajął jakimiś ledwo widocznymi kropelkami wody na rękawie. Ten człowiek przypominał mi pod wieloma względami kota. Zielone oczy i przesadne zamięłowanie do czystości.

— I zabrudził się pan niepotrzebnie — powiedziałem współczująco. — Ciekaw jestem, co tam tak błyszczało w tej sadzawce.

— Chce pan zobaczyć? — spytał Poirot. Spojrzałem na niego zdumiony. Skinął głową.

— Drogi przyjacielu — powiedział łagodnie, lecz z lekkim wyrzutem. — Herkules Poirot nie ryzykuje pobrudzenia rąk, jeśli nie ma pewności, że osiągnie swój cel. To byłoby śmieszne i absurdalne, a ja nigdy nie jestem śmieszny!

— Ale przecież pan wyjął z wody pustą rękę? — zaprotestowałem.

— Czasami lepiej jest zachować dyskrecję. Pan zawsze mówi swoim pacjentom wszystko, ale to wszystko, tak? Nie sądzę. I na pewno nie mówi pan też wszystkiego swojej nieocenionej siostrze. Nim pokazałem pustą dłoń, schowałem to, co w niej miałem, do drugiej ręki. Niech pan spojrzy, co to było.

Wysunął ku mnie otwartą dłoń. Zobaczyłem na niej złotą damską obrączkę.

Wziąłem ją do ręki.

— Niech pan spojrzy na wewnętrzną stronę — polecił Poirot.

Uczyniłem to i odczytałem maleńkie, wryte litery: „Od R. 13 marca”.

Spojrzałem pytająco na Poirota, ale on przeglądał się właśnie w małym kieszonkowym lusterku, zwracając specjalną uwagę na swoje wąsy, a żadnej na moją osobę. Zrozumiałem, że nie ma zamiaru niczego mi powiedzieć.

Rozdział dziesiąty

Pokojówka

W hallu spotkaliśmy panią Ackroyd w towarzystwie zaszuszonego niskiego staruszka z wystającą, ostro zarysowaną szczęką i przenikliwie spoglądającymi szarymi oczami. Od razu można było poznać, że to adwokat.

— Pan Hammond zostaje z nami na obiedzie — powiedziała pani Ackroyd. — Pan zna majora Blunta? I drogiego doktora Shepparda, również bliskiego przyjaciela biednego Rogera? I... zaraz... zaraz... — Z lekkim zakłopotaniem przyglądała się Poirotowi.

— To jest pan Poirot, mamó — przedstawiła go Flora. — Mówiłam ci o nim dzisiaj rano.

— A, prawda! — wykrzyknęła nieprzytomnie pani Ackroyd. — Naturalnie, moja droga, naturalnie! On ma znaleźć Ralfa, prawda?

— On ma wykryć, kto zabił stryja — powiedziała Flora.

— O mój Boże! — omal zapłakała pani Ackroyd. — Proszę cię! Moje biedne nerwy. Jestem zupełną ruiną! Tak, dzisiaj jestem zupełną ruiną! Co za straszny cios! Trudno mi uwierzyć, że to nie był po prostu wypadek. Roger tak lubił bawić się różnymi takimi nożami dzikich ludzi. Może ręka mu drgnęła czy coś takiego?

Teoria ta została przyjęta grzecznym milczeniem. Zobaczyłem, że Poirot przysuwa się do adwokata i coś mówi mu półgłosem. Potem obaj odeszli we wnękę okienną. Przyłączyłem się do nich, lecz po chwili ogarnęły mnie wątpliwości, czy uczyniłem taktownie.

— Może przeszkadzam? — odezwałem się.

— Ależ nie! — wykrzyknął Poirot gorąco. — Pan i ja, *monsieur le docteur*, rozwiązujemy tę zagadkę razem. Bez pana byłbym zgubiony. Chcę dowiedzieć się paru rzeczy od dobrego pana Hammonda.

— Jeśli dobrze rozumiem, pan działa w imieniu kapitana Ralfa Patona? — odezwał się ostrożnie adwokat.

Poirot przecząco potrząsnął głową.

— Nie jest tak. Ja działam w imieniu sprawiedliwości. Panna Ackroyd poprosiła mnie, abym zajął się zbadaniem zagadki śmierci jej stryja.

Pan Hammond wydawał się lekko zdziwiony.

— Trudno mi uwierzyć, aby kapitan Paton był zamieszany w to morderstwo — powiedział wreszcie. — Bez względu na to, jak silnie przemawiać mogą przeciwko niemu okoliczności. Sam fakt, że znajdował się w ciężkiej sytuacji materialnej...

— A znajdował się w ciężkiej sytuacji materialnej? — zdziwił się Poirot.

Adwokat wzruszył ramionami.

— To był stan chroniczny Ralfa Patona — odparł sucho. — Pieniądze przepływały mu przez ręce jak woda. Zawsze uciekał się o pomoc do ojczyma.

— Ostatnio też prosił go o pieniądze? To znaczy w ciągu ostatniego roku?

— Trudno mi powiedzieć. Pan Ackroyd mi nic o tym nie wspominał.

— Aha. Jeśli się nie mylę, znana jest panu treść testamentu pana Ackroyda.

— Naturalnie. To jest cel mojej wizyty w Fernly.

— A więc biorąc pod uwagę, że działam w imieniu panny Ackroyd, nie będzie miał pan obiekcji w zapoznaniu mnie z jego treścią, tak?

— Treść jest bardzo prosta. Opuszczając całą prawną frazeologię i po wypłaceniu pewnych drobnych zapisów i legatów...

— Komu? — przerwał Poirot.

Pan Hammond wydawał się lekko zdziwiony.

— Tysiąc funtów gospodyni, pannie Russell, pięćdziesiąt funtów kucharce, Emmie Cooper, pięćset funtów sekretarzowi, panu Geoffreyowi Raymondowi. Potem kilka legatów dla różnych szpitali...

Poirot podniósł dłoń.

— Aa, zapisy dobroczynne, one mnie nie interesują.

— Więc potem zostaje dziesięć tysięcy funtów w akcjach, z których procent otrzymywać będzie dożywotnio pani Cecilowa Ackroyd. Panna Flora Ackroyd dziedziczy dwadzieścia tysięcy funtów w gotówce. Reszta masy spadkowej, łącznie z nieruchomościami i akcjami firmy Ackroyd i Syn, przypada adoptowanemu synowi, Ralfowi Patonowi.

— Pan Ackroyd miał wielki majątek?

— Bardzo duży. Kapitan Paton będzie niezmiernie bogatym człowiekiem.

Chwilę panowała cisza. Poirot i adwokat patrzyli na siebie.

— Panie mecenasie! — dobiegł spod kominka żaloszny głos pani Ackroyd.

Adwokat pospieszył na wezwanie. Poirot ujął mnie pod ramię i odprowadził do okna.

— Niech pan spojrzysz na te irysy — powiedział raczej głośno. — Czyż nie są wspaniałe, tak? Jakie miłe dla oka!

Jednocześnie poczułem uścisk jego palców na ramieniu i Poirot dodał znacznie ciszej:

— Chce mi pan naprawdę pomóc? Chce pan wziąć udział w dochodzeniu?

— Naturalnie! — odparłem z zapałem. — Niczego bardziej nie pragnę. Nie wyobraża pan sobie, jakie nudne jest tutaj życie! Nigdy nie zdarza się nic nadzwyczajnego.

— Świetnie! Wobec tego będziemy współpracowali. Wydaje mi się, że za chwilę przyłączy się do nas major Blunt. Czuje się niezbyt szczęśliwy w towarzystwie słodkiej mamusi. Muszę dowiedzieć się od niego paru szczegółów, ale nie chcę, żeby się tego domyślił. Rozumie pan? Dlatego też pan zada kilka pytań.

— Jakich? — spytałem.

— Niech pan wymieni panią Ferrars. — No i...?

— To powinno wyjść z rozmowy. Proszę go spytać, czy był tutaj, kiedy umarł jej mąż. Rozumie pan, o co mi chodzi? A kiedy on będzie odpowiadał, proszę obserwować jego twarz, ale tak, żeby tego nie zauważył. *C'est compris?**

Nie zdążyłem już o nic więcej spytać, ponieważ, zgodnie z przepowiednią Poirota, Blunt dosyć nagle oderwał się od reszty towarzystwa i podszedł do nas.

Zaproponowałem wyjście na taras, na co major wyraził zgodę. Poirot pozostał w hallu.

Zatrzymałem się przy krzaku jesiennych róż.

— Jakże czasami wszystko się zmienia z dnia na dzień — zauważyłem. — Byłem tu w środę, pamiętam to dobrze, spacerowałem sobie po tym samym tarasie. Był ze mną Ackroyd, ożywiony i pełen energii. A teraz, w trzy dni później, Ackroyd nie żyje. Biedny człowiek. Pani Ferrars nie żyje. Pan ją znał, prawda? Naturalnie, że pan ją znał.

Blunt skinął głową.

— Widział pan ją ostatnio?

— Byłem u niej z Ackroydem. W zeszły wtorek. Tak, chyba we wtorek. Zdumiewająca kobieta. Ale było w niej coś dziwnego. Tajemnicza. Trudno było ją zgłębić.

Spojrzałem w spokojne, szare oczy majora. Nic w nich nie dostrzegłem. Ciągnąłem dalej:

— Poznał ją pan pewno już dawniej?

— Jak tu byłem poprzednio. Ona i jej mąż akurat się sprowadzili. — Zamilkł i po chwili dodał: — Dziwna rzecz. Bardzo się zmieniła od poprzedniego razu.

— Jak to zmieniła?

— Wyglądała o dziesięć lat starzej.

— Był pan tu, kiedy umarł jej mąż? — spytałem, starając się, by to pytanie wypadło jak najnaturalniej.

— Nie. Słyszałem, że strata niewielka. To okrutne, ale prawda.

Zgodziłem się.

— Ashley Ferrars z pewnością nie był wzorowym mężem — powiedziałem ostrożnie.

— Słyszałem, że łobuz — dorzucił Blunt.

— Nie, tylko człowiek, którego zgubiły pieniądze. Miał ich zbyt wiele.

— Aa, pieniądze! Wszystkie kłopoty na świecie z powodu pieniędzy. Albo ich braku.

— Pan też ma kłopoty z tego powodu? — spytałem.

— Mam tyle pieniędzy, ile mi potrzeba. Jestem jednym z niewielu szczęśliwych.

— Ooo!

— Chociaż w tej chwili jest niezbyt dobrze. W zeszłym roku otrzymałem legat. Dałem się namówić na szaleńcze przedsięwzięcie. Byłem głupi.

Wyraziłem współczucie i opowiedziałem własny podobny przypadek.

Potem usłyszeliśmy gong obiadowy i poszliśmy do jadalni. Poirot na chwilę mnie zatrzymał.

— I co?

— Nic, on jest w porządku — odparłem. — Ręczę.

— Nic niepokojącego?

— W zeszłym roku otrzymał spadek — powiedziałem. — Dlaczego miałby mówić nieprawdę? Ręczę, że ten człowiek jest z gruntu szczerzy i uczciwy.

— Bez wątpienia, bez wątpienia — odparł Poirot uspokajająco. — Niech pan się nie denerwuje.

Mówił jak do rozkapryśzonego dziecka.

Weszliśmy do jadalni. Trudno mi było uwierzyć, że minęły dopiero dwadzieścia cztery godziny od czasu, gdy siedziałem tu poprzednio.

Po obiedzie pani Ackroyd odprowadziła mnie na bok. Usiedliśmy na kanapce.

— Muszę przyznać, że jestem nieco dotknięta — zwierzyła się, wyciągając chusteczkę, która z pewnością nie była przeznaczona do tego, by się w nią wyplakiwać. — Dotknięta brakiem zaufania ze strony Rogera. Te dwadzieścia tysięcy funtów powinien był pozostawić mnie, a nie Florze. Można przecież zaufać matce, że będzie pilnowała interesów córki. Tak, nazywam to brakiem zaufania.

— Zapomina pani — powiedziałem — że Flora jest rodzoną bratanicą Rogera Ackroyda. Gdyby pani była jego siostrą, a nie bratową, to z pewnością wszystko wyglądałoby inaczej.

— Jestem wdową po biednym Cecilu i moje uczucia powinny być uszanowane — odparła dama, ocierając delikatnie rzęsy chusteczką. — Ale Roger był zawsze niesłychanie dziwny, żeby nie powiedzieć: skąpy, w sprawach finansowych. Dlatego sytuacja moja i Flory była tutaj straszna. Biedne dziecko nie otrzymywało nawet żadnej pensji. Roger płacił jej rachunki, ale i to bardzo niechętnie, i zawsze pytał, po co jej tyle fatałaszków, jak to mężczyzna. Teraz znowu zapomniałam, co chciałam powiedzieć. O, już wiem, nie miałyśmy nigdy własnego pensa. Flora nad tym ubolewała, o tak, bardzo nad tym ubolewała, wiem dobrze. Chociaż była niesłychanie oddana stryjowi, naturalnie.

Każda dziewczyna cierpiałaby w podobnej sytuacji. Tak, tak, Roger miał dziwne podejście do spraw finansowych. Nie chciał nawet kupie nowych ręczników, chociaż mu mówiłam, że stare są całe w dziurach. I potem — pani Ackroyd w tak charakterystyczny dla siebie sposób zmieniła temat — i potem, żeby tak nagle zostawić tyle pieniędzy, tysiąc funtów, proszę sobie wyobrazić, takiej kobiecie!

— Jakiej kobiecie?

— Tej pannie Russell. Coś w niej jest bardzo dziwnego, zawsze to mówiłam. Ale Roger nigdy nie pozwalał nic przeciwko niej powiedzieć. Mówił, że ona ma niebywale silny charakter i że ją podziwia i żywi dla niej wielki szacunek. Zawsze plótł o jej prawości, niezależności i zaletach moralnych. A ja mówię, że coś w niej jest podejrzanego! Robiła wszystko, co mogła, żeby Roger się z nią ożenił. Ale ja się z tym szybko rozprawiłam. Ona mnie nienawidzi. Oczywiście! Przejrzałam ją!

Zacząłem się zastanawiać, czy nie można by jakoś zahamować potoku słów pani Ackroyd i ulotnić się.

Z pomocą przyszedł mi mecenas Hammond, który chciał się pożegnać. Skorzystałem z tego i również wstałem.

— Teraz jeśli idzie o rozprawę... — powiedział. — Gdzie pani woli, aby się odbyła? Tutaj czy w gospodzie Pod Trzema Dzikami?

Pani Ackroyd otworzyła usta i spojrzała na mnie.

— Rozprawę? — Wyglądała jak uosobienie najwyższego pomieszenia. — Czyż musi być rozprawa?

Pan Hammond zakaszczał sucho i dwoma krótkimi szczęknięciami odparł:

— To jest nieuniknione. W tej sytuacji!

— Ale przecież doktor Sheppard chyba mógłby tak zrobić, żeby...?

— Są granice moich możliwości — odparłem szorstko.

— Ale jeśli śmierć jest sprawą wypadku...?

— Roger Ackroyd został zamordowany, proszę pani — odparłem brutalnie.

Wydała cichy okrzyk.

— Teoria wypadku jest nie do przyjęcia nawet na sekundę! Pani Ackroyd patrzyła na mnie z rozpaczą w oczach.

Nie czułem litości wobec czegoś, co uważałem jedynie za chęć wywinięcia się z niewygodnej sytuacji.

— Ale na tej rozprawie chyba nie będę musiała odpowiadać na żadne pytania ani nic takiego, prawda? — spytała.

— Nie mam pojęcia, czy to będzie konieczne, czy nie — odparłem. — Przypuszczam, że cały ciężar przesłuchania weźmie na siebie pan Raymond. Zna dokładnie wszystkie okoliczności i może formalnie stwierdzić tożsamość zmarłego.

Pan Hammond poparł mnie skinieniem głowy.

— Myślę, że nie ma się czego obawiać, droga pani — powiedział. — Oszczędzi się pani wszelkiej nieprzyjemności. Aha, jeśli idzie o pieniądze. Czy ma pani dostateczną sumę na bieżące wydatki? To znaczy — dodał, gdy pani Ackroyd spojrzała na niego pytająco — czy ma pani gotówkę? Banknoty, rozumie pani? Jeśli nie, mogę polecić, by wypłacono pani potrzebną sumę.

— Chyba chwilowo wystarczy — odezwał się Raymond, który stał obok. — Pan Ackroyd podjął wczoraj z banku sto funtów.

— Sto funtów?

— Tak, na pensje i inne wypłaty w dniu dzisiejszym. Cała ta suma jeszcze została.

— Gdzie są te pieniądze? W jego biurku?

— Nie, pan Ackroyd zawsze trzymał pieniądze w sypialni. Mówiąc dokładnie, w starym pudełku do kołnierzyków. Dziwny sposób przechowywania gotówki, prawda?

— Przed wyjściem wolałbym się upewnić — powiedział adwokat — czy pieniądze nadal tam są.

— Oczywiście — zgodził się sekretarz. — Pójdziemy zaraz na górę! O! Zapomniałem, drzwi są zamknięte.

Parker zapytany wyjaśnił, że inspektor Raglan znajduje się w pokoju gospodyni, dodatkowo ją przesłuchując. Po paru minutach inspektor zjawił się w hallu, przynosząc klucz. Otworzył drzwi, przeszliśmy do przedpokoju i stamtąd wąskimi schodami na górę. Drzwi do sypialni Ackroyda były otwarte. Pokój był ciemny, story zaciągnięte, a łóżko pozostawione bez zmiany od wczorajszego wieczoru. Inspektor rozsunał story, wpuszczając trochę słońca, Geoffrey Raymond zaś podszedł do najwyższej szuflady w komodzie z różanego drzewa.

— Trzymał pieniądze tak zwyczajnie w niezamkniętej szufladzie? — zdziwił się inspektor.

Sekretarz zaczerwienił się lekko.

— Pan Ackroyd całkowicie ufał służbie.

— Rozumiem, rozumiem — powiedział szybko inspektor. Raymond wysunął szufladę, wyjął z głębi małe, okrągłe skórzane pudełko, otworzył je i wyciągnął nabity portfel.

— Oto pieniądze — powiedział, wydobywając okazały zwitek banknotów. — Cała setka. Jestem tego pewien, ponieważ pan Ackroyd chował te pieniądze w mojej obecności, ubierając się do kolacji, no a potem nikt ich nie ruszał.

Pan Hammond wziął pieniądze z rąk Raymonda i przeliczył. Po chwili spojrzał uważnie na sekretarza.

— Mówi pan, że tu jest sto funtów! Ja doliczyłem się tylko sześćdziesięciu.

Raymond patrzył gapowato.

— Niemożliwe! — wykrzyknął, rzucając się ku adwokatowi. Wyrwał mu pieniądze i sam głośno przeliczył.

Pan Hammond miał rację. Było tylko sześćdziesiąt funtów.

— Ale... ja nie mogę tego zrozumieć! — Raymond był zupełnie zaskoczony.

Poirot zapytał:

— Pan sam widział, jak pan Ackroyd chował te pieniądze wczoraj wieczorem, kiedy ubierał się do kolacji? Czy jest pan pewien, że poprzednio nic z tej kwoty nikomu nie wypłacił?

— Jestem pewien, że nie. Powiedział nawet: „Po co mam zabierać ze sobą na kolację sto funtów? Za gruby zwitek”.

— A więc sprawa jest prosta — zauważył Poirot. — Albo dał komuś wczoraj wieczorem czterdzieści funtów, albo sumę tę ukradziono.

— Nie ma innej możliwości — zgodził się inspektor i spytał panią Ackroyd: — Kto ze służby mógł tutaj wejść wczoraj wieczorem?

— No, przypuszczam, że pokojówka słała łóżko...

— Która? Jak się nazywa? Co pani może o niej powiedzieć?

— Elsie Dale. Jest tu od niedawna — odparła pani Ackroyd. — Ale to zwykła, miła wiejska dziewczyna.

— Powinniśmy wyjaśnić tę sprawę — rzekł inspektor. — Jeśli pan Ackroyd sam wypłacił komuś pieniądze, może mieć to jakiś związek ze sprawą morderstwa. A reszta służby jest według pani poza podejrzeniami?

— O, chyba tak.

— Nic nigdy nie zginęło?

— Nie.

— Żadne z nich nie odchodzi?

— Jedna z pokojówek, Urszula Bourne.

— Kiedy?

— Wczoraj wymówiła, jeśli się nie mylę.

— Wobec pani?

— O nie! Ja nie mam nic wspólnego ze służbą. Tymi sprawami zajmuje się wyłącznie panna Russell.

Inspektor na dłuższą chwilę zatopił się w myślach. Potem pokiwał głową i zauważył:

— Chyba lepiej pogadam z panną Russell, a potem z tą Elsie Dale.

Poirot i ja towarzyszyliśmy inspektorowi do pokoju gospodyni. Panna Russell przyjęła nas ze swym zwykłym chłodem.

— Elsie Dale służy w Fernly Park pięć miesięcy. Miła dziewczyna, porządna, szybka w robocie.

Miała dobre referencje. To ostatnia osoba na świecie, która komuś by coś ukradła!

— No, a ta druga pokojówka?

Tamta także była nieskazitelna. Bardzo spokojna i zachowująca się jak prawdziwa pani. Wspaniała pracownica.

— Więc dlaczego odchodzi? — zaciekał się inspektor. Panna Russell ściągnęła usta.

— Nie z mojej przyczyny. Jeśli dobrze zrozumiałam, wczoraj po południu pan Ackroyd był z niej niezadowolony. Do jej obowiązków należało sprzątanie gabinetu i przy tej okazji pomieszała jakieś papiery na biurku. Tak się dowiedziałam. Pan Ackroyd był z tego powodu bardzo zły i ona wymówiła. To mi w każdym razie powtórzyła, ale może chciałby pan, panie inspektorze, sam z nią porozmawiać?

Inspektor chciał. Zauważyłem tę dziewczynę, już gdy nam usługiwała do obiadu. Wysoka, bardzo opanowane szare oczy, włosy kasztanowate, splecione ciasno na karku. Przyszła na wezwanie gospodyni, stanęła wyprostowana, jej szare oczy wpatrywały się w nas nieporuszone.

— Urszula Bourne? — spytał inspektor.

— Tak, proszę pana.

— Pani odchodzi z pracy?

— Tak.

— Dlaczego?

— Pomieszałam jakieś papiery na biurku pana Ackroyda. Pan Ackroyd był z tego powodu bardzo zły, więc powiedziałam, że lepiej będzie, jeśli sobie pójdę. Powiedział, żebym odeszła jak najprędzej.

— Czy wczoraj wieczorem wchodziła pani do sypialni pana Ackroyda? Sprzątając albo w innym celu?

— Nie, proszę pana. To należy do obowiązków Elsie. Ja do sypialni nigdy nie wchodzę.

— Z komody w sypialni pana Ackroyda zginęła pokaźna suma pieniędzy.

To ją wreszcie poruszyło. Oblała się szkarłatem.

— Nic nie wiem o żadnych pieniądzech! Jeśli pan myśli, że to ja wzięłam i dlatego pan Ackroyd mi wymówił, to się pan grubo myli!

— O nic pani nie oskarżam, panno Bourne — odparł inspektor. — Proszę się tak nie unosić!

Dziewczyna obrzuciła go zimnym spojrzeniem.

— Jeśli pan chce, może mnie pan zrewidować — powiedziała pogardliwie. — Ale nic pan nie znajdzie.

Nagle wtrącił się Poirot:

— To wczoraj po południu pan Ackroyd panience wymówił czy też panienka jemu?

— Ja wymówiłam.

— Jak długo trwała ta rozmowa?

— Jaka rozmowa?

— Rozmowa między panienką a panem Ackroydem.

— Ja... ja nie wiem.

— Dwadzieścia minut, pół godziny?

— Coś koło tego.

— Nie dłużej?

— Na pewno nie dłużej niż pół godziny.

— Dziękuję, *mademoiselle*.

Spojrzałem ciekawie na Poirota. Przesuwał jakieś przedmioty na stole, układając je z lubością na właściwym miejscu. Oczy mu błyszczały.

— Dziękuję, to wszystko — powiedział inspektor.

Urszula Bourne wyszła. Inspektor obrócił się do panny Russell:

— Od jak dawna ona tu pracuje? Ma pani odpisy świadectw, które pani okazała?

Nie odpowiadając na pytanie, panna Russell podeszła do stojącego obok biurka, wysunęła szufladę i wyciągnęła stamtąd paczkę listów ściągniętych gumką. Wybrała jedną z kopert i podała ją inspektorowi.

— Hm...! — powiedział po chwili. — Dobre świadectwo. Od pani Folliott z Marby Grange w Marby. Kto to jest?

— Dostyc znani ziemianie — odparła panna Russell.

— No dobrze — rzekł inspektor, zwracając list polecający. — Pogadajmy teraz z drugą, tą Elsie

Dale.

Elsie Dale była rosłą blondynką o miłej, lecz nieco głupawej twarzy. Odpowiadała na nasze pytania ochoczo i okazała wielkie zmartwienie na wiadomość o zaginięciu pieniędzy.

— Mówiła chyba prawdę — powiedział inspektor, gdy dziewczyna wyszła. — No, a co z Parkerem?

Panna Russell ściągnęła usta i nie odpowiedziała.

— Jest w tym człowieku coś, co mnie niepokoi — rozmyślał głośno inspektor. — Ale kłopot w tym, że nie wyobrażam sobie, kiedy mógłby to zrobić. Zaraz po kolacji był chyba zajęty swoimi obowiązkami i właściwie na cały wieczór ma doskonałe alibi. Wiem, ponieważ poświęciłem temu sporo czasu. No, dziękuję pani serdecznie, panno Russell. Chwilowo poprzestaniemy na tym. Jest zupełnie możliwe, że pan Ackroyd sam komuś wypłacił te pieniądze.

Gospodyni pożegnała nas sztywno, kiedy wychodziliśmy z jej pokoju.

Opuściłem Fernly razem z Poirotem.

— Zastanawiam się — powiedziałem, przerywając milczenie — co też za papiery mogła ta pokojówka pomieszać Ackroydowi na biurku, że się aż tak zdenerwował? Może w tym kryje się klucz do zagadki?

— Sekretarz mówił, że na biurku nie było żadnych ważnych dokumentów — odparł spokojnie Poirot.

— No tak, ale... — urwałem nagle.

— Wydaje się panu dziwne, że Ackroyd mógł wpaść we wściekłość z tak błahego powodu?

— Owszem, dosyć dziwne.

— No, ale czy to był w istocie błahy powód?

— Naturalnie — powiedziałem. — Nie wiemy przecież, co to były za dokumenty. Pan Raymond wyraźnie wspomniał...

— Na chwilkę pozostawmy pana Raymonda w spokoju. Co pan myśli o tej dziewczynie?

— Której? Tej pierwszej pokojówce?

— Tak, Urszuli Bourne.

— Wydaje się porządna — powiedziałem z wahaniem. Poirot powtórzył moje słowa, ale podczas gdy ja położyłem nacisk na słowie „porządna”, on na „wydaje się”.

— Tak, wydaje się, że to porządna dziewczyna, owszem. Po minucie milczenia wyjął coś z kieszeni.

— Niech pan spojrzy, przyjacielu, coś pan zobaczy. O, proszę!

Kartkę, którą mi wręczył, otrzymał tego ranka od inspektora. Patrząc, gdzie wskazywał palcem, zobaczyłem zrobiony ołówkiem krzyżyk przy nazwisku Urszuli Bourne.

— Może pan tego nie zauważył, przyjacielu, że na tej liście jest jedna osoba, której alibi nie znalazło potwierdzenia. Urszula Bourne.

— Nie myśli pan chyba, że...?

— Doktorze Sheppard, ja myślę o wszystkim. Urszula Bourne mogła zabić Rogera Ackroyda, ale wyznaję, że nie znajduję motywów popełnienia przez nią tej zbrodni. A pan?

Spojrzał na mnie przenikliwie, tak przenikliwie, że aż poczułem się nieswojo.

— A pan widzi jakieś motywy? — powtórzył.

— Najmniejszego — odparłem zdecydowanie.

Jego spojrzenie złagodniało. Zmarszczył brwi i wymamrotał do siebie:

— Ponieważ szantażystą był mężczyzna, wynika stąd, że nie ona nim była, więc...

Chrząknąłem.

— Jeśli o tym mowa... — zacząłem niezdecydowanie.

Nagle obrócił się ku mnie:

— Co? Co pan chciał powiedzieć?

— Nic. Zupełnie nic. Tylko że, dla ścisłości, pani Ferrars w swoim liście wspomniała o osobie, a nie zaznaczyła, że to jest mężczyzna. Ale myśmy przyjęli za pewnik, Ackroyd i ja, że to musi być mężczyzna.

Byłem pewien, że Poirot wcale mnie nie słyszał. Dalej coś do siebie mruczał:

— A więc mimo wszystko to jest możliwe, tak, naturalnie, że możliwe...! Ale stąd wniosek, że muszę wszystko na nowo ustawić. Metoda, porządek nigdy mi tak nie były potrzebne jak teraz; wszystko musi pasować na swoje miejsce. Bo inaczej znajdę się na zupełnie fałszywym torze...

Przerwał i znowu obrócił się gwałtownie w moim kierunku:

— Gdzie jest Marby?

— Trzeba jechać przez Cranchester.

— Jak to daleko?

— O, może ponad dwadzieścia kilometrów!

— Mógłby pan się tam wybrać? Na przykład jutro?

— Jutro? Zaraz... Jutro jest niedziela. Tak, myślę, że mógłbym jakoś to ułożyć. Co panu załatwić?

— Zobaczyć się z tą panią Folliott. I dowiedzieć się wszystkiego, co można, o tej pannie Urszuli Bourne.

— Dobrze. Ale... przyznam się, że wcale mnie nie nęci to zadanie.

— Teraz nie czas wybierać. Od tego może zależeć życie człowieka.

— Biedny Ralf — powiedziałem z westchnieniem. — Pan wierzy, że on jest niewinny?

Poirot spojrzał na mnie surowo.

— Chce pan poznać prawdę?

— Naturalnie.

— Więc obiecuję panu, że pan ją pozna. Niestety, mój przyjacielu, wszystko wskazuje na jego winę.

— Co?! — wykrzyknąłem.

— Tak, temu głupiemu inspektorowi, bo on jest głupi, wszystko zdaje się wskazywać na kapitana Patona. Ja szukam prawdy i prawda za każdym razem prowadzi mnie do Ralfa Patona. Motyw, okazja, środki! Ale poruszę niebo i ziemię. Obiecałem pannie Florze. A ona była bardzo pewna, biedaczka. Bardzo pewna.

Rozdział jedenasty

Poirot składa wizytę

Byłem trochę zdenerwowany, kiedy następnego popołudnia naciskałem dzwonek przy wejściu do Marby Grange. Ciekawiło mnie, jakich wyników Poirot oczekuje po mojej wizycie. Dlaczego powierzył mi to zadanie? Czy dlatego, by samemu pozostać w cieniu, tak jak w wypadku rozmowy z majorem Bluntem? Podobne założenie, zrozumiałe poprzednio, obecnie wydawało się dziwne.

Moje rozmyślenia zostały przerwane nadejściem zgrabnej pokojówki.

Pani Folliott była w domu. Wprowadzono mnie do obszernego salonu. Czekając na panią domu, rozglądałem się ciekawie dookoła. Spory, dość skąpo umeblowany pokój, niebrzydkie okazy porcelany i kilka pięknych sztychów, wypłowiałe zasłony i pokrycia mebli. Ale jednocześnie salon, w którym na każdym kroku wyczuwało się kobiecą rękę.

Przerwałem oglądanie pięknego Bartolozziego, kiedy pani Folliott weszła do salonu. Była to kobieta wysokiego wzrostu, miała niedbale zaczesane kasztanowate włosy i bardzo sympatyczny uśmiech.

— Doktor Sheppard...? — spytała z wahaniem.

— Tak jest, proszę pani — odparłem. — Bardzo przepraszam za najście, ale zależy mi na uzyskaniu od pani informacji o zatrudnianej niegdyś przez panią pokojówce Urszuli Bourne.

Gdy wymieniłem to nazwisko, z twarzy pani Folliott znikł uśmiech, a z jej zachowania cała serdeczność. Wydawała się teraz dosyć zmieszana i zakłopotana.

— O Urszuli Bourne? — spytała.

— Tak — odparłem. — Może pani nie przypomina sobie nazwiska?

— O tak, przypominam sobie. Przypominam sobie bardzo dobrze.

— Odeszła od pani mniej więcej rok temu, prawda?

— Tak, tak. Rok temu. Zgadza się całkowicie.

— Czy była z niej pani zadowolona? I jak długo u pani służyła, jeśli można wiedzieć?

— Chyba z rok albo dwa. Trudno mi sobie w tej chwili dokładnie przypomnieć. Bardzo, owszem, bardzo zręczna. Jestem pewna, że będzie pan z niej zadowolony. Nie miałam pojęcia, że ona odchodzi z Fernly. Zupełnie nie miałam pojęcia!

— Czy mogłaby mi pani coś więcej o niej powiedzieć?

— Coś o niej?

— Tak, skąd pochodzi, z jakiej rodziny? Takie rzeczy. Twarz pani Folliott zastygła teraz zupełnie.

— Nic o niej nie wiem.

— U kogo służyła przed przyjściem do pani?

— Niestety, tego sobie nie przypominam.

Pod widoczną nerwowością pani Folliott kryła się teraz nuta gniewu. Uniosła głowę gestem dziwnie mi znajomym.

— Czy naprawdę musi pan zadawać te wszystkie pytania?

— Ależ nie! — odparłem zdziwiony i nieco zakłopotany. — Nie przypuszczałem, że nie będzie pani chciała mi odpowiedzieć. Bardzo mi przykro.

Złość opuściła panią Folliott. Zmieszała się znowu.

— Nie, nie, mogę na nie odpowiedzieć. Zapewniam pana, że mogę. Dlaczegoż bym miała nie chcieć. Tylko że... wydawało mi się to trochę dziwne. Po prostu pańskie pytania tak dziwnie brzmiały, tylko to.

Jedną z korzyści rozległej praktyki lekarskiej jest nabywana z czasem umiejętność poznawania, kiedy ludzie kłamią. Z samego zachowania pani Folliott — jeśli nie z jej słów — mogłem odgadnąć, że nie ma ona najmniejszej, ale to najmniejszej ochoty odpowiadać na moje pytania. Wydawała się nadal bardzo zaniepokojona i wytrącona z równowagi. Najwyraźniej w całej tej historii kryła się jakaś tajemnica. Poza tym oczywiste było, że pani Folliott jest kobietą nieprzywykłą do oszukiwania i kłamania, gdyż zbyt wyraźnie okazywała zdenerwowanie i niepokój. Dziecko by to dostrzegło.

Z drugiej strony było równie oczywiste, że nie ma zamiaru powiedzieć ani słowa więcej. Jakakolwiek tajemnica kryła się w osobie Urszuli Bourne, nie miałem nadziei usłyszeć jej z ust pani Folliott.

Pokonany, jeszcze raz przeprosiłem ją za najście, wziąłem kapelusz i wyszedłem.

Potem odwiedziłem jeszcze paru pacjentów w King's Abbot i około szóstej wróciłem do domu. Karolina siedziała nad stosem brudnych talerzyków i filiżanek — pozostałością popołudniowej herbatki. Wyraz jej twarzy wskazywał na tłumione podniecenie. Znałem ten wyraz aż nadto dobrze! Pewny znak, że otrzymała bądź udzieliła komuś wiadomości. Zastanawiałem się, która z tych dwóch okoliczności zaistniała.

— Spędziłam bardzo interesujące popołudnie — zaczęła, gdy zagłębiłem się w swój ulubiony fotel i wyciągnąłem nogi w stronę miłego ciepła kominka.

— Czyżby? — spytałem. — Była na herbacie panna Ganett? Panna Ganett, jak wiadomo, jest jedną z naszych głównych agencji plotkarskich.

— Nie zgadłeś — odparła Karolina z beztróskim spokojem. — Spróbuj jeszcze raz.

Próbowałem kilka razy, wymieniając po kolei wszystkie nazwiska z listy służby wywiadowczej mojej siostry. Ale Karolina, triumfalnie uśmiechnięta, za każdym razem potrząsała przecząco głową. Wreszcie sama łaskawie udzieliła mi pożądanej informacji:

— Pan Poirot! No i co o tym myślisz?

Pomyślałem wiele różnych rzeczy, ale miałem tyle zdrowego rozsądku, że żadną nie podzieliłem się z Karoliną.

— Po co przyszedł? — spytałem.

— Zobaczyć się ze mną. To chyba jasne! Powiedział, że poznawszy tak dobrze mojego brata, pragnie nawiązać znajomość z jego uroczą siostrą, to znaczy twoją uroczą siostrą, James. Pomieszało mi się, ale mam nadzieję, że zrozumiałeś.

— O czym mówił?

— Dużo mi opowiadał o sobie i swoich przygodach detektywa. Słyszałeś o tym księciu Pawle Mauretańskim, tym, który ożenił się z tancerką?

— No, więc co?

— W „Okruchach Towarzyskich” czytałam parę dni temu niesłychanie interesującą wiadomość, że to nie żadna tancerka, tylko ni mniej, ni więcej wielka księżniczka rosyjska, jedna z córek cara, której udało się uciec od bolszewików. Więc z tego, co mówił pan Poirot, wynika, że rozwikłał sprawę grożącą skandalem księciu i jego małżonce. Podobno książę Paweł nie wiedział, jak mu się odwdzięczyć.

— Czy podarował mu szpilkę ze szmaragdem wielkości gołębiego jajka? — spytałem ironicznie.

— Pan Poirot nic o tym nie wspomniał. A tak było?

— Nie wiem, nie wiem. Chociaż tak się zawsze robi, przynajmniej w powieściach kryminalnych. Wszechwiedzący detektyw zawsze ma pokój pełen rubinów, pereł i szmaragdów, które otrzymał w podarunku od wdzięcznych koronowanych klientów.

— To strasznie przyjemnie dowiadywać się takich rzeczy prosto z pieca, jak to się mówi — powiedziała z zadowoleniem Karolina.

Tak, dla Karoliny to rozkosz. Mimo wszystko musiałem podziwiać spryt pana Herkulesa Poirota, który ze wszystkich opowiadań, jakie mógł przytoczyć, bezbłędnie wybrał historię najbardziej imponującą starej pannie zamieszkałej w maleńkim miasteczku.

— I powiedział ci, że ta tancerka jest wielką księżniczką? — spytałem.

— Zobowiązany był do tajemnicy — odparła Karolina z powagą.

Zastanawiałem się, jak dalece Poirot rozminął się z prawdą, zabawiając Karolinę. A może wcale nie! Mógł i tak ją zaintrygować wiele mówiącym wzruszeniem ramion i podnoszeniem brwi.

— No i po tym wszystkim byłaś pewno gotowa jeść mu z ręki, co?

— Nie bądź ordynarny, James! Zupełnie nie wiem, gdzieś ty się nauczył takich określeń.

— Prawdopodobnie od moich jedynych łączników z szerokim światem, od pacjentów. Na nieszczęście moja praktyka nie obejmuje książąt krwi i interesujących emigrantów rosyjskich.

Karolina podniosła okulary na czoło i zaczęła mi się przyglądać.

— Czegoś ty taki dzisiaj skwaszony, James? Na pewno wątroba. Weź na noc niebieską pigułkę.

Gdyby ktoś mnie zobaczył w domu, nigdy by nie pomyślał, że jestem lekarzem. W domu wszelkim leczeniem siebie i mnie kieruje Karolina.

— Diabli niech biorą wątrobę! — powiedziałem ze złością. — Czy rozmawialiście o sprawie morderstwa?

— Naturalnie, James! O jakich innych miejscowych sprawach moglibyśmy mówić? Udało mi się w wielu wypadkach dość poważnie uzupełnić braki w wiadomościach pana Poirota. Był mi bardzo wdzięczny. Powiedział, że mam zadatki na świetnego detektywa i że potrafię wspaniale wejrzeć w psychologiczne powikłania natury ludzkiej.

Karolina przypominała mi w tej chwili kota, który najadł się śmietanki i mruczy zadowolony.

— Mówił mi dużo o szarych komórkach mózgu i o ich funkcjonowaniu. Powiedział, że jego komórki są pierwszego gatunku.

— To do niego podobne — odparłem cierpko. — Skromność nie należy do jego zalet.

— Jesteś okropnie zazdrosny, James. Pan Poirot powiedział, że rzeczą niezmierniej wagi jest jak najszybsze odszukanie Ralfa, by mógł on oczyścić się z zarzutów. Powiedział, że jego nieobecność w czasie dochodzenia wyrze bardzo niedobre wrażenie na ławie przysięgłych.

— I coś ty na to odpowiedziała?

— Zgodziłam się z tym całkowicie. — Karolina wypięła dumnie pierś. — I powiedziałam mu, co ludzie już na ten temat mówią.

— Karolino! — odezwałem się ostro. — Czyś może też powtórzyła rozmowę podsłuchaną wtedy w lesie?

— Naturalnie! — odparła Karolina wesoło. Wstałem i zacząłem przechadzać się po pokoju.

— Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? — wybuchnąłem. — Zakładasz po prostu stryczek na szyję tego biednego chłopca.

— Wcale nie — odparła Karolina zupełnie nieporuszona.

— Byłam bardzo zdziwiona, żeś sam nie wspomniał o tym panu Poirotowi.

— Dobrze wiedziałem, dlaczego tego nie robię. Lubię Ralfa.

— Ja też go lubię. I dlatego twierdzę, że mówisz głupstwa. Nie wierzę, by Ralf popełnił morderstwo, a więc żadna prawda nie wyrządzi mu szkody, a panu Poirotowi powinniśmy jak najbardziej pomóc. Pomyśl tylko, James, z pewnością Ralf był w noc morderstwa na randce z tą samą dziewczyną i ma doskonałe alibi.

— Jeśli ma takie wspaniałe alibi, to dlaczego się nie zgłosi i nie powie nam tego?

— Może nie chce skompromitować dziewczyny? — powiedziała Karolina z dumą w głosie. — Ale jeśli porozmawia z nią pan Poirot i przedstawi to jako sprawę jej obowiązku, ona zgłosi się sama i oczyści Ralfa.

— Widzę, żeś sobie wykoncypowała jakąś romantyczną legendę — odparłem. — Czytasz zbyt dużo idiotycznych powieści. Zawsze ci to mówiłem! — Opadłem ciężko na fotel. — Czy Poirot zadawał ci jeszcze jakieś pytania? — odezwałem się po chwili.

— Pytał tylko o pacjentów, którzy byli u ciebie tego ranka.

— O pacjentów? — powtórzyłem, nie wierząc własnym uszom.

— Tak, pacjentów, którzy przyszli do twego gabinetu. Ilu i kto.

— I tyś to wiedziała? Chyba nie?

Karolina jest mimo wszystko zadziwiająca.

— A dlaczegóż nie miałam wiedzieć? — zawołała triumfująco. — Z tego okna widzę całą ścieżkę od ulicy. I mam świetną pamięć, James! O wiele lepszą niż ty, zapamiętaj to sobie.

— Jestem tego pewien — mruknąłem, myśląc o czymś zupełnie innym.

Moja siostra, licząc na palcach, wymieniała:

— Była stara pani Bennett i ten chłopak z farmy, któremu coś się stało w palec, Dolly Grice przyszła, żebyś jej wyciągnął igłę z palca, był amerykański steward z okrętu. Zaraz, zaraz, kto jeszcze...? O tak! Jeszcze stary George Evans, któremu zrobił się wrzód. I wreszcie... — zrobiła porozumiewawczą przerwę.

— No?

Karolina z wielkim smakiem rozładowała napięcie. Syknęła — zgodnie ze swym obyczajem umiejętnie wykorzystując przy tej okazji pokazną liczbę głosek „s”:

— Miss Russell!

Rozparła się w fotelu i patrzyła na mnie znacząco, a kiedy Karolina patrzy na kogoś znacząco, trudno tego nie zauważyć.

— Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi — powiedziałem nieszczercze. — Dlaczegoż by panna Russell nie miała przyjść do mnie z dolegliwościami kolana?

— Dolegliwości w kolanie! — zaśmiała się Karolina. — Bzdura! Miała takie same dolegliwości w kolanie jak ty albo ja. Ona przyszła zupełnie po co innego!

— Po co? — spytałem.

Karolina musiała przyznać, że nie wie.

— Ale bądź pewien, że o to właśnie mu chodziło. To znaczy panu Poirotowi. W tej babie jest coś podejrzanego i on to czuje.

— To samo powiedziała mi wczoraj pani Ackroyd — przyznałem. — Też uważa, że w pannie Russell jest coś podejrzanego.

— Aaa! — odparła ponuro Karolina. — Pani Ackroyd! Ona druga!

— Druga co?

Karolina jednak nie chciała mi szerzej wyjaśnić znaczenia tych słów. Pokiwała tylko głową kilka razy, zwinęła robotę na drutach i poszła na piętro, by włożyć jedwabną fioletową bluzkę zapinaną pod szyję i złoty medalion — co nazywa ubieraniem się do kolacji.

Ja pozostałem na swoim miejscu, wpatrując się w ogień i rozmyślając nad słowami Karoliny. Czy Poirot rzeczywiście przyszedł, aby zdobyć jakieś informacje o pannie Russell, czy też jest to jedynie bujna wyobraźnia Karoliny, która tłumaczy sobie wszystko zgodnie z własnymi założeniami?

Owego ranka nic absolutnie nie zauważyłem w zachowaniu panny Russell, co mogłoby wzbudzić podejrzenie. W każdym razie nie...

Przypominałem sobie ciągle naprowadzanie przez nią rozmowy na temat narkotyków i narkomanów, a dalej trucizny i trucicieli. Ale chyba w tym nie należało dopatrywać się niczego specjalnego? Jednakże to było dziwne...

Z piętra usłyszałem dosyć cierpki głos Karoliny:

— James, spóźnisz się na kolację, chodź się przebrać!

Dołożyłem trochę węgla do kominka i posłusznie poszedłem się przebrać.

Lepiej nic nie mówić i mieć spokój w domu.

Rozdział dwunasty

Dokoła stołu

Rozprawa odbyła się w poniedziałek. Nie mam zamiaru opisywać jej szczegółowo. Powtarzałbym przecież w kółko to samo. Policja zgodziła się, aby na światło dzienne wyszło jak najmniej faktów. Złożyłem zeznanie dotyczące przyczyny zgonu Ackroyda i określiłem przypuszczalną godzinę śmierci. Koroner zrobił kilka uwag na temat nieobecności Ralfa, ale specjalnie tego nie podkreślał.

Potem ja i Poirot zamieniliśmy kilka słów z inspektorem Raglanem. Inspektor był bardzo poważny.

— Sprawa źle wygląda, panie Poirot — powiedział. — Chcę być zupełnie sprawiedliwy. Ja sam stąd pochodzę i wiele razy spotykałem kapitana Patona w Cranchester. Wcale nie pragnę go widzieć na ławie oskarżonych, ale jak mówię, sprawa wygląda źle. Obojętne, z której strony na nią spojrzeć. Jeśli kapitan Paton jest niewinny, to dlaczego nie wyjdzie z ukrycia? Choć mamy dowody przemawiające przeciwko niemu, mógłby przecież jakoś wytłumaczyć swoją nieobecność'. Dlaczego więc się nie zgłasza?

Za słowami inspektora kryło się znacznie więcej, niż w owym czasie przypuszczałem. Rysopis Ralfa został przekazany do wszystkich portów i na wszystkie stacje kolejowe w całej Anglii. Policja poszukiwała go w każdym zakątku kraju, jego mieszkanie w mieście było pod obserwacją, tak jak i wszystkie domy, o których wiadano, że w nich bywa. Po zarzuceniu takiej sieci nie wydawało się możliwe, aby Ralf na długo mógł uniknąć aresztowania. Nie miał ze sobą żadnych rzeczy ani, jak przypuszczano, pieniędzy.

— Nie mogę znaleźć nikogo, kto by widział go owego wieczoru na stacji — ciągnął inspektor. — A przecież jest on tutaj dość dobrze znany i ktoś powinien był go zauważyć. Z Liverpoolu też nie ma żadnych wiadomości.

— Myśli pan, że kapitan Paton pojechał do Liverpoolu? — spytał Poirot.

— Na to wygląda. Ten telefon ze stacji na osiem minut przed odjazdem liverpoolskiego ekspresu! Coś w tym chyba jest.

— Chyba że to było specjalnie pomyślane, by zmylić ślad. Może taki był właśnie cel owego telefonu.

— To jest nawet myśl! — zapalił się inspektor. — Pan to poważnie sugeruje?

— Mój przyjacielu — odparł Poirot — nie wiem. Ale powiem panu jedno: jestem pewien, że kiedy wyjaśnię zagadkę telefonu, znajdę jednocześnie wyjaśnienie morderstwa.

— Już pan raz coś takiego mówił, przypominam sobie — zauważyłem, patrząc ciekawie na

Poirota.

Skinął głową.

— I zawsze będę do tego wracał — odparł poważnie.

— A mnie to się wydaje zupełnie bez znaczenia — oświadczyłem.

— Tego bym nie powiedział — wtrącił inspektor. — Ale prawdę rzekłszy, uważam, że pan Poirot przywiązuje do tego zbyt wielką wagę. Mamy lepsze dowody i poszlaki niż to. Na przykład ślady palców na sztylcie.

Poirot zaczął nagle wyrażać się bardzo z cudzoziemska, co zdarzało mu się zawsze, gdy był czymś podniecony.

— *Monsieur l'inspecteur** — powiedział — proszę się wystrzegać ślepej, no... no, *comment dire**... aha, takiej wąskiej, no...!

Inspektor Raglan patrzył zdumiony. Byłem szybszy od niego:

— Myśli pan o ślepej uliczce?

— Tak, tak, ślepej ścieżce, która prowadzi donikąd. Tak samo może być z tymi odciskami palców. Mogą one pana zaprowadzić nigdzie.

— Nie wiem, jak to może być — odparł inspektor. — Pan pewno przypuszcza, że mogą być fałszywe? Owszem, czytałem nawet, że robiono takie rzeczy, chociaż nigdy w swojej karierze na to się nie natknąłem. Ale prawdziwe czy fałszywe, muszą mnie gdzieś zaprowadzić.

Poirot wzruszył tylko ramionami i rozłożył ręce.

Potem inspektor pokazał nam kilka powiększonych fotografii tych odcisków i naukowo zaczął wyjaśniać różnice między różnymi typami linii papilarnych.

— No, panowie — powiedział trochę obrażony obojętnym zachowaniem Poirota — musicie chyba przyznać, że te ślady zostały pozostawione przez kogoś, kto owego wieczoru był w Fernly.

— *Bien entendu** — odparł Poirot, kiwając głową.

— No więc? Zebrałem odciski palców wszystkich mieszkańców domu, wszystkich, proszę pamiętać, od starej pani począwszy, a na dziewczynie kuchennej skończywszy.

Nie wiem, czy pani Ackroyd byłaby zachwycona mianem „starej pani”. Jestem pewien, że spędza niejedną godzinę nad różnymi kremami do twarzy.

— Od każdego! — nudził inspektor.

— Łącznie z moimi — dodałem sucho.

— No właśnie. I żadne nie pasują. To pozostawia dwie możliwości. Ralf Paton albo ów tajemniczy nieznanomy, o którym mówił nam doktor. Jeśli znajdziemy ich obu...

— Wtedy stracimy wiele cennego czasu — wtrącił Poirot.

— Nie rozumiem pana, panie Poirot? — zdziwił się inspektor.

— Mówi pan, że pan wziął odciski palców wszystkich mieszkańców domu — mruknął Poirot. — Czy jest pan tego pewien, *monsieur l'inspecteur*?

— Naturalnie, powiedziałem przecież!

— O nikim pan nie zapomniał?

— O nikim.

— Z żywych i umarłych?

Przez chwilę inspektor nie mógł pojąć, o co detektywowi idzie. Być może sądził, że są to symbolicznie użyte słowa. Potem zaczęło mu się rozjaśniać w głowie.

— Pan myśli...?

— O umarłych, *monsieur l'inspecteur*. Inspektor dalej nic nie rozumiał.

— Po prostu wydaje mi się — ciągnął uprzejmie Poirot — że odciski palców, które pan znalazł na sztylcie, należą do pana Ackroyda. Bardzo to łatwo sprawdzić. Ciało jeszcze nie jest pochowane.

— Ale dlaczegoż by tak miało być! Jaki by to miało sens? Chyba pan nie dopuszcza myśli o samobójstwie, panie Poirot?

— Ach, nie! Według mojej teorii morderca miał rękawiczki albo owinał w coś rękę. Po zadaniu ciosu ujął rękę ofiary i przycisnął jej palce do rękoności.

— Ale po co?

Poirot znowu wzruszył ramionami:

— Żeby pokiełbaszoną sprawę uczynić jeszcze bardziej pokiełbaszoną.

— Sprawdzę — powiedział inspektor. — Ale co panu podsunęło tę myśl?

— Kiedy pokazał mi pan łaskawie sztylet i zwrócił uwagę na odciski palców. Wiem bardzo mało o typach linii papilarnych. Przyznaję się tu szczerze do mojego nieuctwa. Ale wydało mi się, że położenie tych odcisków jest dość dziwne. Nie w ten sposób trzymałbym sztylet, gdybym chciał

zadać cios. Jasna rzecz, że gdy zbrodniarz wykręcał do tyłu rękę ofierze, miał pewnie trudności z ustawieniem jej w odpowiedniej pozycji.

Inspektor Raglan wpatrywał się zdumiony w krępego detektywa. Poirot z wyrazem całkowitej obojętności usuwał z rękawa marynarki jakiś niedostrzegalny pyłek.

— No, no! — powiedział inspektor. — To jest myśl. Zaraz sprawdzę, ale niech pan nie będzie rozczarowany, jeśli nic z tego nie wyjdzie.

Usiłował nadać głosowi ton łagodny i nieco ojcowski. Poirot popatrzył za inspektorem, potem obrócił się ku mnie z błyszczącymi oczami:

— Następnym razem — zauważył — muszę ostrożniej obchodzić się z jego *amour propre**. A teraz, skoro pozostawiono nas samych, może byśmy tak zorganizowali, dobry przyjacielu, małe zebranko całej rodziny, tak?

„Małe zebranko”, jak je nazwał Poirot, odbyło się w pół godziny później. Usiedliśmy wokół stołu w jadalni Fernly; Poirot na honorowym miejscu, niby przewodniczący jakiegoś ponurego posiedzenia. Służby nie wezwano, tak że było nas sześcioro: pani Ackroyd, Flora, major Blunt, młody Raymond, Poirot i ja.

Kiedy wszyscy się zeszli, Poirot wstał i złożył głęboki ukłon:

— *Messieurs, mesdames**, zwołałem państwa tutaj w pewnym celu. — Zrobił krótką przerwę. — Przede wszystkim pragnę wnieść specjalną prośbę do *mademoiselle*.

— Do mnie? — spytała Flora.

— *Mademoiselle*, pani jest zaręczona z kapitanem Ralfem Patonem. Jeśli wtajemniczył on kogokolwiek w swoje sprawy, to właśnie panią. Błagam panią gorąco, aby jeśli znane jest pani miejsce jego pobytu, namówiła go pani do ujawnienia się. Chwileczkę! — powiedział, gdy Flora podniosła głowę, chcąc zabrać głos. — Niech pani nic nie mówi, póki się pani nie zastanowi dobrze. *Mademoiselle*, jego sytuacja staje się z dnia na dzień gorsza, bardziej niebezpieczna. Gdyby zjawił się od razu, bez względu na to, jak poważne mogły być przeciwko niemu poszlaki, miałby szansę wytłumaczenia się. Ale jego milczenie, jego ucieczka, cóż to wszystko może oznaczać? Tylko jedno: poczucie winy. *Mademoiselle*, jeśli pani naprawdę wierzy w jego niewinność, niech go pani namówi, żeby przyszedł, nim będzie za późno!

Twarz Flory zbielała jak opłatek.

— Za późno! — powtórzyła bardzo cicho.

Poirot pochylił się w jej kierunku i wpatrywał w nią uważnie.

— Niech pani zrozumie, *mademoiselle*, *papa** Poirot panią prosi. Stary Poirot rozumie wiele rzeczy i ma doświadczenie. Nie próbowałbym zastawiać na panią żadnej pułapki. Nie zaufa mi pani i

nie powie, gdzie jest Ralf Paton?

Dziewczyna wstała, spoglądając mu w oczy.

— Panie Poirot — powiedziała wyraźnie — przysięgam panu, przysięgam uroczyście, że nie mam pojęcia, gdzie się znajduje Ralf Paton i że go nie widziałam ani nie otrzymałam od niego żadnej wiadomości w dniu... morderstwa i potem.

Usiadła na swoim miejscu. Poirot wpatrywał się w nią przez parę minut, potem mocno uderzył pięścią w stół.

— *Bien*^{*}, więc skończyliśmy z tym. — Twarz mu stwardniała. — Teraz apeluję do wszystkich, którzy siedzą tu wokół stołu, do pani Ackroyd, majora Blunta, doktora Shepparda, pana Raymonda! Wszyscy jesteście przyjaciółmi lub krewnymi Ralfa Patona. Jeśli ktoś z was wie, gdzie on jest, powiedzcie!

Nastąpiła długa cisza. Poirot przyglądał się każdemu z nas po kolei.

— Błagam was! — powiedział. — Mówcie!

Ale cisza trwała nadal, aż przerwana została wreszcie przez panią Ackroyd:

— Muszę wyznać — odezwała się jęklwym głosem — że nieobecność Ralfa jest co najmniej dziwna, w istocie, niesłychanie dziwna. Żeby nie zjawić się w takiej chwili! Wygląda, że coś się za tym kryje. Wiesz, moja droga Floro, czuję jednak ulgę, iż twoje zaręczyny nie były jeszcze oficjalnie ogłoszone.

— Mamo! — wykrzyknęła Flora.

— Opatrzność! — oświadczyła pani Ackroyd. — Ja głęboko wierzę w Opatrzność. Opatrzność i zrządzenie kierują naszymi losami i mają pieczę nad nimi, jak to Szekspir ślicznie powiedział.

— Chyba pani nie czyni Opatrzności odpowiedzialną za puchnięcie pani nóg w kostkach — wyrwał się Raymond ze śmiechem, którego nie potrafił opanować.

Zamierzał przypuszczalnie złagodzić napięcie, ale pani Ackroyd posłała mu spojrzenie pełne wyrzutu i wyjęła chusteczkę.

— Flora uniknęła dzięki temu wielu kłopotów i złej sławy. Nie, nie, ja ani przez chwilę nie myślę, że drogi Ralf ma coś wspólnego ze śmiercią biednego Rogera. Tego nie myślę. Bo ja mam taką naturę, że ufam ludziom. Zawsze miałam, od dziecka. Nie mogę się po prostu zmusić, żeby źle o kimś myśleć. Ale naturalnie nie wolno zapominać, że jako młody chłopiec Ralf przeżył wiele nalołów. Czasami skutki długo pozostają, tak słyszałam. Tacy ludzie zupełnie nie odpowiadają za swoje czyny. Tracą panowanie, no, wiecie, i nie mogą nic na to poradzić.

— Mamo! — wykrzyknęła znowu Flora. — Przecież nie myślisz, że on to zrobił!

— No, no, pani Ackroyd! — odezwał się major Blunt. — Ja już nie wiem, co myśleć! — Pani Ackroyd była bliska łez. — To wszystko jest takie denerwujące. Co by się stało z majątkiem, tak sobie myślę, gdyby się okazało, że Ralf jest winny?

Raymond gwałtownie odsunął krzesło od stołu. Major Blunt zachował spokój i patrzył w zamyśleniu na panią Ackroyd.

— Tak jak szok po szrapnelu albo coś — upierała się pani Ackroyd. — Roger, trzeba szczerze przyznać, bardzo mu skąpił pieniędzy, w najlepszych intencjach naturalnie. Ja wiem, że wy wszyscy jesteście przeciwko mnie, ale to bardzo dziwne, że Ralf się nie pojawia. Jestem naprawdę bardzo zadowolona, że zaręczyny Flory nie zostały ogłoszone oficjalnie.

— Jutro będą — powiedziała głośno Flora.

— Floro! — wykrzyknęła przerażona matka. Flora zwróciła się do Raymonda:

— Proszę wysłać zawiadomienie do „Morning Post” i do „Timesa”.

— Czy pani uważa to za rozsądne, panno Ackroyd? — odparł Raymond.

Flora impulsywnie spytała Blunta:

— Pan mnie rozumie, prawda? Cóż mogę innego zrobić? W takiej sytuacji nie wolno mi opuścić Ralfa. Pan rozumie, że muszę?

Patrzyła nań badawczo. Po chwili Blunt skinął głową.

Pani Ackroyd zaczęła krzykliwie protestować, lecz Flora pozostała niewzruszona. Wreszcie odezwał się Raymond:

— W pełni doceniam pani motyw, panno Ackroyd, ale czy nie sądzi pani, że to jeszcze przedwczesne? Może poczekamy parę dni?

— Jutro — powtórzyła Flora zdecydowanym głosem. — Mamo, twoje krzyki nic tu nie pomogą. Wszystko mi można zarzucić, ale nie brak lojalności wobec przyjaciół.

— Panie Poirot! — pani Ackroyd cała we łzach zwróciła się do detektywa. — Nie może pan czegoś powiedzieć?

— Nie ma co mówić — wtrącił się Blunt. — Flora robi, co powinna. Całkowicie popieram. I będę popierał.

Flora wyciągnęła do niego rękę.

— Dziękuję panu, majorze!

— *Mademoiselle* — odezwał się Poirot. — Pani pozwoli, że ja, stary człowiek, pogratuluję pani

odwagi i lojalności. I proszę mnie źle nie zrozumieć, jeśli panią poproszę, jeśli panią uroczyście poproszę, by odłożyła pani ten zamiar o jakieś dwa dni.

Flora zaczęła się wahać.

— Proszę o to zarówno w interesie Ralf a Patona, jak i pani, *mademoiselle*. Pani marszczy brew. Pani nie rozumie, jak to może być. Ale ja panią zapewniam, że tak jest. *Pas de blagues**. Pani oddała sprawę w moje ręce, nie może mi pani teraz przeszkadzać.

Flora odpowiedziała dopiero po kilkuminutowym namyśle:

— Nie podoba mi się to, ale usłucham pana. Usiadła na swoim miejscu.

— A teraz, *messieurs et mesdames* — powiedział szybko Poirot — powiem to, co miałem powiedzieć. Zrozumcie jedno, mam zamiar odkryć prawdę! Prawda, bez względu na to, jak okropna, jest zawsze ciekawa i piękna dla jej poszukiwacza.

Jestem starym człowiekiem, moje możliwości nie są już takie, jakie były. — Przerwał, oczekując widocznie gorących zaprzeczeń. — Najprawdopodobniej to jest ostatnia sprawa, jaką przyjąłem. Ale Herkules Poirot nie zakończy swojej kariery porażką. *Messieurs et mesdames*, mówię wam, mam zamiar poznać prawdę! I poznam ją wbrew wam wszystkim. Ostatnie słowa prowokacyjnie rzucił nam w twarz. Wydaje mi się, że wszyscy drgnęliśmy, z wyjątkiem Raymonda, który nie stracił swojej zwykłej niefrasobliwości.

— Co pan rozumie przez to „wbrew nam”? — spytał, marszcząc lekko czoło.

— To, co powiedziałem, *monsieur*. Każdy w tym pokoju coś przede mną ukrywa. — Podniósł rękę, gdy usłyszał szmer protestu. — Ja wiem, co mówię. Czasami może to jest coś nieważnego, jakieś głupstwo, o którym myślicie, że nie ma żadnego znaczenia w tej sprawie, ale je ukrywacie. Każdy z was coś ukrywa. No, nie mam racji?

Jego wyzywające i oskarżycielskie spojrzenie spoczęło kolejno na każdej twarzy. Wszyscy opuścili oczy. Tak, ja również!

— Widzę, że udzieliliście mi odpowiedzi. — Poirot roześmiał się dziwnie i wstał. — Wzywam więc was, abyście mi powiedzieli prawdę, całą prawdę!

Zapanowała cisza.

— Czy nikt się nie odezwie?

Znowu roześmiał się tym samym krótkim śmiechem.

— *Cest dommage**! — powiedział i wyszedł.

Rozdział trzynasty

Gęsie piórko

Tego wieczoru po kolacji na zaproszenie Poirota odwiedziłem go w domu. Gdy wychodziłem, Karolina przyglądała mi się nieprzychylnie.

Podejrzewam, że bardzo chciała mi towarzyszyć.

Poirot powitał mnie serdecznie, na małym stoliku postawił butelkę irlandzkiej whisky (której nienawidzę), obok syfon z wodą sodową i szklanekę. Sam zajął się przygotowaniem dla siebie filiżanki gorącej czekolady. Jak się później dowiedziałem, był to jego ulubiony napój.

Grzecznie spytał o zdrowie mojej siostry, którą ochrzcił mianem „najbardziej interesującej kobiety”.

— Obawiam się, że po pańskiej wizycie Karolina urosła kilka cali — odezwałem się sucho. — Jak to było w niedzielę po południu?

Poirot zaśmiał się, w oczach mignęło mu rozbawienie.

— Lubię w swojej pracy zatrudniać ekspertów — wytłumaczył tajemniczo i nie chciał dalej rozwinąć tej myśli.

— W każdym razie dowiedział się pan wszystkich lokalnych nowinek — zauważyłem. — Prawdziwych i zmyślonych.

— I zdobyłem wiele cennych informacji — dodał Poirot spokojnie.

— Na przykład? Potrząsnął głową.

— Dlaczego nie mówicie mi prawdy — odparował. — W takiej miejscowości jak ta wszystkie poczynania Ralfa Patona musiały być znane. Gdyby nie pańska siostra przechodziła wtedy przez las, ktoś inny by to zrobił.

— Prawdopodobnie — zgodziłem się z niechęcią. — A skąd pana nagłe zainteresowanie moimi pacjentami?

Oczy mu zabłyśły.

— Tylko jednym, doktorze, tylko jednym.

— Ostatnim? — zaryzykowałem.

— Uważam studium nad panną Russell za niezmiernie pouczające — odparł wymijająco.

— A więc zgadza się pan z moją siostrą i panią Ackroyd, że w zachowaniu panny Russell jest coś podejrzanego?

— Co, co? Jak pan powiedział: podejrzanego? Najlepiej, jak mogłem, wyjaśniłem mu, co przez to określenie rozumiem.

— I one tak o niej powiedziały?

— Czy wczoraj po południu moja siostra nie dała panu tego do zrozumienia?

— C'est possible*.

— Uważam, że nie ma żadnych podstaw do wygłaszania podobnych opinii — oświadczyłem.

— *Les femmes**! — zgodził się Poirot. — Są wspaniałe! Mówią bez zastanowienia i potem cud — mają rację. Kobiety podświadomie obserwują tysiące najdrobniejszych szczegółów, nie wiedząc nawet, że to robią. Ich podświadomość sumuje te szczegóły, no i rezultat, który one nazywają intuicją. Ja jestem bardzo dobrym psychologiem, ja o tym wszystkim wiem.

Wypiął się dumnie i wyglądał przy tym tak zabawnie, że z trudnością powstrzymałem się od śmiechu. Potem wypił maleńki łyżeczek czekolady i starannie wytarł wąsy.

— Bardzo bym pragnął usłyszeć pańskie zdanie — powiedziałem nagle. — Co pan o tym wszystkim sądzi?

Odstawił filiżankę.

— Naprawdę pan sobie tego życzył

— Tak.

— Widział pan to wszystko co i ja. Czy nie powinniśmy myśleć tego samego?

— Pan chyba ze mnie kpi — dopowiedziałem oschle. — Ja nie mam doświadczenia w sprawach tego rodzaju.

Poirot uśmiechnął się wybacząco.

— Jest pan jak małe dziecko, które pragnie wiedzieć, jak to się dzieje, że motor chodzi. Chce pan ujrzeć całą sprawę nie tak, jak ją widzi doktor rodziny, ale chce pan ją objąć okiem detektywa, który nikogo nie zna i którego nikt nie obchodzi, dla którego to wszystko są obcy ludzie i wszyscy jednakowo podejrzeni,

— Bardzo dobrze pan to ujął — powiedziałem.

— A więc zrobię panu mały wykład. Najważniejsza rzecz to jasno wyobrazić sobie wypadki owego wieczoru, zawsze pamiętając, że wszyscy informatorzy mogą kłamać.

Uniosłem brwi.

— Bardzo podejrzliwe nastawienie.

— Jednak konieczne, zapewniam pana, konieczne. Więc przede wszystkim: doktor Sheppard wychodzi z Fernly o godzinie za dziesięć dziewiąta. Skąd ja to wiem?

— Bo panu powiedziałem.

— Ale mógł pan nie powiedzieć prawdy. Albo zegarek, podług którego sprawdzał pan czas, mógł źle chodzić. Ale Parker potwierdził, że wyszedł pan za dziesięć dziewiąta.

Przyjmijmy to więc za pewnik i przejdźmy dalej. O dziewiątej wpadł pan na jakiegoś człowieka i oto zdarzenie, które nazwę Romansem Tajemniczego Nieznajomego. Spotkał go pan tuż za bramą. Skąd wiem, że tak było?

— Bo panu powiedziałem... — zacząłem znowu, lecz Poirot przerwał mi gestem zniecierpliwienia:

— Ach, dzisiaj wieczorem jest pan trochę niemądry, mój przyjacielu. Pan wie, że tak było, ale skąd ja mam wiedzieć? *Eh bien**, mogę się zgodzić, że Tajemniczy Nieznajomy nie jest tworem pańskiej wyobraźni, ponieważ służąca panny Ganett spotkała go parę minut przed panem i ją również pytał o drogę do Fernly Park. Przyjmujemy więc jego obecność za udowodnioną i możemy być pewni dwóch rzeczy dotyczących jego osoby: że nie znał tych stron i że po cokolwiek przyszedł do Fernly, nie otaczał tego wielką tajemnicą, ponieważ dwukrotnie pytał o drogę.

— To jasne — odparłem. — Rozumiem.

— Postanowiłem jednak zebrać więcej wiadomości o tym człowieku. Jak się też dowiedziałem, wpadł on na szklaneczkę do gospody Pod Trzema Dzikami. Barmanka mówi, że miał amerykański akcent i wspominał o niedawnym przyjeździe ze Stanów. Nie uderzyło pana, że miał amerykański akcent, doktorze?

— Tak, teraz widzę, że miał — powiedziałem po chwili zastanowienia. — Ale bardzo nieznacznym.

— *Precisement**. A poza tym mam to, co jak pan sobie przypomina, znalazłem w pawiloniku.

Podał mi gęsie piórko. Spojrzałem na nie ciekawie. Teraz dopiero odezwało się we mnie wspomnienie czegoś, co kiedyś czytałem.

Poirot, który obserwował uważnie moją reakcję, skinął głową:

— Tak, kokaina, „śnieg”. Narkomani noszą ją właśnie w gęsich piórkach. Wystarczy przytknąć do nosa i zażywać niby tabakę.

— Dwuacetylmorfina — mruknąłem mechanicznie.

— Ten sposób zażywania kokainy jest bardzo popularny w Ameryce. Jeszcze więc jeden dowód (gdybyśmy go potrzebowali), że ten człowiek przyjechał ze Stanów albo z Kanady.

— A co w ogóle zwróciło pana uwagę na pawilonik? — spytałem zaintrygowany.

— Mój przyjaciel inspektor założył na ślepo, że ktokolwiek by używał tej alejki, to tylko w celu szybszego dojścia do domu, ale ja, skoro tylko zobaczyłem altanę, zdałem sobie sprawę, że alejka służy również tym, którzy umówili się tam na schadzkę. Ponieważ nie ma chyba wątpliwości, że ów nieznajomy rzeczywiście nie dzwonił do drzwi frontowych ani kuchennych, przypuszczam, że ktoś wyszedł z domu na spotkanie z nim. Jeśli tak, to czy jest lepsze miejsce niż właśnie pawilonik? Przeszukałem go w nadziei, że może znajdę jakieś ślady. Znalazłem. Kawalek materiału i gęsie piórko.

— No i właśnie, ten kawałek materiału? — podchwyciłem.

— Może pan coś o tym powiedzieć?

Poirot podniósł brwi.

— Pan zupełnie nie używa swoich szarych komórek, przyjacielu — zauważył sucho. — Znaczenie kawałka białego nakrochmalonego materiału powinno uderzać pana w oczy.

— Jakoś mnie nie uderza. — Zmieniłem temat: — W każdym razie ten człowiek poszedł do pawiloniku, żeby się z kimś spotkać. Z kim?

— Otóż i pytanie! — odparł Poirot. — Nie pamięta pan, że pani Ackroyd i jej córka przyjechały tutaj z Kanady?

— Czy o tym pan myślał, kiedy je pan oskarżał o ukrywanie prawdy?

— Może. A teraz druga sprawa: co pan myśli o historii pokojówki?

— Jakiej historii?

— No, historii zwolnienia jej z pracy. Czy potrzeba pół godziny, żeby komuś wymówić? I czy przewracanie ważnych papierów jest prawdopodobnym powodem? Niech pan pamięta o jednym: chociaż ona utrzymuje, że była w swojej sypialni od dziewiątej trzydzięci do dziesiątej, nie ma świadka, który by to potwierdził.

— Pan mnie zdumiewa — powiedziałem.

— Dla mnie cała sprawa jest coraz jaśniejsza. No, ale teraz niech pan powie, co pan myśli, jakie pan buduje teorie.

Wyciągnąłem z kieszeni kawałek papieru.

— Właśnie sobie spisałem kilka uwag na ten temat — przyznałem się z lekkim zażenowaniem.

— Ależ to doskonale! Pan ma, widzę, metodę. No, posłuchamy!

Zacząłem czytać, początkowo dosyć skrepowany:

— Przede wszystkim należy spojrzeć na całą sprawę z logicznego punktu widzenia...

Poirot mi przerwał:

— Ha! Tak zawsze mówił drogi Hastings, ale niestety, nigdy tego nie potrafił zrobić!

— Punkt pierwszy — ciągnąłem — słyszano, jak pan Ackroyd rozmawiał z kimś o dziewiątej trzydzieści. Punkt drugi: w pewnej chwili wieczorem Ralf Paton musiał wejść przez okno, czego dowodzą ślady na parapecie. Punkt trzeci: pan Ackroyd był tego wieczoru bardziej niż zwykle zdenerwowany i nie wpuściłby do gabinetu nikogo obcego. Punkt czwarty: osoba rozmawiająca z panem Ackroydem o godzinie dziewiątej trzydzieści chciała od niego pieniędzy. Wiemy, że Ralf Paton znajdował się w trudnościach finansowych. Z tych czterech punktów wynika, że osobą rozmawiającą o dziewiątej trzydzieści z panem Ackroydem był Ralf Paton. Ale z drugiej strony wiemy, że o godzinie za kwadrans dziesiąta pan Ackroyd czuł się dobrze, a więc to nie Ralf go zamordował. Ralf pozostawił okno otwarte. Potem tą samą drogą wszedł morderca.

— Kto był tym mordercą? — spytał Poirot.

— Ów Amerykanin. Może w zмовie z Parkerem, a może to właśnie Parker szantażował panią Ferrars. Jeśli tak, to Parker mógł pod drzwiami podsłuchać dość, by wiedzieć, że przyszła nań kreska. Powiedział to swemu wspólnikowi, który następnie zamordował Ackroyda sztyletem otrzymanym od Parkera.

— To jest teoria — przyznał Poirot. — Pan nawet ma funkcjonujące komórki mózgowe. Ale pozostało mnóstwo faktów, których pan nie wziął pod uwagę.

— Na przykład?

— Telefon do pana, wysunięty fotel...

— Czy pan naprawdę sądzi, że ten fotel jest tak ważny? — przerwałem.

— Może i nie — przyznał mój przyjaciel. — Może ktoś go wysunął przypadkiem, może Raymond i Blunt popchnęli go pod ścianę odruchowo w chwili wielkiego podniecenia? No, a poza tym jest sprawa brakujących czterdziestu funtów.

— Które Ackroyd mógł dać Ralfowi — podesunąłem. — Może przemyślał swoją pierwszą odmowną decyzję...

— Mimo to w dalszym ciągu pozostaje jedna rzecz niewyjaśniona.

— Co?

— Dlaczego Blunt jest taki pewien, że pan Ackroyd o dziewiątej trzydzieści rozmawiał z Raymondem?

— Wyjaśnił to przecież!

— Pan tak sądzi? No, dobrze, nie będę się sprzeczał. Proszę mi jednak teraz powiedzieć, co skłoniło Ralf a do zniknięcia?

— To już trudniejsza sprawa — odparłem wolno. — Będę mówił jako lekarz. Nerwy nie wytrzymały napięcia. Jeśli Ralf odkrył, że ojczyma zamordowano w kilka minut po jego wizycie, i to być może po wizycie, której przebieg był

burzliwy, przestraszył się i wolał uciec. Niejeden człowiek tak by zrobił, wiadomo, że ludzie często zachowują się podejrzanie, choć są zupełnie niewinni.

— Tak, to prawda — powiedział Poirot. — Ale nie wolno nam stracie z oczu jednej rzeczy...

— Wiem, co pan powie — wtrąciłem. — Motywu! Ralf Paton dziedziczy wielką fortunę z chwilą śmierci ojczyma.

— To jeden motyw — zgodził się Poirot.

— A jest jeszcze inny?

— Naturalnie. *Mais oui**! Czy nie zdaje pan sobie sprawy, że mamy jak na dłoni trzy najbardziej oczywiste motywy? Ktoś ukradł niebieską kopertę i jej zawartość. To jeden motyw. Szantaż! Ralf Paton mógł być człowiekiem, który szantażował panią Ferrars. Proszę pamiętać, że zgodnie z tym, co wie Hammond, Ralf ostatnimi czasy nie zwracał się do ojczyma o pomoc. Wygląda na to, że gdzie indziej zaopatrywał się w gotówkę. Poza tym wiemy, że ostatnio był na tym, co pan nazywa ścieżką bez wyjścia. I bał się, że cała historia może dojść do uszu pana Ackroyda. No i jeszcze ten motyw, o którym pan wspomniał.

— Mój Boże! — powiedziałem zdumiony. — Cała sprawa przedstawia się dla Ralf a dosyć czarno.

— Naprawdę? Tu się właśnie nie zgadzamy, doktorze, pan i ja. Trzy motywy! To zbyt dużo. Jestem skłonny przypuszczać, że mimo wszystko Ralf Paton jest niewinny.

Rozdział czternasty

Pani Ackroyd

Po wieczorze, który powyżej opisałem, sprawa przeszła na inną płaszczyznę; można teraz było wyodrębnić dwie fazy, zupełnie od siebie niezależne. Faza pierwsza to okres od śmierci Ackroyda w piątek wieczorem do poniedziałku wieczorem. Jest to proste sprawozdanie o tym, co się zdarzyło, tak jak przedstawiono to Herkulesowi Poirotowi. Przez cały czas mu towarzyszyłem i widziałem to co on. Starałem się odczytać tok jego myśli. Teraz dopiero widzę, że mi się nie udało. Chociaż Poirot dzielił się ze mną wszystkimi swoimi odkryciami — na przykład pokazał mi złotą obrączkę — ukrywał logiczne, choć podstawowe wnioski, jakie wyciągał z tych odkryć. Później dopiero dane mi było się dowiedzieć, że to zwykły jego system. Rzucił czasami półsłówka i wskazywał ślad, ale wyraźnie i do końca nic nie chciał nigdy wyjaśnić.

Tak jak powiedziałem, do poniedziałku wieczorem moja opowieść mogłaby być spisana przez samego Poirota. Zabawiałem się w jego Watsona. Ale po poniedziałku nasze drogi się rozeszły. Poirot zaczął węszyć samotnie, a ja, choć dowiadywałem się o jego poczynaniach — bo w King's Abbot słyszy się wszystko — nie brałem w nich bezpośredniego udziału. Miałem zresztą liczne własne obowiązki i zajęcia.

Gdy patrzę dzisiaj na ten okres, uderza mnie najbardziej fragmentaryczność i wielokierunkowość dochodzenia. Właściwie każdy maczał palce w rozplątywaniu tej tajemnicy, która wyglądała jak wielka łamigłówka, i każdy uzupełniał ją klockami swojej wiedzy lub odkryć. Ale i na tym też kończył się udział poszczególnych osób. Wyłącznie Poirotowi przypisać należy ustawianie z klocków właściwej konstrukcji.

Niektóre drobne wypadki zdawały się w owym czasie bez znaczenia. Na przykład sprawa czarnych butów. Ale to zdarzyło się dopiero później... Aby utrzymać chronologię mojego opowiadania, muszę zacząć od wezwania pani Ackroyd.

Wysłała po mnie wczesnym rankiem we wtorek i ponieważ wezwanie jej było pilne, niezwłocznie udałem się do Fernly Park, sądząc, że znajdę panią Ackroyd *in extremis*.*

Zastałem ją w łóżku. Na tyle postanowiła zachować pozory. Podała mi kościstą rękę i wskazała stojące obok krzesło.

— Czym mogę pani służyć? — spytałem.

Starałem się mówić tonem współczująco-pocieszającym, jakiego oczekuje się od lekarza.

— Jestem zniszczona bólem — odparła omdlewająco.

— Absolutnie zniszczona. To szok po śmierci biednego Rogera. Ludzie mówią, że prawdziwą

rozpacz czuje się dopiero potem, długo po wypadku. Teraz właśnie nadszedł czas na mój ból.

Niezmiernie żałuję, iż lekarska powinność uniemożliwia czasami powiedzenie tego, co by się chciało powiedzieć. Z rozkoszą odparłbym w owej chwili: „Wielka lipa”.

Wyciągnąłem więc tylko uspokajające wino. Pani Ackroyd przyjęła dawkę. Wydawało się, że jedna rozgrywka została zakończona. Ani przez chwilę bowiem nie wyobrażałem sobie, by przysłano po mnie dlatego, że pani Ackroyd przeżywa szok po śmierci szwagra. Jednakże pani Ackroyd nie potrafi dążyć do żadnego celu prostą drogą. Zawsze poszukuje krętych ścieżek. Zastanawiałem się więc głęboko, w jakim celu po mnie przysłała.

— No i wczoraj ta scena! — odezwała się.

Przerwała na chwilę, bym mógł zorientować się w sytuacji i odpowiednio zareagować.

— Jaka scena? — spytałem.

— Doktorze, jak tak można! Czyż pan zapomniał? Ten okropny mały Francuz czy też Belg, czy kim on jest! Tak nas męczyć, jak on to robił! Zupełnie mnie wytrącił z równowagi. Taka historia zaraz po śmierci Rogera!

— Bardzo mi przykro, proszę pani — odparłem.

— Zupełnie nie rozumiem, co to miało znaczyć. Krzyczenie na nas! Znam swój obowiązek i nawet mi przez myśl nie przemknęło coś przed nim ukrywać. Udzieliłam policji wszelkiej pomocy, jakiej mogłam.

Zamilkła, a ja powiedziałem:

— Aha. — Zaczynałem rozumieć, co w trawie piszczy.

— Nikt nie może powiedzieć, że nie spełniłam swego obowiązku — ciągnęła pani Ackroyd. — Jestem pewna, że inspektor Raglan jest całkowicie zadowolony. Dlaczego takie nic, byle cudzoziemiec, robi tyle hałasu? Najśmieszniejszy człowieczek, jakiego widziałam w życiu. Zupełnie jak śmieszny Francuz z komedii muzycznej. Nie rozumiem, jak Flora mogła ściągać go do tej sprawy! Nic mi nie powiedziała. Po prostu poszła do niego i w swoim imieniu go zaprosiła. Flora jest czasami zbyt samodzielna. Ja jestem kobietą światową i jej matką. Powinna była przedtem mnie spytać.

Słuchałem tego wszystkiego w milczeniu.

— Co on sobie myśli? To bym chciała wiedzieć! Czy on naprawdę sądzi, że ja coś ukrywam? Przecież on... on właściwie mnie wczoraj oskarżył! Wzruszyłem ramionami.

— To przecież nie ma żadnego znaczenia, proszę pani — odparłem. — Ponieważ pani nic nie ukrywa, uwagi pana Poirota nie odnoszą się do pani.

Swoim zwyczajem pani Ackroyd przerzuciła się natychmiast na inny temat:

— Ze służbą jest zawsze taki kłopot! Służba strasznie plotkuje i gada między sobą. A potem różne rzeczy krążą po ludziach, a nie ma w nich żdźbła prawdy.

— A czy służba coś gadała? — spytałem. — O czym? Pani Ackroyd rzuciła mi badawcze spojrzenie. Omal nie wytrąciło mnie z równowagi.

— Byłam pewna, że pan pierwszy będzie wiedział, doktorze. Przecież pan cały czas przebywa z panem Poirotem, prawda?

— Owszem.

— A więc pan musi wiedzieć. To ta dziewczyna, Urszula Bourne, prawda? I naturalnie ona odchodzi. Jasne! Chce nas skompromitować. Mściwość i tyle! One są wszystkie podobne. Ponieważ pan tam był, pan musi wiedzieć, doktorze, co ona mówiła. Mnie bardzo zależy na tym, żeby nie krążyły jakieś z palca wyssane historie. Bo przecież policji nie opowiada się drobnych intymnych szczegółów z życia rodziny, prawda? Są pewne rzeczy, nie, nie, nie mające nic wspólnego ze sprawą morderstwa! Ale jeśli ta dziewczyna jest mściwa, to mogła wymyślić masę rozmaitych kłamstw.

Byłem na tyle bystry, aby za tym potokiem słów dostrzec prawdziwy niepokój. Podejrzenia Poirota były więc zupełnie usprawiedliwione. W każdym razie z sześciu osób zebranych wczoraj wokół stołu pani Ackroyd miała coś do ukrycia. Ode mnie teraz zależało, by się dowiedzieć, co to takiego.

— Na pani miejscu — powiedziałem szorstko — zrzuciłbym z siebie ciężar i szczerze wszystko wyznał.

Krzyknęła przenikliwie:

— Och, doktorze, jakże pan może być taki niedelikatny! Zupełnie jakby pan podejrzewał, że, że... Poza tym całą sprawę mogę bez trudu wyjaśnić.

— A więc dlaczego pani tego nie zrobi? — spytałem. Pani Ackroyd wyciągnęła koronkową chusteczkę i przybrała płacziwą minę.

— Myślałam właśnie, doktorze, że pan to będzie mógł odpowiednio przedstawić panu Poirotowi, wytłumaczyć mu, bo wie pan, jak to trudno, no, trudno cudzoziemcowi spoglądać na pewne sprawy z naszego punktu widzenia. Nie ma pan pojęcia i nikt nie ma pojęcia, jak ja cierpiałam. To było męczeństwo, jedno wielkie męczeństwo! Tak, takie było moje życie. Nie lubię źle mówić o umarłych, ale niestety. Przy najdrobniejszym rachunku gadanie od początku. Zupełnie jakby Roger zarabiał mizerne kilkaset funtów rocznie, a nie był posiadaczem olbrzymiej fortuny, jak mi to wczoraj powiedział pan Hammond. Jednej z największych fortun w okolicy!

Pani Ackroyd na chwilę przerwała, by parę razy przytknąć chusteczkę do oczu.

— Pani coś wspomniała o rachunkach? — usiłowałem pociągnąć ją za język.

— Te straszne rachunki! Niektórych to się w ogóle bałam pokazywać Rogerowi. Mężczyzna nie potrafi takich rzeczy zrozumieć. Na pewno by powiedział, że to niepotrzebne wydatki. No i wie pan, te sumy rosły, rachunków przybywało...

Spojrzała błagalnie, jakby prosząc, abym wraz z nią dziwił się, że rachunków wciąż przybywa.

— Tak to już jest z rachunkami — zgodziłem się. Pani Ackroyd zmieniła ton. Mówiła teraz z pretensją:

— Mówię panu, doktorze, że powoli zamieniałam się w kłębek nerwów. Nocami nie mogłam spać. I takie straszne uczucie trzepotania koło serca. No, a potem dostałam list od szkockiego dżentelmena, właściwie dwa listy, od dwóch szkockich dżentelmenów. Jeden od pana Bruce'a MacPhersona i drugi od pana Colina MacDonalda. Dziwny zbieg okoliczności.

— Wątpię — odparłem sucho. — Przeważnie są to szkoccy dżentelmeni, ale ja podejrzewam ich o semicką krew.

— Pożyczki od dziesięciu funtów do dziesięciu tysięcy bez żadnego zabezpieczenia — szepnęła pani Ackroyd, jakby snuła ciepłe wspomnienie. — Napisałam do jednego z nich, ale okazało się, że są pewne trudności.

Zamilkła na chwilę.

Wyczułem, że zwierzenia wkraczają w delikatną fazę. Naprawdę nie znałem jeszcze nikogo, kto by tak długo potrafił kluczyć, nim dojdzie do sedna.

— Bo widzi pan — bąknęła pani Ackroyd — to wszystko zależy, czego się oczekuje, prawda? Oczekuje w spadku. I chociaż spodziewałam się, że Roger o mnie nie zapomni, nie wiedziałam tego na pewno. Pomyślałam sobie, że gdybym tak mogła zerknąć na jego testament, nie, nie mam na myśli żadnego ordynarnego wdzierania się w cudze sprawy, ale tak tylko, żebym mogła ułożyć swoje plany...

Spojrzała na mnie z ukosa. W istocie, grzęzła teraz w dość głębokim błotku. Jednakże słowa mają to do siebie, że odpowiednio dobrane potrafią przysłonić ohydę nagich faktów.

— Tylko panu mogę się z tego wszystkiego zwierzyć, doktorze — powiedziała szybko. — Tylko pan, ufam, nie zrozumie mnie źle i przedstawi wszystko w odpowiednim świetle temu panu Poirotowi. To było w piątek po południu.

Zamilkła i niepewnie przełknęła ślinę.

— Co było? — spytałem zachęcająco. — W piątek po południu i co?

— Wszyscy wyszli. Tak mi się w każdym razie zdawało. Weszłam do gabinetu Rogera. Miałam tam zupełnie inną sprawę i nie myślałam wcale o niczym złym. Ale jak zobaczyłam te papiery na biurku, to wtedy nagle, w mgnieniu oka, przyszła mi do głowy myśl: „Ciekawa jestem, czy Roger przechowuje testament właśnie w jednej z tych szuflad?”. Działam często impulsywnie, zawsze taka

byłam. Już od dziecka. Robię różne rzeczy pod wpływem chwili. Roger zostawił w biurku klucze. Bardzo to nieostrożnie z jego strony. Były w zamku górnej szuflady.

— Rozumiem — powiedziałem uprzejmie. — Więc przeszukała pani biurko i znalazła pani testament?

Pani Ackroyd krzyknęła. Zrozumiałem, że postąpiłem bardzo niedyplomatycznie.

— Jakże to okropnie brzmi! Ale wcale tak nie było, naprawdę!

— Naturalnie, że nie! — zapewniłem pośpiesznie. — Pani wybaczy, niefortunnie się wyraziłem.

— Mężczyźni są tacy dziwni. Na miejscu drogiego Rogera wcale bym nie ukrywała treści testamentu. Ale mężczyźni są skryci. Kobiety muszą stosować rozmaite niewinne podstępny, wyłącznie dla samoobrony.

— No i jaki był rezultat tego małego podstępu? — spytałem.

— Właśnie panu mówię. Kiedy zaglądałam już do dolnej szuflady, weszła ta pokojówka, Bourne. Nieprzyjemna sytuacja. Naturalnie zamknęłam szufladę i podniosłam się, i zwróciłam jej uwagę na ślady kurzu na biurku. Ale nie podobało mi się jej zachowanie. Niby to pełne szacunku, ale w oczach kryły się takie nieprzyjemne ogniki. Jakaś pogarda, jeśli pan pojmuje, co chcę powiedzieć. Nigdy mi się ta dziewczyna specjalnie nie podobała. Owszem, dobra służąca, zawsze grzecznie mówi „proszę pani” i nie buntuje się przeciw noszeniu fartuszka i czepeczka (a zapewniam pana, że w dzisiejszych czasach nieraz to się zdarza), i potrafi bez żadnych skrupułów powiedzieć „państwa nie ma w domu”, gdy otwiera drzwi w zastępstwie Parkera, no i nie wydaje tych gardłowych dźwięków, co robi tyle innych pokojówek, kiedy podają do stołu... Zaraz, zaraz, co ja właściwie panu chciałam powiedzieć?

— Mówiła pani, że mimo jej wielu zalet nigdy pani nie lubiła tej dziewczyny.

— I nadal jej nie lubię. Jest co najmniej dziwna. Coś w niej jest innego niż w zwyczajnych pokojówkach. Jakaś za dobrze wychowana, to moje zdanie. Dzisiaj to trudno powiedzieć, kto jest panią, a kto służącą.

— No i co się potem stało?

— Nic. To znaczy zjawił się Roger. A ja przez cały czas myślałam, że poszedł na spacer. I zapytał: „Co się tu dzieje?”, a ja odpowiedziałam: „Nic, przyszedłam po numer «Puncha»”. I wzięłam „Puncha”, i wyszłam z gabinetu. Bourne została. Słyszałam, jak pyta Rogera, czy może z nim chwilę porozmawiać. Poszłam prosto do swego pokoju, żeby się położyć. Byłam zupełnie wytrącona z równowagi.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Pan to wszystko wyjaśni panu Poirotowi, dobrze? Głupstwa w istocie, zupełnie nic ważnego, ale skoro pan Poirot tak ostro stawia sprawę, żeby absolutnie nic, ale to nic nie ukrywać, zaraz sobie

o tym pomyślałam. Urszula Bourne mogła narobić jakichś fantastycznych plotek, ale pan wyjaśni całą sprawę, doktorze, prawda?

— I to wszystko? — spytałem. — Powiedziała mi pani wszystko?

— Taak... — odparła pani Ackroyd. — O tak! — dodała po sekundzie.

Zauważyłem jednak jej wahanie i dobrze wiedziałem, że coś jeszcze przede mną ukrywa. Prawdopodobnie jakieś nagłe olśnienie kazało mi zapytać:

— Proszę pani, czy to pani zostawiła otwartą klapę srebrnego stołu?

Odpowiedź otrzymałem w postaci nagłego rumieńca, którego nie potrafiła ukryć gruba warstwa pudru i szminki.

— Skąd pan to wie? — wyszeptała.

— A więc to pani?

— Tak, ja, bo wie pan, tam było parę rzeczy, takich srebrnych bibelotów, bardzo interesujących. Właśnie czytałam o takich rzeczach i zobaczyłam fotografię jednej srebrnej ozdóbki, za którą zapłacono olbrzymią sumę na licytacji u Christie's. Wydawało mi się, że to zupełnie taka sama rzecz jak ta w srebrnym stole. Pomyślałam sobie, że zabiorę ją do Londynu, jak będę jechała, i poproszę, żeby ocenili. Jeśli to naprawdę takie wartościowe, niech pan sobie wyobrazi, jaka by to była miła niespodzianka dla Rogera.

Powstrzymałem się od uwag, przyjmując wersję pani Ackroyd. Nawet nie zapytałem, dlaczego koniecznie chciała otaczać całą sprawę taką tajemnicą.

— A dlaczego zostawiła pani blat podniesiony? — spytałem. — Zapomniała go pani opuścić?

— Zaskoczyły mnie kroki na tarasie. Szybko wyszłam z pokoju i właśnie wbiegłam na piętro, kiedy Parker otwierał panu drzwi, doktorze.

— To pewno była panna Russell — powiedziałem w zamyśleniu. Pani Ackroyd wyjawiała rzecz dla mnie bardzo ciekawą. Czy jej zakusy na srebra pana Ackroyda były uczciwe w założeniu, czy nie, nie wiedziałem i nie obchodziło mnie to wcale. Interesujący był fakt, że panna Russell weszła do salonu przez okno i rzeczywiście była zadyszana jak po biegu. Dokąd chodziła? Pomyślałem o pawiloniku i kawałku białej krochmalonej materii.

— Ciekaw jestem, czy panna Russell używa krochmalonych chustek? — wykrzyknąłem powodowany nagłą myślą.

Oprzytomniałem pod wpływem zdziwienia pani Ackroyd.

— Myśli pan, że będzie pan mógł wyjaśnić to wszystko temu Belgowi? — spytała niespokojnie.

— O, na pewno, bez wątpienia!

Wreszcie się wyrwałem, jednak dopiero po wysłuchaniu sporej porcji usprawiedliwień.

W hallu zastałem pokojówkę Bourne i ona właśnie pomogła mi włożyć płaszcz. Przyjrzałem się jej dokładniej niż kiedykolwiek przedtem. Na jej twarzy zauważyłem wyraźne ślady łez.

— Dlaczego pani nam powiedziała — spytałem — że to pan Ackroyd wezwał panią w piątek do swego gabinetu? Teraz się dowiaduję, że pani prosiła go o rozmowę.

Dziewczyna spuściła oczy.

— Tak czy inaczej, chciałam odejść — odparła wreszcie niepewnym głosem.

Nie odezwałem się więcej. Otworzyła drzwi. Gdy już wychodziłem, powiedziała cicho:

— Przepraszam pana bardzo, czy są jakieś wiadomości o kapitanie Patonie?

Potrząsnąłem przecząco głową i spojrzałem na nią zdziwiony.

— Powinien wrócić — odezwała się. — To jedyne wyjście. Powinien wrócić! — Patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem. — Czy nikt nie wie, gdzie on się ukrywa?

— A pani nie wie? — spytałem ostro. Potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Nie wiem nic. Ale każdy, kto jest jego przyjacielem, powinien mu powiedzieć: „Trzeba wrócić!”.

Ociągałem się z odejściem, licząc, że dziewczyna jeszcze coś powie. Jej następne pytanie zdumiało mnie nawet bardziej:

— O której zamordowano pana Ackroyda? Co myśli policja? Tuż przed dziesiątą?

— Taka jest opinia — odparłem. — Między za kwadrans dziesiąta i dziesiątą.

— Nie wcześniej?

Przyglądałem się jej z uwagą. Widać było wyraźnie, że chciałaby usłyszeć odpowiedź twierdzącą.

— To wykluczone — odparłem. — Panna Ackroyd widziała się ze stryjem za kwadrans dziesiątą.

Pokojówka odwróciła się i cała jej sylwetka jakby zmaląa.

Przystojna dziewczyna — pomyślałem, wsiadając do auta i odjeżdżając. — Nadzwyczaj przystojna!

Karolina była w domu. Miała przedtem wizytę Poirota i to ją wprawiło w doskonały humor. Czują się niesłychanie dumna.

— Pomagam mu — wyjaśniła.

Czułem się trochę nieswojo. Z Karoliną i tak jest wiele kłopotów. Cóż będzie teraz, kiedy jej detektywistyczne poczynania otrzymały oficjalną zachętę?

— I chodzisz po okolicy, węsząc za tajemniczą dziewczyną Ralfa Patona? — spytałem.

— Może i zajmę się tym na własny rachunek — odparła. — Obecnie mam jednak specjalne zadanie od pana Poirota.

— Cóż takiego? — spytałem.

— Pan Poirot chce wiedzieć, czy Ralf Paton miał buty czarne czy brązowe — wyjaśniła Karolina wielce uroczyście.

Patrzyłem tępo na Karolinę. Dziś dopiero widzę, jaki wtedy byłem mało domyślny. Zupełnie nie mogłem pojąć, co to ma za znaczenie.

— Brązowe — odpowiedziałem. — Widziałem je.

— Nie półbuty, James, chodzi o buty. Pan Poirot chce wiedzieć, czy buty, które Ralf Paton miał ze sobą w gospodzie, były brązowe czy czarne.

Niech mnie nazwą tumanem, ale nic nie mogłem zrozumieć.

— No i jak ty zamierzasz się tego dowiedzieć? — spytałem.

Karolina odparła, że nie widzi żadnych trudności. Najlepszą przyjaciółką naszej służącej Annie była pokojówka panny Ganett, Klara. A Klara chodziła z czyścibutem, który pracował w gospodzie Pod Trzema Dzikami. Cała rzecz była niesłychanie prosta i przy pomocy panny Ganett, która lojalnie zaofiarowała współpracę, natychmiast udzielając Klarze urlopu, spodziewać się należało błyskawicznych rezultatów.

Kiedy siadaliśmy do obiadu, Karolina odezwała się z pozorną obojętnością:

— Więc jeśli chodzi o te buty Ralfa Patona...

— No to co?

— Pan Poirot myślał, że były brązowe. Ale się mylił. Były czarne.

I Karolina pokiwała głową. Najwidoczniej uważała, że osiągnęła w tej sprawie przewagę nad Poirotem.

Nic nie odpowiedziałem. Było zaskakujące, co wspólnego mógł mieć kolor butów Ralfa Patona z zagadką śmierci Rogera Ackroyda.

Rozdział piętnasty

Geoffrey Raymond

Tego dnia otrzymałem jeszcze jeden dowód, jak świetne rezultaty przynosi metoda Poirota. Jego wyzwanie rzucone zebranych wokół stołu mieszkańcom Fernly świadczyło o głębokiej znajomości natury ludzkiej. Poczucie winy i strach wycisnęły prawdę z pani Ackroyd. Ona zareagowała pierwsza.

Po południu, kiedy wróciłem z obchodu pacjentów, Karolina powiedziała mi, że właśnie przed chwilą wyszedł Geoffrey Raymond.

— Chciał się ze mną widzieć? — spytałem, wieszając w hallu płaszcz.

Karolina omal na mnie nie wpadła z podniecenia.

— Chciał się widzieć z panem Poirotem — powiedziała. — Był najpierw w Modrzewiowym Dworku. Nie zastał pana Poirota i pomyślał, że może jest on u nas albo że ty wiesz, gdzie go szukać.

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Prosiłam, żeby zaczekał — ciągnęła Karolina — ale on powiedział, że za pół godziny jeszcze raz wpadnie do Modrzewiowego Dworku, i poszedł coś załatwić. Wielka szkoda, ponieważ w minutę po jego wyjściu wrócił pan Poirot.

— Przyszedł tutaj?

— Nie, wrócił do siebie.

— Skąd ty to wiesz?

— Boczne okno — odparła krótko Karolina. Wydawało mi się, że wyczerpaliśmy już ten temat. Jednakże Karolina tak nie uważała:

— Nie pójdziesz do niego?

— Do kogo?

— Do pana Poirota, rzecz jasna!

— Możesz mi powiedzieć po co, moja droga?

— Pan Raymond koniecznie chciał się z nim widzieć. Może dowiesz się, o co mu chodzi.

Zmarszczyłem brwi.

— Ciekawość nie jest moim grzechem głównym — zauważyłem chłodno. — Mogę żyć zupełnie spokojnie, nie mając pojęcia, co robią i myślą moi sąsiedzi.

— Bzdura! — powiedziała Karolina. — Jesteś równie ciekawy jak i ja. Tylko twoje zakłamanie nie pozwala ci się do tego przyznać. Ja jestem szczerą, a ty zawsze udajesz.

— Karolino, co ty pleciesz! — obróciłem się na pięcie i poszedłem do swego gabinetu.

Po dziesięciu minutach do drzwi zapukała Karolina. W rękę trzymała słoik z konfiturami.

— Czy byłbyś łaskaw, James, zanieść tę głogową galaretkę panu Poirotowi? Obiecałam, że mu przyślę. On jeszcze nigdy nie miał w ustach głogowej galaretki domowej roboty.

— Dlaczego nie może zanieść Annie? — spytałem chłodno.

— Zajęta jest cerowaniem. Nie mogę jej od tego odrywać. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

— Dobrze — odparłem, wstając. — Ale zapowiadam ci, że zostawię to świństwo na progu. Zgadzasz się?

Karolina zrobiła zdziwioną minę:

— Oczywiście! Czy ja ci proponuję, żebyś szedł z wizytą? Jeden zero dla Karoliny.

— A gdybyś przypadkiem zobaczył pana Poirota — powiedziała, gdy wychodziłem z domu — to wspomnij mu o tych butach.

Był to subtelny cios. Rozpaczliwie chciałem zrozumieć sprawę tych butów. Kiedy stara kobieta w bretońskim czepku otworzyła mi drzwi, zupełnie bezwiednie spytałem, czy pan Poirot jest w domu.

Niespodziewanie pojawił się Poirot i bardzo serdecznie zaczął mnie zapraszać.

— Proszę siadać, drogi przyjacielu — powiedział, gdy znalazłem się w pokoju. — W tym wielkim fotelu może? Czy w tym małym? Pokój jest za gorący, nie?

Uważałem, że gorąco aż zatyka, ale się do tego nie przyznałem. Okna były zamknięte, a na kominku palił się wielki ogień.

— Anglicy cierpią na manię powietrza — oświadczył Poirot. — Świeże powietrze to bardzo dobra rzecz, ale na dworze. Ono tam jest na miejscu. Po co je wpuszczać do domu? Ale nie rozmawiajmy o takich głupstwach! Pan coś ma dla mnie, tak?

— Dwie rzeczy — powiedziałem. — Pierwsza od mojej siostry. — Wręczyłem mu słoik z głogową galaretką.

— Jakże to uprzejmie ze strony panny Karoliny! Pamiętała o swojej obietnicy! A druga rzecz?

— Informacja w swoim rodzaju. — I powtórzyłem mu rozmowę z panią Ackroyd. Poirot słuchał z zainteresowaniem, ale nie okazał specjalnego podniecenia.

— To wyjaśnia parę rzeczy — mruknął. — I ma wartość jako potwierdzenie tego, co mówiła gospodyni. Ona powiedziała, jak pan pamięta, że przechodząc przez salon zobaczyła srebrny stół otwarty i zamknęła go.

— No, ale jak w tym świetle wygląda jej zeznanie, że weszła do saloniku, by sprawdzić, czy kwiaty są jeszcze świeże?

— A! Nigdy tego poważnie nie traktowałem ani pan też, prawda, przyjacielu? To najwidoczniej była wymówka wymyślona na poczekaniu przez kobietę, której bardzo zależało na tym, żeby jakoś usprawiedliwić swoją obecność w salonie. Skoro już o tym mówimy, to panu by nawet przez głowę nie przeszło tego kwestionować, tak? Myślałem, że była podniecona, bo majstrowała koło srebrnego stołu, ale teraz widzę, że musimy szukać innej przyczyny.

— Słusznie — odparłem. — Z kim ona się mogła spotykać? I w jakim celu?

— Pan sądzi, że wychodziła na spotkanie?

— Tak.

Poirot skinął głową.

— Ja też tak uważam — powiedział w zamyśleniu. Na chwilę zamilkliśmy.

— Aha, i przy okazji — dodałem — mam dla pana jeszcze jedną wiadomość, od mojej siostry. Buty Ralfa Patona były czarne, a nie brązowe. — Pilnie przypatrywałem się Poirotowi, przekazując mu tę nowinę, i wydawało mi się, że przez jego twarz przemknęła chmurka niezadowolenia. Ale jeśli nawet tak było, zniknęła bardzo szybko.

— Czy panna Karolina jest zupełnie pewna, że czarne?

— Zupełnie.

— Trudno! — powiedział Poirot głosem pełnym zawodu. — To rzeczywiście przykre. — Wydawał mi się w tej chwili strasznie zmartwiony.

Nie udzielił jednak żadnego wyjaśnienia, lecz natychmiast podjął nowy temat:

— Ta gospodyni, panna Russell, która przyszła do pana po poradę w piątek rano! O nią mi chodzi. Czy zadaję niedyskretne pytanie, prosząc, by mi pan streścił przebieg tej wizyty, omijając naturalnie szczegóły natury lekarskiej?

— Ależ nie, proszę bardzo — odparłem. — Kiedy jej udzieliłem porady, rozmawialiśmy przez

kilka minut o truciznach i możliwości lub niemożliwości ich wykrycia, a także o narkomanach i narkomanii.

— Czy ze specjalnym uwzględnieniem kokainy?

— Skąd pan to wie? — spytałem nieco zdziwiony. Zamiast odpowiedzi Poirot wstał i poszedł w róg pokoju, gdzie na stoliku leżały stare gazety. Przyniósł numer „Daily Budget” z piątku 16 września i pokazał mi artykuł o przemyśle kokainy. Był to ponury artykuł, napisany z chęcią wzbudzenia sensacji.

— Właśnie to naprowadziło jej myśli na kokainę, przyjacielu — wyjaśnił.

Byłbym może ciągnął Poirota dalej za język, gdyż niezbyt dobrze rozumiałem cel jego pytań o rozmowę z panną Russell, ale otworzyły się drzwi i gospodyni zaanonsowała przybycie Geoffreya Raymonda. Wszedł do pokoju beztrouski i elegancki jak zwykle.

— Jak się pan ma, doktorze? Dzień dobry, panie Poirot — powitał nas. — Przychodzę do pana już po raz drugi. Bardzo chciałem się z panem zobaczyć.

— Może ja już pójdę? — powiedziałem niezręcznie.

— Ależ nie z mojego powodu, doktorze, nie! To żadna taka sprawa — ciągnął Raymond, siadając zapraszany gestem przez Poirota. — Muszę uczynić pewne wyznanie.

— *En verite?** — spytał Poirot z wyrazem grzecznego zainteresowania.

— Tak. To zresztą nic ważnego, zupełnie nic. Ale mimo to sumienie gryzie mnie od wczoraj po południu. Pan nas wszystkich oskarżył, panie Poirot, o ukrywanie czegoś. Przyznaję się do winy. Coś ukryłem.

— Cóż takiego, panie Geoffrey? — spytał Poirot.

— Jak już powiedziałem, to zupełnie nic ważnego. Mianowicie byłem w długach. No i ten zapis pana Ackroyda przyszedł akurat w odpowiednim czasie. Pięćset funtów stawia mnie na nogi i jeszcze coś niecoś zostanie. — Raymond uśmiechnął się do nas obu z tą bezpośrednią szczerością, która zdobywała mu powszechną sympatię. — Wiedzą panowie, jak to jest! Podejrzliwy policjant, niechęć do przyznawania się do długów i tak dalej. To by im się wydało podejrzane. Tak, w istocie, byłem niemądry. Przecież od za kwadrans dziesiąta aż do wezwania przez Parkera przebywałem z Bluntem w pokoju bilardowym, mam więc niewzruszone alibi i nie potrzebuję się niczego obawiać. Ale kiedy pan tak nakrzyczał na nas, że ukrywamy różne fakty, sumienie mnie ukłuło i pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli pozbędę się ciężaru. — Raymond wstał i z uśmiechem obrócił się w naszym kierunku.

— Jest pan bardzo rozsądnym człowiekiem — odparł Poirot, kiwając z uznaniem głową. — Bo wie pan, to zawsze tak jest, że jeśli ktoś coś przede mną ukrywa, wydaje mi się, że ukrywa straszną rzecz. Zrobił pan bardzo dobrze!

— Jestem szczęśliwy, że oczyściłem się z podejrzeń — roześmiał się Raymond. — No, muszę już

iść.

— A więc o to mu chodziło — zauważyłem, kiedy za młodym sekretarzem zamknęły się drzwi.

— Tak — zgodził się Poirot. — Zupełne głupstwo. Ale gdyby nie był wtedy w pokoju bilardowym, to kto wie? Trzeba pamiętać, że wiele zbrodni dokonano dla kwot mniejszych niż pięćset funtów. Wszystko zależy od tego, jaka suma potrafi złamać człowieka. Problem względności, tylko to! Czy zastanawiał się pan kiedy, przyjacielu, że bardzo wiele osób w Fernly Park skorzystało na śmierci pana Ackroyda? Pani Ackroyd, panna Flora, młody Raymond, gospodyni — panna Russell. Tylko jeden nic nie skorzystał. Major Blunt.

Wymienił to ostatnie nazwisko tak dziwnym tonem, że spojrzałem zdumiony.

— Niezupełnie pana rozumiem — odezwałem się.

— Dwie osoby z podejrzanych przyszły do mnie i wyznały prawdę.

— Czy pan sądzi, że major Blunt również coś ukrywa?

— Macie takie przysłowie — odparł niedbale Poirot — że Anglik ukrywa tylko jedną rzecz: miłość. A major Blunt, gdy o tym mowa, niewiele potrafi ukryć.

— Chwilami myślę — powiedziałem — czy przypadkiem nie wyciągnęliśmy raczej pochopnych wniosków w jednej przynajmniej sprawie.

— Mianowicie?

— Założyliśmy, że szantażysta, który prześladował panią Ferrars, jest równocześnie mordercą Rogera Ackroyda. A może się mylimy?

Poirot energicznie pokiwał głową.

— Słusznie, słusznie. Zastanawiałem się, czy panu to przyjdzie na myśl. Naturalnie, że to możliwe. Ale musimy pamiętać o jednym: list zginął! Jednakże to, jak pan słusznie mówi, wcale nie musi oznaczać, że zabrał go morderca. Kiedy pan po raz pierwszy wszedł do gabinetu zamordowanego, Parker mógł przez pana niezauważony zabrać list.

— Parker?

— Tak, Parker. Zawsze powracam do osoby Parkera. Naturalnie nie myślę o nim jako o mordercy. Nie, on tego z pewnością nie zrobił. Ale ktoś bardziej pasuje do roli tajemniczego szantażysty terroryzującego panią Ferrars? Mógł zdobyć wiadomości o tajemniczych okolicznościach śmierci pana Ferrarsa od służby w King's Paddock. W każdym razie do jego uszu wiadomości te łatwiej mogły trafić niż do uszu takiego rzadkiego gościa, jakim jest na przykład major Blunt.

— Tak, Parker mógł zabrać list — przyznałem. — Dopiero znacznie później zauważyłem, że list zniknął.

— O ile później? — spytał Poirot. — Kiedy do pokoju weszli Raymond i Blunt czy jeszcze przedtem?

— Dokładnie nie pamiętam — odparłem wolno. — Myślę, że przedtem, nie, potem. Tak, jestem nieomal pewny, że potem!

— To rozszerza krąg podejrzanych do trzech osób — powiedział w zamyśleniu Poirot. — Ale najprawdopodobniejszy jest Parker. Mam ochotę na pewien eksperyment z Parkerem. Co pan powie na to, przyjacielu, by towarzyszyć mi do Fernly?

Zgodziłem się i natychmiast wyruszyliśmy. Poirot poprosił o zawiadomienie panny Ackroyd, że chciałby z nią mówić. Po chwili Flora zeszła do nas.

— *Mademoiselle* Flora — zaczął Poirot — muszę powierzyć pani pewien sekret. Jeszcze nie jestem zupełnie pewien niewinności Parkera. Pragnąłbym z pani pomocą przeprowadzić pewien eksperyment. Chcę odtworzyć jego zachowanie w dniu morderstwa. Ale musimy mu przedtem coś powiedzieć, ach, już mam! Pragnę się przekonać, czy głosy z tego małego hallu mogły być słyszalne na tarasie. Proszę zadzwonić na Parkera, jeśli pan taki dobry, doktorze.

Wykonałem jego prośbę i wkrótce zjawił się lokaj, uprzejmy jak zwykle.

— Pan dzwonił, proszę pana?

— Tak, mój dobry człowieku. Mam zamiar przeprowadzić pewien eksperyment. Na tarasie za oknami gabinetu pozostawiłem majora Blunta. Chcę sprawdzić, czy tam będzie słyhać wasz głos i głos panny Ackroyd z przedpokoju, gdzie panna Ackroyd i ty znajdowaliście się owego wieczoru. Chcę zobaczyć całą tę wieczorną scenę. Weź tacę czy co innego, co miałeś wtedy w ręku.

Parker zniknął, a my udaliśmy się do przedpokoju prowadzącego do gabinetu. Po chwili usłyszeliśmy brzęczenie szkła w hallu i ukazał się Parker, niosąc tackę, na niej syfon, karafkę whisky i dwie szklanki.

— Chwileczkę! — zawołał Poirot, podnosząc rękę. Sprawiał wrażenie podnieconego. — Musimy zrobić wszystko tak, jak było owego wieczoru. Mam taką swoją metodę!

— Zagraniczny zwyczaj, proszę pana — odezwał się Parker. — Nazywają to rekonstrukcją zbrodni, prawda? — Parker wydawał się mało przejęty całą sprawą. Stał grzecznie i czekał na dalsze polecenie Poirota.

— Aa! Widzę, że Parker się na tym zna! — wykrzyknął Poirot. — Czytał o takich rzeczach. Teraz proszę bardzo, niech wszystko będzie dokładnie tak samo, jak było wtedy. Wchodzisz z głównego hallu, prawda? A pani, *mademoiselle* Flora, pani gdzie była wtedy?

— Tutaj — powiedziała Flora, zajmując miejsce tuż przy drzwiach gabinetu.

— Tak jest, proszę pana, tak właśnie było — odezwał się Parker.

— Właśnie zamknęłam drzwi — ciągnęła Flora.

— Tak, proszę panienki — zgodził się Parker. — Pani dłoń była jeszcze na klamce, tak jak teraz.

— A więc, *allez**! — rozkazał Poirot. — Odegrajcie tę małą scenę.

Flora stała z ręką na klamce, Parker wszedł przez drzwi z hallu, niosąc tacę. Stał tuż za progiem. Flora powiedziała:

— „O, Parker! Pan Ackroyd prosi, by mu dziś nikt już więcej nie przeszkadzał”. Tak powiedziałam? — spytała ciszej.

— Jeśli sobie dobrze przypominam, to tak było, proszę panienki — odezwał się Parker. — Tylko wydaje mi się, że zamiast „dziś” powiedziała panienka „dziś wieczorem”. — Potem tonem nieco teatralnym Parker wyrzucił z siebie: — „Bardzo dobrze, proszę panienki. Czy mam pozamykać wszystko jak zwykle?”

— „Tak, proszę”.

Parker wycofał się do hallu, Flora poszła jego śladem i zaczęła wchodzić schodami na górę.

— Czy to już wystarczy? — spytała przez ramię.

— Wspaniale! — wykrzyknął Poirot, zacierając ręce. — A, przy okazji, Parker, mój dobry człowieku, czy jesteś pewien, że na tacy miałeś wtedy dwie szklanki? Dla kogo była ta druga?

— Zawsze przynoszę dwie szklanki, proszę pana. Czy pan jeszcze coś sobie życzy?

— Nie, dziękuję.

Parker opuścił hali, nie tracąc nic ze swojej godności. Poirot stał w przedpokoju i marszczył brwi. Flora zeszła na dół i zbliżyła się do nas.

— Czy pański eksperyment dał jakieś rezultaty? — spytała. — Bo wie pan, ja niezupełnie rozumiem...

— Nie musi pani rozumieć. — Poirot uśmiechnął się rozbrajająco. — Ale niech mi pani powie, czy naprawdę owego wieczoru były dwie szklanki na tacy, którą niósł Parker?

Flora stała przez chwilę ze zmarszczonym czołem.

— Nie mogę sobie dobrze przypomnieć — powiedziała. — Chyba tak. Czy po to pan zrobił ten cały eksperyment?

Poirot ujął jej dłoń i poklepał ją.

— Powiedzmy to inaczej: lubię sprawdzać, czy ludzie mówią mi prawdę.

— I Parker mówił panu prawdę?

— Chyba tak — odparł Poirot z namysłem.

Po paru minutach byliśmy już na drodze do miasteczka.

— Jaki cel miało to pytanie o szklanki? — byłem ciekawy. Poirot wzruszył ramionami.

— Czasem trzeba coś powiedzieć, ot, byle co. To pytanie było równie dobre jak inne.

Spojrzałem zdziwiony.

— W każdym razie, mój przyjacielu — ciągnął już poważniej — dowiedziałem się czegoś, czego chciałem się dowiedzieć. Zostańmy przy tym.

Rozdział szesnasty

Wieczór przy madżongu

Tego wieczoru graliśmy w madżonga. Ta prosta rozrywka jest bardzo popularna w King's Abbot. Goście przychodzą już po kolacji, w kaloszach i nieprzemakalnych płaszczach, potem piją kawę, jedzą kanapki i ciasto.

Tym razem przyszli do nas panna Ganett i pułkownik Carter, który mieszka niedaleko kościoła.

W czasie takich spotkań wymienia się sporo plotek i to czasem przeszkadza w grze. Przedtem urządzaliśmy brydża — gadanego brydża najgorszego gatunku. Jednakże doszliśmy do wniosku, że madżong jest grą znacznie spokojniejszą. Nikt się nie irytuje na partnera, że wyszedł w taką, a nie inną kartę, i chociaż w dalszym ciągu krytykuje się otwarcie posunięcia przeciwnika, nie psuje nastroju owa przykra brydżowa zaciętość.

— Zimny wieczór, prawda, doktorze Sheppard? — powiedział pułkownik Carter, stając plecami do kominka. (Karolina zaprowadziła pannę Ganett do swojej sypialni, gdzie jej pomagała rozwinąć się z rozmaitych szali i płaszczy).

— Zupełnie przypomina służbę na Przesmyku Afgańskim.

— Naprawdę? — spytałem grzecznie.

— Bardzo tajemnicza sprawa z biednym Ackroydem — ciągnął pułkownik, przyjmując z moich rąk filiżankę kawy. — Tak, bardzo tajemnicza, ja panu to mówię. Słyszałem o szantażu. — Spojrzał na mnie porozumiewawczo, jak jeden światowy mężczyzna na drugiego. — Bez wątpienia jest w to zamieszana kobieta. Tak, ja panu to mówię, kryje się za tym kobieta!

Karolina i panna Ganett zeszły na dół. Potem panna Ganett zajęła się kawą, a Karolina wyciągnęła pudło z madżongiem i wysypała na stół kamienie.

— Mycie kamieni! — W zamyśle pułkownika Cartera miał to być dowcip. — Mycie kamieni, tak to nazywaliśmy w Klubie Szanghajskim.

Zarówno ja, jak i Karolina byliśmy w głębi duszy przekonani, że pułkownik Carter w życiu nie postawił nogi w Klubie Szanghajskim. Co więcej, że nigdy nie wytknął nosa dalej na wschód poza garnizon w Indiach, gdzie manipulował wojskowymi zapasami konserw mięsnych i śliwkową marmoladą w czasie wielkiej wojny. Ale pułkownik bardzo lubi snuć żołnierskie wspomnienia, a my, skromni ludzie w King's Abbot, pozwalamy każdemu pławić się dowolnie w jego słabościach.

— Zaczynamy? — spytała Karolina.

Usiedliśmy przy stole. Przez kilka minut panowała zupełna cisza, którą zawdzięczać należy tajonej zawziętości, z jaką każdy starał się pierwszy zbudować swój mur.

— No, James, prosimy! — odezwała się wreszcie Karolina.

— Jesteś Wschodnim Wiatrem.

Wyłożyłem kamień. Minęło parę kolejek, przerywanych tylko monotonnymi uwagami w rodzaju: „trzy bambusy”, „dwa kółka”, „biorę” i częste „oddaję” panny Ganett, mającej nieszczęsny zwyczaj zbyt pośpiesznego zabierania kamieni, do których w istocie prawa nie miała żadnego.

— Widziałam się dzisiaj z Florą Ackroyd — oznajmiła panna Ganett. — Biorę, nie, oddaję. Omyliłam się.

— Cztery kółka — powiedziała Karolina. — Gdzieś się z nią widziała?

— Ona mnie nie zauważyła — odparła panna Ganett, kładąc wielki nacisk na słowo „mnie”, gdyż sprawy takie są niesłychanie ważne w małych zbiorowiskach ludzkich, jakim jest nasze King’s Abbot.

— Aa, rozumiem — powiedziała Karolina. — Cza!

— Słyszałam — zauważyła panna Ganett — że obecnie mówi się „czy”, a nie „czao”.

— Bzdura! — orzekła Karolina. — Zawsze mówiłam „czao”.

— W Klubie Szanghajskim mówią „czao” — stwierdził pułkownik Carter i panna Ganett wycofała się zdruzgotana.

— Więc coś ty mówiła o Florze Ackroyd? — spytała Karolina po kilku chwilach poświęconych grze. — Była z kimś?

— O tak! — uradowała się panna Ganett. Wzrok obu pań spotkał się. To wystarczyło.

— Naprawdę? — zdziwiła się Karolina. — Czy być może? Właściwie to mnie wcale nie dziwi.

— Czekamy na panią, panno Karolino — przemówił pułkownik.

Przyjmuje czasem ową pozę zblazowanego mężczyzny, którego nie obchodzą żadne plotki i który zajęty jest wyłącznie grą. Ale to nikogo nie potrafi oszukać.

— Gdyby mnie kto pytał... — zaczęła panna Ganett. — Oo! Czyś ty wyłożyła bambus, moja droga? Oo, nie? Teraz już widzę, koło! Więc jak mówiłam, gdyby mnie ktoś pytał, tobym powiedziała, że Flora ma nadzwyczajne szczęście. Po prostu fenomenalne!

— Na czymże to pani opiera, panno Ganett? — spytał pułkownik. — Co? Zielony smok? Biorę! Na czym pani opiera to twierdzenie? Owszem, bardzo sympatyczna dziewczyna i w ogóle, owszem,

owszem.

— Może i wiem bardzo mało o zbrodniach — powiedziała panna Ganett tonem, który jasno dawał do zrozumienia, że panna Ganett wie wszystko o wszystkim — ale powiem wam jedno: pierwsze pytanie, jakie się zawsze zadaje, to kto widział zamordowanego ostatni. No i taka osoba jest zawsze traktowana z pewną podejrzliwością. W tym wypadku panna Ackroyd ostatnia widziała swego stryja żywego. To mogłoby wyglądać dla niej bardzo źle, o tak, zupełnie źle! Moim zdaniem (jeśli jest ono dla was cokolwiek warte) Ralf Paton ukrywa się właśnie po to, żeby ją ochronić. Żeby od niej odciągnąć podejrzenie.

— Ależ, panno Ganett — zaprotestowałem słabo — chyba pani poważnie nie sugeruje, że taka młoda dziewczyna jak Flora Ackroyd byłaby zdolna z zimną krwią zakłuć nożem swego stryja?

— A bo ja wiem — odparła panna Ganett. — Niedawno czytałam pożyczoną z biblioteki książkę o mętach Paryża i w tej książce było napisane, że najgorszymi przestępczyniami i zbrodniarkami są młode dziewczyny o anielskich twarzach.

— Może we Francji! — parsknęła Karolina.

— W istocie — stwierdził pułkownik. — Opowiem wam bardzo ciekawą historię. Historię, która krążyła po bazarach hinduskich...

Opowieść pułkownika była niesłychanie długa i zadziwiająco nudna. Wypadek, który zdarzył się w Indiach wiele lat temu, trudno było nawet przez sekundę porównywać z piątkowym zdarzeniem w King's Abbot.

Wreszcie Karolina przyśpieszyła zakończenie tej opowieści, szczęśliwie zdobywając madżonga. Po drobnych nieporozumieniach, wynikających zwykle, gdy poprawiałem nieco błędne obliczanie punktów przez Karolinę, rozpoczęliśmy nową turę.

— Wschodni Wiatr zaczyna — powiedziała Karolina. — Mam własną teorię co do Ralfa Patona. Trzy znaki. Ale chwilowo zachowam ją dla siebie.

— Naprawdę masz swoją teorię, kochana? — zdziwiła się panna Ganett. — Czo, przepraszam, chciałam powiedzieć: biore.

— Tak — odparła zdecydowanie Karolina.

— W porządku wyszło z tymi butami? — spytała panna Ganett. — To znaczy, czy w porządku, że były czarne?

— Zupełnie w porządku — odparła Karolina.

— A o co mu chodziło, jak myślisz? — drążyła temat panna Ganett.

Karolina ściągnęła usta i potrząsnęła głową, dając do zrozumienia, że wie, ale nie powie.

— Biorę — oświadczyła panna Ganett. — Nie, przepraszam, oddaję. Przypuszczam, że doktor zna teraz wszystkie tajemnice, od kiedy chodzi razem z panem Poirotem.

— O, wprost odwrotnie, nic nie wiem — odparłem.

— James jest strasznie skromny — zarekomendowała mnie Karolina. — Aa! Ukryty kong!

Pułkownik pozwolił sobie gwizdnąć. Na chwilę plotki poszły w kąć.

— I pani własny wiatr. I ma pani dwie serie smoków! Musimy uważać. Panna Karolina idzie na wielką grę.

Parę minut graliśmy, nie rozmawiając o niczym ważnym.

— Ten pan Poirot — zaczął pułkownik — czy to naprawdę taki wspaniały detektyw?

— Największy na świecie! — odrzekła uroczyście Karolina. — Przybył tu incognito, aby uniknąć natarczywości wielbicieli.

— Cza — rzuciła panna Ganett. — Co za wspaniała rzecz dla naszego miasteczka. O, przy okazji: Klara, moja służąca, jest, jak wiecie, wielką przyjaciółką Elsie, pokojówki w Fernly. Na pewno nie zgadniecie, co Elsie jej powiedziała!

Podobno zginęła duża suma pieniędzy i w jej opinii, to znaczy Elsie, zamieszana jest w to druga pokojówka, Urszula Bourne. Odchodzi pod koniec miesiąca i nocami bardzo płacze. Gdyby mnie kto pytał, to ta dziewczyna należy do bandy! Zawsze była jakaś dziwna, nie przyjaźni się z nikim w okolicy. Jak ma wolne dni, to gdzieś znika. To nienormalne, rzekłabym: podejrzane. Raz ją prosiłam na piątkowe zebranie Bogobojnych Dziewcząt, ale mi odmówiła, potem kiedyś zadałam jej kilka pytań o rodzinę i tym podobne, i muszę powiedzieć, że zachowała się zupełnie impertynencko. Pozornie bardzo grzeczna, o tak, ale nie chciała na nic odpowiedzieć! Skandal!

Panna Ganett przerwała dla nabrania oddechu i pułkownik, którego nie interesowały zupełnie problemy służących i pokojówek, oznajmił, że w Klubie Szanghajskim zasadą była wartka gra.

Przez parę minut graliśmy wartko.

— Ta panna Russell — zaczęła Karolina — przyszła tutaj w piątek rano, udając, że potrzebuje porady Jamesa. Moim zdaniem chciała spenetrować, gdzie znajdują się trucizny. Pięć znaków.

— Cza — uradowała się panna Ganett. — Co za nadzwyczajna rzecz! Ciekawa jestem, czy masz rację.

— Skoro mówimy o truciznach — wtrącił pułkownik. — Co, co? Nie wyłożyłem nic? Oo! Osiem bambusów.

— Madżong! — wykrzyknęła triumfalnie panna Ganett. Karolina była poirytowana.

— Jeden czerwony smok — powiedziała z żalem — a powinnam była mieć trzy pary.

— Ja miałem przez cały czas dwa czerwone smoki — przyznałem się.

— Tak, to do ciebie podobne — powiedziała Karolina z wyrzutem. — Nie rozumiesz ducha gry.

Osobiście uważałem, że gram bardzo sprytnie. Gdyby Karolina wygrała turę, byłbym jej winien bardzo dużo. Madżong panny Ganett należał do najsłabszych, jakie można sobie wyobrazić, czego Karolina nie omieszkała jej wypomnieć.

Skończył się Wschodni Wiatr i zaczęliśmy nową turę.

— Więc słuchajcie, co wam powiem — oświadczyła po chwili Karolina.

— No, no? — podnieciła się panna Ganett.

— Mam następującą teorię co do Ralfa Patona...

— Tak, kochana? — powiedziała panna Ganett jeszcze bardziej zachęcająco. — Czoa.

— Czoa? Tak od razu? To oznaka słabości — orzekła surowo Karolina. — Powinnaś iść na wielką grę.

— Wiem — bąknęła panna Ganett. — Więc co mówiłaś o Ralfie Patonie?

— Głowę daję, że wiem, gdzie on jest. Zdumieni przerwaliśmy na chwilę grę.

— To bardzo interesujące, panno Karolino — odezwał się pułkownik Carter. — Sama się pani domyśliła?

— No, niezupełnie. Zaraz wam powiem. Znacie tę wielką mapę hrabstwa, która wisi u nas w hallu?

Wszyscy odpowiedzieliśmy, że znamy.

— Kiedy wczoraj pan Poirot od nas wychodził, zatrzymał się koło mapy, spojrzał na nią i rzucił jakąś uwagę, dokładnie już sobie nie przypominam, jak ona brzmiała, w każdym razie, że Cranchester to jedyne większe miasto w okolicy, co jest prawdą. No i zaraz potem przyszło mi nagle do głowy...

— Co ci przyszło do głowy?

— Znaczenie tej uwagi. Naturalnie Ralf Paton ukrywa się w Cranchester.

W tym właśnie momencie zwałem mur moich kamieni. Karolina zganiła mnie za gapiostwo, uczyniła to jednak bez gniewu, gdyż zbyt pasjonowała ją obecnie teoria dotycząca Ralfa Patona.

— W Cranchester, panno Karolino? — spytał pułkownik. — Chyba nie ukrywałby się tak blisko?

— A właśnie że tak! — wykrzyknęła triumfalnie Karolina.

— Jest chyba zupełnie jasne, że nie wyjechał stąd pociągiem. Po prostu poszedł pieszo do Cranchester. I jestem pewna, że dotąd tam się znajduje. Bo komu by przyszło na myśl, że ukrywa się tak blisko?

Wysunąłem wiele zastrzeżeń przeciwko tej teorii, ale kiedy Karolina raz sobie wbije coś do głowy, nie można jej tego wyperswadować.

— I myślisz, że pan Poirot tak samo sądzi? — spytała panna Ganett w zamyśleniu. — Dziwny zbieg okoliczności, ale właśnie dziś po południu wyszłam na spacer na szosę cranchesterską i minął mnie Poirot jadący samochodem właśnie z Cranchester.

Spojrzeliliśmy po sobie.

— Boże, Boże! — powiedziała nagle panna Ganett. — Przez cały czas mam madzonga i nic nie widzę.

Uwaga Karoliny oderwała ją od detektywistycznych spekulacji. Moja siostra natychmiast zabrała się do tłumaczenia pannie Ganett, że nie warto ogłaszać madzonga, mając tak mieszane gatunki i tak wiele czao. Panna Ganett słuchała rozanielona i spokojnie zbierała swoje kamienie.

— Tak, tak, kochana, rozumiem, ale to przecież raczej zależy od tego, z czym się zaczyna, prawda?

— Nigdy dużo nie wygrasz, jeśli nie będziesz ryzykować — upierała się Karolina.

— Rozumiem, rozumiem, moja droga, ale widzisz, każdy gra, jak umie — broniła się panna Ganett. Spojrzała na swoje kamienie. — I przecież jestem w sumie wygrana, prawda?

Karolina, która wiele przegrała, nie odezwała się więcej.

Skończył się Wschodni Wiatr i rozpoczęliśmy nową turę. Annie przyniosła na tacy herbatę. Karolina i panna Ganett były obie nieco rozgorączkowane, jak to zawsze się zdarzało w owe uroczyste wieczory.

— Gdybyś tylko grała nieco szybciej, moja droga — powiedziała Karolina, kiedy panna Ganett wahała się, co odrzucić. — Chińczycy kładą swoje kamienie tak szybko, że wydaje się, że to ptaki dziobią.

Przez parę minut graliśmy jak Chińczycy.

— Pan nie dorzuci nic od siebie o tej sprawie, doktorze? — dobrodusznie odezwał się pułkownik Carter. — Cicha woda! Ręka w rękę z wielkim detektywem i ani mru-mru, jak tam posuwa się dochodzenie.

— James to nadzwyczajny typ — wtrąciła Karolina. — Nie potrafi się po prostu rozstać z tym, co wie.

Spojrzała na mnie z odcieniem niełaski.

— Zapewniam, że nic nie wiem — odparłem. — Poirot trzyma język za zębami.

— Mądry człowiek — zachichotał pułkownik. — Nie zdradza się. To wspaniałe okazy, ci kontynentalni detektywi. Zawsze mają różne sztuczki w pogotowiu, co?

— Biorę — brzęknęła panna Ganett z cichym zadowoleniem. — I madżong!

Sytuacja stała się dość napięta. Było wielką niedelikatnością ze strony panny Ganett trzy razy z rzędu zdobywać madżonga. Skłoniło to Karolinę do następującej uwagi pod moim adresem, gdy znowu wznosiliśmy mur:

— Jesteś męczący, James. Siedzisz tutaj jak zdechła ryba i wcale się nie odzywasz.

— Ależ, moja droga! — zaprotestowałem. — Nie mam nic do powiedzenia, to znaczy, nic do powiedzenia na temat, o który ci chodzi.

— Bzdura! — oświadczyła Karolina, układając swoje kamienie. — Musisz znać jakieś interesujące szczegóły.

Przez chwilę nic nie odpowiadałem. Ledwo wierzyłem oczom. Czytałem o takiej rzeczy jak doskonała wygrana, to znaczy madżong w pierwszym doborze kamieni, ale nie sądziłem, by mnie coś podobnego mogło się zdarzyć.

Ze źle ukrywanym triumfem wyłożyłem kamienie na stół.

— Jak to mówią w Klubie Szanghajskim — zauważyłem — tin–ho, doskonała wygrana.

Pułkownikowi omal oczy nie wyszły na wierzch.

— Na honor! — zawołał. — Co za nadzwyczajna rzecz! Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego!

Wtedy dopiero, sprowokowany docinkami Karoliny i upojony powodzeniem, zacząłem mówić:

— Jeżeli chodzi o interesujące szczegóły, to cóż powiedzielibyście o złotej obrączce z napisem „Od R.” i datą w środku?

Pominę scenę, która nastąpiła. Zmuszono mnie, bym dokładnie opisał, gdzie ów skarb znaleziono i jaka data widniała na obrączce.

— Trzynasty marca? — zdziwiła się Karolina. — Akurat sześć miesięcy temu, no, no!

Z miliona głupawych przypuszczeń wyłoniły się wreszcie trzy dojrzałe teorie:

1. Pułkownika Cartera: że Ralf w sekrecie poślubił Florę. Pierwsze i najprostsze rozwiązanie.

2. Panny Ganett: że Roger Ackroyd wziął w tajemnicy ślub z panią Ferrars.

3. Mojej siostry: że Roger Ackroyd ożenił się ze swą gospodynią, panną Russell.

Czwarta, superteoria, została wygłoszona przez Karolinę już później, gdy szliśmy spać.

— A ja ci mówię — odezwała się nagle — i wcale by mnie to nie zdziwiło, gdybym się dowiedziała, że to Flora Ackroyd i Geoffrey Raymond się pobrali.

— No, wtedy byłoby przecież „G”, a nie „R” — zaproponowałem.

— Nigdy nie wiadomo. Niektóre kobiety wolą nazwiska od imion. No i słyszałeś, co panna Ganett mówiła dziś wieczorem o zachowaniu się Flory?

Mówiąc szczerze, to nie słyszałem, aby panna Ganett o czymś podobnym mówiła, ale uszanowałem umiejętność Karoliny czytania między wierszami.

— A może Hektor Blunt? — podsunąłem. — Jeżeli to ktoś...

— Bzdura! — ucięła Karolina. — Owszem, on ją podziwia, może nawet jest w niej zakochany, ale zapamiętaj sobie, że żadna dziewczyna nie zakocha się w mężczyźnie, który by mógł być jej ojcem, gdy obok kręci się młody, przystojny sekretarz. Mogła najwyżej flirtować z majorem Bluntem, chcąc mieć parawan. O tak, młode dziewczyny są bardzo zmyślne. Ale powiem ci jedno, Jamesie Sheppard! Florę Ackroyd za grosz nie obchodzi Ralf Paton! I nigdy nie obchodził. Wierzaj mi!

Uwierzyłem jej bez słowa.

Rozdział siedemnasty

Parker

Następnego ranka uprzytomniłem sobie, że w upojeniu wywołanym przez tin–ho, czyli doskonałą wygraną, popełniłem, być może, niedyskrecję. To prawda, że Poirot nie zastrzegł, bym nikomu nie wspominał o znalezieniu obrączki, ale z drugiej strony on sam przemilczał to, będąc w Fernly, i jeśli się nie mylę, tylko ja poza nim wiedziałem o całej sprawie. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Historia znalezienia obrączki rozprzestrzeniała się teraz po całym King’s Abbot niby pożar stepu — co do tego nie miałem żadnych wątpliwości. W każdej chwili spodziewałem się wizyty Poirota i gorzkich uwag z jego strony.

Pogrzeb pani Ferrars i Rogera Ackroyda wyznaczony został na ten sam dzień o godzinie jedenastej. Była to smutna, lecz bardzo podniosła uroczystość, na którą przybyli wszyscy mieszkańcy Fernly.

Poirot również brał w niej udział. Po ceremonii ujął mnie pod ramię i zaprosił do Modrzewiowego Dworku. Twarz miał bardzo poważną i obawiałem się, że echa mojej wczorajszej paplaniny doszły już do jego uszu. Szybko się jednak zorientowałem, że detektyw jest zaprzątnięty zupełnie czym innym.

— Musimy działać — powiedział. — Chcę skorzystać z pańskiej pomocy przy badaniu pewnego świadka. Będziemy mu zadawać pytania i napędzimy takiego stracha, że prawda wyjdzie na wierzch.

— O jakim świadku pan mówi? — spytałem bardzo zdziwiony.

— O Parkerze! Prosiłem, żeby do mnie przyszedł o dwunastej. Prawdopodobnie już czeka.

— Domyśla się pan czegoś? — Spojrzałem z ukosa na Poirota.

— Wiem jedno: nie jestem zadowolony.

— Myśli pan, że to może on szantażował panią Ferrars? — Albo on, albo...

— Albo kto? — spytałem, czekając daremnie na koniec zdania.

— Mój przyjacielu, powiem panu jedno: mam głęboką nadzieję, że to on!

Powaga, z jaką Poirot wypowiedział te słowa, i jeszcze coś nieokreślonego, co je zabarwiało, zmusiły mnie do milczenia.

Przybyliśmy do Modrzewiowego Dworku i gospodyni poinformowała nas, że Parker już czeka. Gdy weszliśmy do pokoju, lokaj wstał z szacunkiem.

— Dzień dobry, Parker — przywitał go pogodnie Poirot. — Jedna chwileczka, zaraz, tylko się rozbiorę.

Ściągnął rękawiczki i płaszcz.

— Pan pozwoli, proszę pana! — Parker rzucił się, by mu pomóc. Ułożył płaszcz na krześle koło drzwi. Poirot przyglądał się temu z zadowoleniem.

— Dziękuję, Parker — zwrócił się do lokaja. — Siadaj. To, co mam do powiedzenia, może nam zająć sporo czasu.

Parker usiadł, schylając głowę, jakby chciał przeprosić za tę śmiałość.

— Jak sądzicie, Parker, po co cię tutaj poprosiłem? Parker chrząknął.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, proszę pana, pragnie pan zadać mi kilka pytań dotyczących mojego byłego pana. Intymnych pytań.

— *Precisement!* — odparł Poirot, promieniejąc. — Czy masz jakieś doświadczenie w sprawach szantażu?

— Nie rozumiem, proszę pana! — Lokaj zerwał się na równe nogi.

— Nie denerwuj się, Parker — powiedział Poirot. — I nie graj roli uczciwego, dotkniętego człowieka. Znasz się na szantażu, prawda? Wiesz na ten temat wszystko, co można wiedzieć, tak?

— Proszę pana, ja nigdy... ja nigdy nie...

— Byłem tak obrażany, co? — podsunął Poirot. — Wobec tego czemu, mój doskonały Parkerze, byłeś taki ciekawy rozmowy, jaka toczyła się w gabinecie owego wieczoru, kiedy usłyszałeś słowo „szantaż”?

— Nie byłem. Ja...

— Kto był waszym ostatnim panem? — rzucił nagle Poirot.

— Moim ostatnim panem?

— Tak, waszym panem przedtem, nim przyszedłeś na służbę do pana Ackroyda?

— Major Ellerby, proszę pana... Poirot przerwał:

— Właśnie, major Ellerby. Major Ellerby był narkomanem, prawda? Podróżowałeś z nim, tak? W czasie pobytu na Bermudach major Ellerby wpadł w kłopoty. Zabito człowieka. Częściowo winny był major Ellerby. Cała sprawa została zatuszowana. Ile ci major Ellerby zapłacił, Parker, żebyś nic nie mówił?

Parker otworzył usta i martwo wpatrywał się w Poirota. Drżał jak galareta, policzki mu się trzęsły.

— Widzisz, Parker, przeprowadziłem dochodzenie — powiedział z uśmiechem Poirot. — Jest tak, jak mówię. Wtedy dostałeś sporą sumę za milczenie. I major Ellerby płacił ci aż do śmierci. No, a teraz chcę coś usłyszeć o twoim ostatnim eksperymencie.

Parker nadal wpatrywał się w detektywa.

— Nie ma sensu zaprzeczać. Herkules Poirot wie! To prawda, co powiedziałem o majorze Ellerbym, tak?

Parker z ociąganiem skinął głową. Twarz jego miała barwę popiołu.

— Ale ja nigdy nie zrobiłem nic złego panu Ackroydowi, proszę pana! — wyjąkał. — Słowo honoru, proszę pana, naprawdę nie. Bałem się przez cały czas, że tamta sprawa wyjdzie na jaw. I mówię panu, że nie zabiłem pana Ackroyda, nie zabiłem! — Głos jego przeszedł w nieomal histeryczny krzyk.

— Skłaniam się ku temu, żeby ci wierzyć, mój przyjacielu — odezwał się Poirot. — Na morderstwo brak ci nerwów, odwagi. Ale muszę usłyszeć prawdę.

— Powiem panu wszystko, proszę pana, wszystko, co pan chce! To prawda, że próbowałem podsłuchiwać wtedy wieczorem pod drzwiami. Parę słów, które usłyszałem, wzbudziło moją ciekawość. No i że pan Ackroyd kazał sobie nie przeszkadzać i zamknął się tam z doktorem. Tak było, policji powiedziałem szczerą prawdę. Usłyszałem słowo „szantaż”, proszę pana, no i wie pan... — zamilkł.

— Pomyślałeś, że to coś interesującego, tak? — podsunął lekko Poirot.

— Właśnie. Tak pomyślałem, proszę pana. Pomyślałem sobie, że jeśli pana Ackroyda ktoś szantażuje, to może i dla mnie w tym się znajdzie jakiś ochłapek.

Twarz Poirota przybrała bardzo dziwny wyraz. Pochylił się do przodu.

— Czy przed tym wieczorem miałeś jakiegokolwiek podstawy przypuszczać, że pana Ackroyda ktoś szantażuje?

— Nie, proszę pana, żadnych. To mnie nawet bardzo zdziwiło, co usłyszałem. Taki porządny pan, taki zawsze zrównoważony.

— No i co podsłuchałeś?

— Niewiele, proszę pana. Mogę powiedzieć, że nie miałem szczęścia. Los był przeciwko mnie, proszę pana. Musiałem naturalnie wrócić do swoich obowiązków w pokoju kredensowym. A kiedy potem raz czy dwa znowu podkradłem się pod drzwi gabinetu, los był znowu przeciwko mnie. Za pierwszym razem wyszedł doktor Sheppard i prawie mnie przyłapał na gorącym uczynku, a za drugim razem natknąłem się na pana Raymonda, który szedł z hallu. Wiedziałem więc, że już nic z tego. A

kiedy potem szedłem z tacą, zawróciła mnie panna Flora.

Przez dłuższą chwilę Poirot wpatrywał się w lokaja, jakby badał szczerść jego słów. Parker nie spuścił oczu. Wytrzymał próbę.

— Mam nadzieję, że pan mi wierzy, proszę pana. Cały czas się bałem, że policja wygrzebie tę starą sprawę z majorem Ellerbym i że w związku z tym będzie mnie podejrzewała o morderstwo.

— *Eh bien* — powiedział wreszcie Poirot. — Skłonny jestem ci wierzyć. Ale żądam jednej rzeczy. Pokaż mi swoją książeczkę oszczędnościową. Masz książeczkę oszczędnościową, Parker, prawda?

— Tak, proszę pana. Przypadkiem mam ją przy sobie. Bez żadnych oznak zmieszania Parker zaczął grzebać w kieszeni. Poirot odebrał od niego zielono oprawną książeczkę i zaraz ją otworzył.

— Ach! Widzę, że w tym roku kupiłeś za pięćset funtów bonów oszczędnościowych.

— Tak, proszę pana. Mam już odłożonych około tysiąca funtów. To rezultat mojej... moich stosunków z byłym panem... majorem Ellerbym. No i w tym roku poszczęściło mi się troszeczkę na wyścigach. Jeśli pan sobie przypomina, fuks wygrał bieg jubileuszowy. Miałem nosa postawić na niego dwadzieścia funtów.

Poirot zwrócił mu książeczkę.

— Pożegnaj cię teraz. Wierzę, że powiedziałeś mi prawdę. A jeśli nie, to tym gorzej dla ciebie, przyjacielu!

Gdy Parker wyszedł, Poirot wziął z krzesła swój płaszcz.

— Wychodzi pan? — spytałem.

— Tak, złożymy wizytę dobremu panu Hammondowi.

— Pan wierzy Parkerowi?

— Jego historia jest prawdopodobna. Chyba że jest świetnym aktorem. Wydaje mi się jednak oczywiste, iż Parker naprawdę uważa Ackroyda za ofiarę szantażu. A więc z tego wynika, że nic nie wie o sprawie pani Ferrars.

— W takim razie kto...?

— *Precisement!* Kto? Ale nasza wizyta u pana Hammonda wyjaśni nam jedno. Albo całkowicie uwolni Parkera od podejrzeń, albo...

— Albo?

— Od samego rana wpadłem w zły zwyczaj niekończenia zdań — odparł Poirot ze skruszoną miną.

— Musi pan mi wybaczyć.

— Aha, przypomniało mi się — powiedziałem niepewnym głosem. — Muszę panu coś wyznać. Obawiam się, że zupełnie bez zastanowienia wypaplałem o tej obrączce.

— Jakiej obrączce?

— O obrączce, którą pan znalazł w sadzawce ze złotymi rybkami.

— A, o tej! — Poirot uśmiechnął się szeroko.

— Mam nadzieję, że bardzo się pan nie gniewa? To była z mojej strony wielka nieostrożność.

— Ależ wcale się nie gniewam, przyjacielu! Nie prosiłem pana o dyskrecję. Miał pan prawo o tym mówić, jeśli pan sobie życzył. Pańska siostra była zainteresowana, tak?

— Jeszcze jak! To wywołało sensację. Zaraz posypało się tysiące przypuszczeń.

— A przecież to taka prosta sprawa! Oczywiście wyjaśnienie rzucało się w oczy, co?

— Czyżby? — spytałem sucho. Poirot wybuchnął śmiechem.

— Mądry człowiek trzyma język za zębami — powiedział. — Nieprawdaż? Ale oto i biuro pana Hammonda.

Adwokat znajdował się w swoim gabinecie, dokąd wprowadzono nas bez zwłoki. Pan Hammond wstał i powitał nas obojętnie, lecz nie uchybiając grzeczności. Poirot natychmiast przystąpił do rzeczy.

— *Monsieur*, pragnę otrzymać od pana pewną informację, jeśli pan będzie łaskaw jej udzielić, naturalnie. O ile się nie mylę, pan był również adwokatem zmarłej pani Ferrars, tak?

W oczach adwokata zauważyłem krótki błysk zdziwienia, zaraz zresztą zastąpiony zawodową maską obojętności.

— Tak jest. Wszystkie jej sprawy przechodziły przez naszą firmę.

— To świetnie, świetnie. Nim jednak pana o coś zapytam, poproszę obecnego tu doktora Shepparda, by panu powtórzył pewną rozmowę. Pan nie ma nic przeciwko temu, doktorze? Może pan łaskawie powtórzy treść rozmowy, jaką pan odbył z Rogerem Ackroydem w piątek wieczorem, tak?

— Ależ proszę bardzo! — odparłem i natychmiast rozpocząłem sprawozdanie z owego niesamowitego wieczoru.

Hammond przysłuchiwał się z wielką uwagą. — I to wszystko! — zakończyłem wreszcie.

— Szantaż — powiedział adwokat w zamyśleniu.

— Jest pan zdziwiony? — spytał Poirot.

Adwokat zdjął binokle i zaczął je wycierać chusteczką.

— Nie — odparł. — Nie będę kłamał, że jestem zdziwiony. Od pewnego czasu domyślałem się podobnej historii.

— A więc teraz zadam moje pytanie — rzekł Poirot. — Czy może mi pan podać wysokość sum wypłaconych szantażyście, *monsieur*?

— Nie ma powodów, bym nie mógł panu tego powiedzieć — odezwał się Hammond po dłuższej chwili. — W ciągu ostatniego roku pani Ferrars sprzedała pewne papiery, a pieniądze zostały wypłacone na jej bieżący rachunek. Wiem, że w nic ich nie inwestowała. Ponieważ miała dosyć duże dochody, a po śmierci męża żyła skromnie, wydaje mi się jasne, iż sumy uzyskane ze sprzedaży owych papierów wartościowych zostały zużyte na jakiś specjalny cel. Raz próbowałem wy badać panią Ferrars, ale otrzymałem odpowiedź, że musi ona pomagać wielu ubogim krewnym swego męża. Naturalnie już nie wracałem do tego tematu. Do chwili obecnej sądziłem, że pieniądze te szły na zaspokojenie roszczeń jakiejś kobiety wobec Ashleya Ferrarsa. Nigdy mi nie przyszło na myśl, że pani Ferrars była w to bezpośrednio wmieszana.

— Ile to było pieniędzy? — spytał Poirot.

— Cała suma wyniesie około dwudziestu tysięcy funtów.

— Dwadzieścia tysięcy funtów! — wykrzyknąłem. — W ciągu jednego roku?

— Pani Ferrars była bardzo zamożną kobietą — odparł Poirot sucho. — A groźba kary za morderstwo nie jest rzeczą miłą.

— Czy jeszcze czymś mogę panu służyć? — zainteresował się pan Hammond.

— Nie, dziękuję, to wszystko — odrzekł Poirot, wstając.

— Tysiącrotne pardon za zakłócenie pańskiej świadomości, *monsieur*.

— Ależ to głupstwo, proszę bardzo.

— Zakłócenie świadomości jest określeniem stanu psychicznego — zauważyłem już na ulicy.

— A! Mój angielski nigdy nie będzie doskonały — wykrzyknął z żalem Poirot. — Powinienem być powiedzieć: „przeszkodzenie świadomości”, *n'est-ce pas**? Ten angielski to ciekawy język.

—

— Zakłócenie spokoju, to pewno pan miał na myśli.

— Dziękuję, przyjacielu. O to mi chodziło, właśnie! Utrafił pan w sam środek. *Eh bien*, jakże

wygląda sprawa naszego Parkera? Mając dwadzieścia tysięcy funtów, czyż pozostałby nadal lokajem? *Je ne pense pas**. Jest naturalnie możliwe, że ukrył pieniądze w banku pod innym nazwiskiem, ale ja nadal skłonny jestem twierdzić, że wyznał nam całą prawdę. Nie jest zbyt bystry. To pozostawia dwie możliwości, ha! Raymond albo... albo major Blunt!

— Ależ chyba nie Raymond — zaprotestowałem. — Wiemy przecież, że w owym czasie bardzo potrzebował pięciuset funtów.

— To on tak mówi.

— A jeśli idzie o Hektora Blunta...

— Powiem panu coś, co dotyczy dobrego majora Blunta — przerwał mi Poirot. — Moim obowiązkiem jest zbadać każdy szczegół. Więc badam. I w tym wypadku to zrobiłem. Zapis, o którym major Blunt mówi, wynosił, jak stwierdziłem, około dwudziestu tysięcy funtów. Co pan o tym myśli?

Byłem tak zaskoczony, że z trudem zdołałem wykrztusić:

— To niemożliwe. Taki zacy człowiek jak major Blunt! Poirot wzruszył ramionami.

— Kto to wie! W każdym razie to człowiek z ambicjami. Wyznaję, że trudno mi sobie wyobrazić go w roli szantażysty, ale istnieje tu jeszcze jedna możliwość, o której pan nie pomyślał.

— Mianowicie?

— Ogień na kominku, mój drogi przyjacielu! Po pana wyjściu Ackroyd sam mógł zniszczyć ów list, niebieską kopertę i wszystko.

— To mi się nie wydaje prawdopodobne — powiedziałem wolno. — A z drugiej strony, naturalnie, tak mogło być! Mógł nagle zmienić zdanie.

Zbliżyliśmy się właśnie do mojego domu; powodowany impulsem zaprosiłem Poirota na obiad.

Myślałem, że Karolina będzie ze mnie bardzo zadowolona, ale okazało się, że kobiety nie można nigdy zadowolić. Właśnie tego dnia mieliśmy na obiad kotlety cielęce, a służącej pozostały resztki flaków z cebulką. No i oczywiście! Dwa kotlety na stole, przy którym siedzą trzy osoby, są rzeczą dosyć krępującą.

Ale Karolinę można wytrącić z równowagi najwyżej na parę minut. Po chwili bezbłędnie kłamała już Poirotowi, że chociaż brat się z niej śmieje, ona przestrzega ściśle jarskiej kuchni. Wpadła prawie w ekstazę, opisując delikatność i wyższość smaku kotletów jarzynowych (których zdaje się nigdy nie miała w ustach) na przykład nad schabowymi, i zajadała smakowicie przypiekany ser z musztardą, rzucając częste uwagi na temat niebezpieczeństw, jakie kryją w sobie potrawy mięsne.

Potem, kiedy paląc papierosy, usiedliśmy przed kominkiem, Karolina przypuściła do Poirota frontalny atak.

— Nie znalazł pan jeszcze Ralfa Patona?

— A gdzie go miałem szukać, *mademoiselle*

— Myślałam, że może znalazł go pan w Cranchester — powiedziała Karolina z naciskiem.

Poirot wydawał się rozbawiony.

— W Cranchester? Dlaczego właśnie w Cranchester? Zjadliwie udzieliłem mu koniecznych wyjaśnień.

— Jeden z członków służby wywiadowczej widział pana wczoraj w samochodzie, jadącego z Cranchester.

Detektyw roześmiał się serdecznie:

— Ach, rozumiem! Prosta rzecz. Byłem u dentysty, *c'est tout**. Mój ząb bardzo boli. Jadę więc do dentysty. I natychmiast w drodze ząb przestaje boleć. Chcę wrócić szybko, a dentysta mówi: nie. Lepiej go wyrwać. Klóć się. On nalega. Wreszcie zwycięża. No i mój ząb już nigdy nie będzie więcej bolał.

Karolina oklapła jak przekłuty balon.

Dalej ciągnęliśmy jednak rozmowę o Ralfie Patonie.

— Słaby charakter — upierałem się. — Ale to nie jest zły człowiek.

— Aa! — wykrzyknął Poirot. — Ale słabość, dokądże ona prowadzi!

— Właśnie! — zgodziła się Karolina. — Weźmy na przykład Jamesa. Słaby charakter, najslabszy, jaki widziałam. Co by było, gdybym go nie pilnowała?

— Moja droga Karolino — powiedziałem cierpko — czy musisz zajmować się moją osobą? Nie starcza ci tematów?

— Kiedy ty jesteś słaby, James — odparła Karolina, bynajmniej nie zmieszana. — Jestem od ciebie o osiem lat starsza i wcale się nie wstydzę, że pan Poirot to słyszy...

— Nigdy bym czegoś podobnego nie przypuścił, *mademoiselle* — powiedział Poirot, kłaniając się nisko.

— Tak, o osiem lat! Zawsze uważałam za swój święty obowiązek opiekę nad tobą. Z tym twoim złym wychowaniem to tylko Bóg wie, w jakie kłopoty byś się do dziś wpakował, gdyby nie ja.

— Mógłbym się ożenić z piękną tancerką albo jakąś inną awanturnicą — mruknąłem, patrząc w sufit i puszczając kółka z dymu.

— Awanturnicą? — parsknęła Karolina gniewnie. — Skoro już mówimy o awanturnicach... — nie skończyła zdania.

— No, no? — spytałem z pewną ciekawością.

— Nic. Pomyślałam sobie o kimś, kto znajduje się bliżej niż sto mil stąd. — Zwróciła się nagle do Poirota: — James utrzymuje, że zdaniem pana to ktoś z bezpośredniego otoczenia Rogera Ackroyda popełnił morderstwo. A ja twierdzę, że pan się myli.

— Wolalbym się nie mylić — odparł Poirot. — To nie jest, jakby to powiedzieć, moja *métier** mylić się.

— Mnie wszystko układa się dosyć jasno — ciągnęła Karolina, nie zwracając uwagi na słowa Poirota. — Opieram się na tym, co opowiadał mi James i inni. Ze wszystkich domowników tylko dwoje miałoby okazję popełnić morderstwo: Ralf Paton albo Flora Ackroyd...

— Moja droga Karolino...!

— Nie przerywaj mi teraz, James! Wiem, co mówię. Parker spotkał Florę przed drzwiami gabinetu, prawda? Nie słyszał, czy stryj rzeczywiście mówi jej dobranoc, czy nie. Mogła go była właśnie wtedy zabić.

— Karolino!

— Ja nie mówię, że ona to zrobiła, James, nie twierdzę tego wcale! Mówię tylko, że miała okazję. Choć Flora jest taka sama jak te inne nowomodne dziewczyny, które nie mają szacunku dla starszych i myślą, że pojadły wszystkie rozumy pod słońcem, przez chwilę nie sędzę, by mogła skrzywdzić nawet kurczę. Ale fakty pozostają faktami. Pan Raymond i major Blunt mają alibi. Pani Ackroyd ma alibi. Obawiam się, że ma je również i panna Russell, a bardzo to dla niej szczęśliwie. Któż pozostaje? Tylko Ralf i Flora. I mówcie sobie, co chcecie, ale ja nie wierzę, żeby Ralf Paton zamordował Rogera Ackroyda. Znam tego chłopaka od małego.

Poirot milczał, pilnie obserwując dym wijący się z papierosa. Kiedy wreszcie się odezwał, mówił nieswoim głosem, który wywarł na mnie silne wrażenie, gdyż był jakiś dziwnie przenikający.

— Weźcie na przykład mężczyznę. Takiego przeciętnego mężczyznę. Mężczyznę, który w sercu nie ma żadnej myśli o morderstwie. Jest w nim nuta słabości, tam gdzieś głęboko. Dotychczas jeszcze nigdy ta nuta nie musiała zagrać.

Może nigdy nie będzie musiała i ten człowiek zejdzie do grobu szanowany i honorowany przez wszystkich. Ale przypuśćmy, że coś się stanie. Że znajdzie się w trudnościach. Może nawet jeszcze nie to, może wpadnie przypadkiem na ślad tajemnicy, tajemnicy dotyczącej czyjejs śmierci czy życia. Jego pierwszym impulsem będzie donieść o tym, spełnić obowiązek uczciwego obywatela. No, ale tu wyjdzie na jaw ta nuta słabości. Bo oto jest okazja zdobycia pieniędzy! Wielkiej ilości pieniędzy! On chce pieniędzy, pragnie ich! Wszystko wydaje się takie łatwe. Nic za to nie trzeba robić, tylko siedzieć cicho. To dopiero początek. Pragnienie pieniędzy rośnie. On chce mieć więcej i więcej!

Oszalał na widok tej kopalni złota, jaka rozwarła się u jego stóp. Staje się łakomy i w tym łakomstwie przeciąga strunę. Mężczyznę można dławić, jak długo się chce, ale z kobietą sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Nie wolno przekroczyć pewnej granicy. Ponieważ kobieta w sercu nosi zawsze skłonność do wypowiedzenia prawdy. Iluż mężczyzn, którzy zdradzili swoje żony, zeszło spokojnie z tego świata, zabierając swój sekret do grobu? A ile z żon, które oszukały mężów, niszczy im dodatkowo życie, wypominając w oczy swoje wiarołomstwo? Zbyt duży był na nie nacisk. W chwili nieopamiętania (której potem żałują, *bien entendu*) zapominają o bezpieczeństwie domowego życia i rzucają się na niepewne wody, by potem powrócić skruszone, przyznając się do wszystkiego ku własnej chwilowej uldze. Tak też było, sądzą, w tym wypadku. Napięcie zbyt wielkie! I spełniła się prawda przysłowia: zdechła kura, która zносиła złote jajka. Ale to nie koniec. Człowiekowi, o którym mówimy, groziło odkrycie jego niecznych postępów. On już nie jest tym samym człowiekiem co rok temu, na przykład. Jego kościec moralny jest nadgniły. Ten człowiek jest zdesperowany. Toczy bitwę, którą musi przegrać, ale gotów jest skorzystać z każdego środka, byle uchronić się od przegranej. I dlatego podnosi rękę ze sztyletem.

Poirot zamilkł na chwilę. Wydawało się, że rzucił jakieś zaklęcie na cały pokój. Trudno mi opisać wywołane jego słowami wrażenie. W bezlitosnej analizie faktów kryła się prawda, a z okrutnej siły wyobraźni Poirota wyrósł przed naszymi oczami strach.

— A potem — podjął dalej spokojnie — jeśli niebezpieczeństwo już nie grozi, człowiek taki staje się znowu sobą, staje się normalnym, dobrym, miłym człowiekiem. Niechaj się jednak znowu zrodzi potrzeba, nie cofnie się przed następnym morderstwem.

Wreszcie Karolina odważyła się przemówić:

— Mówi pan o Ralfie Patonie. Może ma pan rację, może pan jej nie ma, ale nie wolno panu potępiać człowieka, nie wysłuchawszy, co ma na swoją obronę.

Ostry dzwonek telefonu przerwał rozmowę. Wyszedłem do hallu i podniosłem słuchawkę.

— Halo? — powiedziałem. — Tak, mówi doktor Sheppard. Słuchałem przez chwilę, potem odpowiedziałem „dobrze”. Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do saloniku.

— Panie Poirot, policja liverpoolska zatrzymała człowieka, który nazywa się Charles Kent. Podobno jest to ów piątkowy gość z Fernly. Chcą, abym natychmiast pojechał i stwierdził jego tożsamość.

Rozdział osiemnasty

Charles Kent

Po półgodzinie Poirot, inspektor Raglan i ja siedzieliśmy w pociągu uwożącym nas do Liverpoolu. Inspektor był niesłychanie podniecony i monologował:

— Jeśli niczego innego nam to nie da — oświadczył radośnie — to w każdym razie dowiemy się może coś niecoś o tym szantażu. Z tego, co słyszałem przez telefon, ten Charles Kent to podejrzany typ. Narkoman. Łatwo powinniśmy z niego wydobyć wszystko, co będziemy chcieli. Jeśli znajdziemy tylko cień motywu, to sto do jednego, że on zamordował Rogera Ackroyda. Ale dlaczego w takim razie młody Paton się ukrywa? Jedna wielka zagadka! Nic już nie rozumiem. Aha, przy okazji, panie Poirot, pan miał rację co do tych odcisków palców. Tak, to odciski palców Ackroyda. Ja od razu pomyślałem to samo, ale odrzuciłem taką możliwość jako nieprawdopodobną.

Uśmiechnąłem się do siebie. Inspektor Raglan próbował ratować honor policji.

— A ten człowiek? — spytał Poirot. — To on nie jest oficjalnie aresztowany?

— Nie, tylko zatrzymany do wyjaśnienia.

— I jak tłumaczy swoją obecność w Fernly?

— Wcale nie tłumaczy — odparł inspektor, krzywiąc usta w uśmiechu. — Dziwny ptaszek. Dużo krzyczy, ale nic poza tym.

Po przybyciu do Liverpoolu stwierdziłem ze zdziwieniem, że Poirot został powitany bardzo entuzjastycznie. Superintendent Hayes współpracował niegdyś z belgijskim detektywem i najwidoczniej wyrobił sobie wyidealizowaną opinię o jego zdolnościach.

— No, skoro pomaga nam pan Poirot, to wkrótce będziemy w domu! — powiedział wesoło. — Myślałem, że pan się już wycofał z czynnej pracy, *monsieur*.

— Tak, tak, wycofałem się, kochany panie Hayes. Ale jakże męczące jest hodowanie dyń! Nie może pan sobie wyobrazić monotonii następujących po sobie dni!

— Rozumiem, dobrze rozumiem. Więc przyjechał pan obejrzeć, co myśmy tutaj złapali w klateczkę? A to doktor Sheppard, jeśli się nie mylę? Czy pan sądzi, że pan go rozpozna?

— Nie bardzo jestem tego pewien — odparłem.

— Jak go schwytaliście? — zapytał Poirot.

— Rozesłano rysopis do prasy i wszystkich komisariatów policji, jak pan wie. Bardzo ogólnikowy, niestety. Ten gość ma akcent amerykański i nie zaprzecza, że w noc morderstwa znajdował się w King's Abbot. Ale się rzuca i pyta, co to nas obchodzi, gdzie on jeździ, i że możemy sobie iść do jasnej cholery, a on nie odpowie na żadne pytanie.

— Czy będzie mi wolno również go zobaczyć, tak? — spytał Poirot.

Superintendent przymknął znacząco jedno oko.

— Bardzo dobrze, że pan z nami współpracuje, proszę pana. Może pan oglądać, kogo pan chce. Nie dalej niż wczoraj pytał o pana inspektor Japp ze Scotland Yardu. Słyszał, że pan nieoficjalnie z nami współpracuje. A może pan już wie, gdzie ukrywa się kapitan Paton?

— Nie sędzę, aby w obecnej chwili należało o tym mówić — odparł Poirot z wielką pewnością siebie, a ja przygryzłem wargi, by powstrzymać uśmiech.

Ten zabawny Belg potrafił świetnie grać.

Po kilku minutach rozmowy poszliśmy przesłuchać zatrzymanego.

Był to młody człowiek, mógł mieć ze dwadzieścia dwa, trzy lata. Wysoki, szczupły, ręce mu się lekko trzęsły. Widać było tylko ślady dawnej tężyzny fizycznej. Włosy miał ciemne; niebieskie i nieco rozbiegane oczy unikały naszego wzroku. Poprzednio przez cały czas — od chwili pierwszego spotkania z nim przed bramą King's Abbot — odnosiłem wrażenie, że jego rysy i głos są mi znajome. Teraz jednak już mi nikogo nie przypominał. Czyżby to nie był ten sam młody człowiek?

— Wstań, Kent — powiedział superintendent. — Ci panowie przyszli do ciebie. Poznaje pan któregoś z nich?

Kent patrzył na nas spode łba, ale milczał. Jego spojrzenie prześliznęło się po naszych twarzach i wreszcie zatrzymało na mojej.

— A więc, panie doktorze — spytał superintendent — cóż pan powie?

— Wzrost się zgadza — odparłem — i jeśli idzie o sylwetkę, to może to być ten sam człowiek. Poza tym trudno mi coś powiedzieć.

— Co to wszystko znaczy, do jasnej cholery?! — wykrzyknął Kent. — Czego wy ode mnie chcecie? Gadajcie! Co ja takiego zrobiłem?

Skinąłem głową.

— Ten sam człowiek — powiedziałem. — Poznaje jego głos.

— Poznaje pan mój głos, tak? A gdzież to pan go przedtem słyszał?

— W zeszły piątek wieczorem przed bramą Fernly Park. Pytał mnie pan o drogę.

— Pytałem pana o drogę, tak?

— Przyznaje się pan do tego? — rzucił superintendent.

— Do niczego się nie przyznaję. Do niczego się nie przyznam, póki się nie dowiem, o co ta cała polka!

— Nie czytał pan gazet w ciągu ostatnich paru dni? — odezwał się po raz pierwszy Poirot.

Kent zmrużył oczy.

— O to wam chodzi, aha! Słyszałem, że w Fernly łupnęli jakiegoś starego faceta. Chcielibyście mnie w to wrobić, co?

— Był pan tam owego wieczoru — powiedział Poirot spokojnie.

— A skąd pan to wie?

— Stąd. — Poirot wyjął coś z kieszeni i pokazał Kentowi na otwartej dłoni.

Było to gęsie piórko, które znaleźliśmy w pawilonie. Na ten widok twarz mężczyzny się zmieniła. Mimo woli wyciągnął rękę.

— Heroina — powiedział Poirot. — Nie, mój przyjacielu, piórko jest puste. Leżało tam, gdzie pan je upuścił owego wieczoru.

Charles Kent spoglądał niepewnie na Poirota.

— Pan coś, do cholery, dużo o wszystkim wie, panie cudzoziemski błaznie! To może pan sobie przypomni jeszcze jedno: gazety pisały, że starego faceta wykończono pomiędzy godziną za kwadrans dziesiąta a dziesiątą.

— To się zgadza.

— Ale czy tak jest naprawdę? O to pana pytam.

— Ten pan odpowie. — Poirot wskazał inspektora Raglana. Raglan zawahał się, zerknął na superintendenta Hayesa, potem na Poirota, wreszcie, jakby otrzymawszy ich zgodę, odparł:

— To prawda. Między godziną za kwadrans dziesiąta a dziesiątą.

— No, to nie macie mnie tu po co trzymać — powiedział Kent. — Już o godzinie dziewiątej dwadzieścia pięć byłem daleko od Fernly Park. Możecie spytać w gospodzie Pod Psem i Gwizdkiem. Milę za Fernly, na drodze do Cranchester. Zrobiłem tam małą rozróbkę, pamiętam dobrze. Prawie za kwadrans dziesiąta. I jak teraz wyglądacie?!

Inspektor Raglan zapisał coś w notesie.

— No więc? — domagał się Kent.

— Sprawdzimy — odparł inspektor. — Jeśli powiedział pan prawdę, nic złego pana nie spotka. A co robił pan w Fernly Park?

— Miałem się z kimś spotkać.

— Z kim?

— To nie wasz interes.

— Radzę, żeby był pan grzeczniejszy — wtrącił superintendent.

— A do cholery z grzecznością! Byłem w Fernly w moim prywatnym interesie i nic wam więcej nie powiem. Znajdowałem się daleko, kiedy zadźgano tego dziadka, a tylko to może interesować policję.

— Nazywa się pan Charles Kent? — spytał Poirot. — Gdzie się pan urodził?

Mężczyzna patrzył chwilę na detektywa, potem wykrzywił twarz w uśmiechu:

— Nie bójcie się, jestem Brytyjczykiem, z urodzenia — odparł.

— Tak — mruknął, kręcąc głową, Poirot. — Chyba pan jest. Nawet mi się wydaje, że urodził się pan w hrabstwie Kent.

Mężczyzna szeroko otworzył oczy.

— Niby dlaczego? Dlatego że się tak nazywam? A co to ma z tym wspólnego? Czy facet, który nazywa się Kent, musi się urodzić w hrabstwie Kent?

— W pewnych okolicznościach tak — odparł Poirot znacząco. — Biorąc pod uwagę pewne okoliczności. Mam nadzieję, że mnie pan rozumie.

Poirot wyraźnie coś insynuował; obaj policjanci spojrzeli na niego zdziwieni. Charles Kent zaczerwienił się po same uszy i przez chwilę wydawało się, że skoczy detektywowi do gardła. Jednakże opanował się i patrząc w bok, sztucznie się roześmiał.

Poirot wyszedł z pokoju bardzo z siebie zadowolony, czemu dawał wyraz, kiwając głową. Po chwili dołączyli do niego obaj policjanci.

— Sprawdzimy jego alibi — powiedział Raglan. — Nie wydaje mi się, żeby gość kłamał. Ale nie powiedział uczciwie, co robił w Fernly. Wydaje mi się, że złapaliśmy naszego szantażystę. Z drugiej strony, jeśli jego alibi jest prawdziwe, nie miał nic do czynienia z morderstwem. W chwili zatrzymania znaleźliśmy przy nim dziesięć funtów, spora kwota. Wydaje mi się, że on miał te całe czterdzieści funtów, co zginęły. Prawdę powiedziawszy, numery brakujących banknotów nie zgadzają się z numerami tych dziesięciu funtów, ale przecież pierwsza rzecz, o której by pomyślał, to je

wymienić. Pewno pan Ackroyd dał mu pieniądze i on się ulotnił, jak tylko mógł najszybciej. A po co pan pytał o jego miejsce urodzenia? Co to ma wspólnego ze sprawą?

— Zupełnie nic — powiedział łagodnie Poirot. — Mój taki malutki pomysł, nic więcej. Ja zawsze mam takie malutkie pomysły.

— Naprawdę? — spytał grzecznie Raglan, wpatrując się w niego zdumiony.

Superintendent wybuchnął śmiechem:

— Wielokrotnie mówił mi o tym inspektor Japp. Pan Poirot i jego malutkie pomysły! „To zbyt wyrafinowane dla mnie, mówił Japp, lecz zawsze coś w nich jest”.

— Pan się ze mnie śmieje — pogodnie odparł Poirot — ale nic nie szkodzi. Czasami starzy śmieją się ostatni, a młodzi, ci sprytni, nie śmieją się wcale.

I mądrze kiwając głową, wyszedł na ulicę.

Obiad zjedliśmy w hotelu. Teraz wiem, że już wtedy Poirot znał rozwiązanie zagadki. Ostatnia nitka doprowadziła go do prawdy!

Ale wówczas niczego się jeszcze nie domyślałem. Złe oceniłem jego śmieszność pewności siebie i uważałem, że to wszystko, co stanowi tajemnicę dla mnie, musi być również zagadką i dla niego.

Przede wszystkim nie rozumiałem, co Charles Kent mógł robić w Fernly. Raz po raz zadawałem sobie to pytanie, lecz nie przychodziło mi do głowy żadne logiczne wyjaśnienie. Wreszcie wprost zagadnąłem Poirota, co o tym sądzi.

Odpowiedział natychmiast:

— *Mon ami**, ja nie sądzę, ja wiem.

— Naprawdę? — spytałem z powątpiewaniem.

— Tak, wiem. Chyba niewiele by pan zrozumiał, gdybym panu teraz odpowiedział, że Charles Kent poszedł do Fernly głównie dlatego, że urodził się w hrabstwie Kent.

Patrzyłem na Poirota zdziwiony.

— Istotnie, nie widzę w tym wielkiego sensu — odparłem sucho.

— Aa! — powiedział Poirot współczująco. — No, to nieważne. Ja mam nadal swój malutki pomysł.

Rozdział dziewiętnasty

Flora Ackroyd

Kiedy następnego dnia wracałem samochodem po odbyciu wizyt lekarskich, z trotuaru zaczął do mnie kiwać inspektor Raglan. Zahamowałem i inspektor postawił nogę na stopniu wozu.

— Dzień dobry, doktorze! — powiedział. — Potwierdziło się alibi tego gościa.

— Charlesa Kenta?

— Tak, barmanka z gospody Pod Psem i Gwizdkiem, Sally Jones, przypomina go sobie doskonale. Z pięciu fotografii od razu wybrała jego zdjęcie. Wszedł do baru akurat o godzinie za kwadrans dziesiąta, a to jest ponad milę od Fernly Park. Dziewczyna mówi, że miał dużo pieniędzy. Widziała, jak wyjmował z kieszeni cały plik banknotów. To ją nawet zdziwiło, ponieważ poznała od razu, jakiego to typu gość, buty prawie spadały mu z nóg. Tak, on wziął te czterdzieści funtów.

— I w dalszym ciągu nie chce powiedzieć, po co przyszedł do Fernly?

— Uparty jak muł. Rano rozmawiałem przez telefon z Hayesem.

— Herkules Poirot powiada, że wie, po co Kent był w Fernly Park.

— Naprawdę?! — wykrzyknął inspektor podniecony.

— Tak — odparłem złośliwie. — Jego zdaniem dlatego, że Kent urodził się w hrabstwie Kent.

Z wielką satysfakcją obserwowałem, jak on z kolei zaniemówił.

Patrzył na mnie przez chwilę, jakby nic nie rozumiał. Potem jego tłąstą twarz rozjaśnił uśmiech. Postukał się znacząco w czoło.

— Ma trochę kuku — powiedział. — Od dłuższego czasu już to widzę. Biedny gość, dlatego musiał rzucić pracę i tu przyjechał! To pewno rodzinne. Ma siostrzeńca, któremu brak piątej klepki.

— Poirot ma siostrzeńca wariata? — spytałem zdziwiony.

— Aha. Nigdy panu o nim nie wspominał? Podobno spokojny chłopak, nieszkodliwy, tylko skończony wariat, biedaczysko.

— Kto panu o tym mówił?

Na twarzy inspektora znowu rozlał się uśmiech.

— Pana siostra, panna Karolina. Od niej to wszystko wiem.

Karolina jest naprawdę niesamowita. Nie spocznie, póki nie pozna do najdrobniejszego szczegółu tajemnic każdej rodziny. Nigdy, niestety, nie udało mi się zaszczerpić jej zasad dyskrecji i przekonać, że lepiej jest zachowywać zdobyte wiadomości dla siebie.

— Proszę wsiąść, inspektorze — powiedziałem, otwierając drzwi samochodu. — Pojedziemy razem do Modrzewiowego Dworku i zapoznamy naszego belgijskiego przyjaciela z najnowszym rozwojem wypadków.

— Owszem, możemy. Trzeba przyznać, że chociaż ma on trochę pokręcone w głowie, podsunął mi dobrą myśl z tymi odciskami palców. Kiełbi mu się coś w głowie na temat Kenta, ale kto wie, może i w tym się coś kryje?

Poirot przyjął nas ze swą zwykłą uprzejmością i uśmiechem.

Wysłuchał wiadomości, którą mu przynieśliśmy, od czasu do czasu kiwając głową.

— Więc to jest w porządku, prawda? — spytał inspektor raczej ponuro. — Trudno podejrzewać, że facet mordował człowieka w jednym miejscu, a w tym samym czasie pił w barze odległym o milę.

— Zwalniają go panowie? — zaciekawił się Poirot.

— A cóż innego możemy zrobić? Nie mamy nawet podstaw, by zatrzymywać go pod zarzutem wyłudzenia od kogoś pieniędzy. Nic mu nie można udowodnić.

Inspektor rzucił zdenerwowany zapałkę na kominek. Poirot podniósł ją i położył delikatnie w małym naczyniu przeznaczonym do tego. Zrobił to całkiem podświadomie. Widziałem, że myślami błądzi zupełnie gdzie indziej.

— Na miejscu policji — powiedział wreszcie — nie zwalniałbym tego Kenta tak od razu.

— Nie rozumiem pana? — Inspektor spojrział zdumiony.

— Chyba mówię jasno! Nie powinniście go jeszcze zwalniać.

— Nie myśli pan chyba, że on był współnikiem w tym morderstwie?

— Raczej nie, ale trzeba się przedtem upewnić.

— Dopiero co panu powiedziałem, że... Poirot podniósł rękę na znak protestu.

— *Mais oui, mais oui!* Słyszałem. Nie jestem głuchy. Ani głupi, dzięki Bogu. Ale pan podchodzi do sprawy ze złego, jak to się mówi, ze złego położenia, tak?

Inspektor wpatrywał się w niego intensywnie.

— Jak pan to rozumie? Przecież wiemy, że pan Ackroyd żył jeszcze o godzinie za kwadrans dziesiąta, prawda? Pan się z tym zgadza.

Poirot spojrział uważnie na inspektora, potem potrząsnął głową i uśmiechnął się.

— Nie zgadzam się z niczym, co nie zostało udowodnione!

— No jak to? Mamy przecież dostateczne dowody. Mamy zeznanie panny Flory Ackroyd.

— Ze powiedziała dobranoc stryjowi? Nie, proszę pana, ja nie zawsze wierzę temu, co mówią młode kobiety. Nawet takie urocze i piękne jak panna Flora.

— Ależ, panie Poirot! Parker ją widział, jak wychodziła z gabinetu!

— Wcale nie! — Głos Poirota zadźwięczał nagle ostro. — Właśnie że wcale tego nie widział. Przeprowadziłem wczoraj mały eksperyment. Pan sobie przypomina, doktorze? Parker widział ją przed drzwiami gabinetu, jak trzymała rękę na klamce. Wcale nie widział, jak wychodziła z gabinetu.

— Ale gdzie ona w takim razie mogła być, skąd iść?

— Mogła właśnie zejść ze schodów.

— Ze schodów?

— Tak, mam taki akurat malutki pomysł.

— Ale te schody prowadzą przecież tylko do sypialni pana Ackroyda?

— Właśnie!

Inspektor nie spuszczał wzroku z Poirota.

— Myśli pan, że ona była w sypialni stryja? No, niby czemu nie? Ale dlaczego miałyby kłamać?

— Aa, oto pytanie. My nie wiemy, co ona tam robiła, prawda?

— Pan myśli o pieniądzech? Panie Poirot, pan chyba nie przypuszcza, że Flora Ackroyd wzięła te czterdzieści funtów?

— Ja nic nie przypuszczam — odparł Poirot. — Ale chcę panu przypomnieć jedno: życie matki i córki w tym domu nie było lekkie. Przychodziły rachunki, ciągle były jakieś kłopoty z drobnymi wydatkami. Pan Ackroyd dość dziwnie się zachowywał w sprawach finansowych. No i dziewczyna pewnego dnia jest zdesperowana z braku stosunkowo drobnej kwoty. Niech pan to sobie sam wykombinuje. Panna Flora wzięła pieniądze, zeszła po schodach. W połowie drogi słyszy z hallu brzęczenie szklanek na tacy. Nie ma wątpliwości, że to Parker idzie do gabinetu. Za żadną cenę nie może jej zobaczyć na schodach. Parker tego nie zapomni i będzie nad tym rozmyślał, wyda mu się to dziwne. Jeśli sprawa zaginięcia pieniędzy zrobi się głośna, Parker sobie przypomni, że ją widział na

schodach. Panna Flora ma akurat tyle czasu, żeby zbiec do drzwi gabinetu i położyć rękę na klamce. Wygląda, że stamtąd wyszła w chwili, gdy pojawił się Parker z tacą. Mówi pierwsze lepsze, co jej przychodzi do głowy, po prostu powtarza wcześniejsze polecenie Rogera Ackroyda, wydane tego samego wieczoru, i idzie do swojej sypialni na górę.

— No tak, ale potem chyba zdała sobie sprawę z niesłychanej wagi powiedzenia prawdy? — upierał się inspektor.

— Przecież na tym spoczywa cała zbudowana przez nas teoria!

— Potem sytuacja skomplikowała się dla panny Flory — rzekł Poirot sucho. — Dowiaduje się, że przysłała policja i że dokonano włamania. Naturalnie myśli, że odkryto brak pieniędzy. Musi wytrwać przy swojej wersji. Kiedy słyszy o zamordowaniu stryja, ogarnia ją przerażenie. Młode kobiety nie mdleją teraz tak łatwo, *monsieur*, bez specjalnych powodów. *Eh bien*, tak przedstawia się sytuacja. Panna Flora nie może zmienić zeznania. Musiałaby powiedzieć wszystko. A młoda i ładna dziewczyna nie lubi przyznawać się do kradzieży, zwłaszcza wobec tych, których szacunek i poważanie pragnie zachować.

Raglan pięścią uderzył mocno w stół.

— Nie uwierzę w to — powiedział. — To... to jest niewiarygodne! I pan to wiedział przez cały czas.

— Od samego początku rozpatruję możliwość podobnej sytuacji — przyznał Poirot. — Byłem pewien, że panna Flora coś przed nami ukrywa. Aby to sprawdzić, przeprowadziłem mały eksperyment, o którym panu przed chwilą wspomniałem. Pomagał mi w tym doktor Sheppard.

— Powiedział pan, że to chodzi o wypróbowanie Parkera — odezwałem się z wyrzutem.

— *Mon ami* — odparł Poirot ze skrucą — już panu kiedyś mówiłem, że każdą rzecz trzeba jakoś uzasadnić.

Inspektor wstał.

— Pozostaje nam tylko jedno — powiedział. — Musimy natychmiast porozmawiać umiejętnie z panną Ackroyd. Pojedzie pan ze mną do Fernly, panie Poirot?

— Naturalnie, doktor Sheppard zawiezie nas swoim samochodem, tak?

Chętnie się zgodziłem.

Kiedy zapytaliśmy o pannę Ackroyd, wprowadzono nas do pokoju bilardowego. Flora i major Blunt siedzieli na długiej kanapce pod oknem.

— Dzień dobry, panno Ackroyd — powiedział inspektor.

— Czy moglibyśmy panią prosić o chwilę rozmowy?

Blunt natychmiast wstał, chcąc wyjść.

— O co chodzi? — spytała Flora niespokojnie. — Proszę nie odchodzić, majorze. Major Blunt może zostać, prawda? — spytała, zwracając się do inspektora.

— Jak pani sobie życzy — odparł sucho inspektor. — Mam obowiązek zadać pani kilka pytań, wolałbym to zrobić w cztery oczy i mam wrażenie, że pani również wolałaby odpowiadać bez świadków.

Flora wpatrywała się badawczo w inspektora. Zobaczyłem, że twarz jej szarzeje. Potem obróciła się do Blunta:

— Chcę, żeby pan został, proszę bardzo, naprawdę o to proszę. Bez względu na to, co inspektor ma mi do powiedzenia, chcę, żeby pan przy tym był.

Raglan wzruszył ramionami.

— Jeśli pani sobie tego życzy, nie mam nic więcej do powiedzenia. A więc, panno Ackroyd, obecny tu pan Poirot podzielił się ze mną pewnymi przypuszczeniami. Uważa on, że w piątek wieczorem nie wchodziła pani wcale do gabinetu, nie widziała pana Ackroyda i nie mówiła mu dobranoc. Była pani w tym czasie na schodach prowadzących z sypialni pani stryja i usłyszała pani Parkera idącego z tacą od strony hallu.

Wzrok Flory przeniósł się na Poirota. Ten skinieniem głowy potwierdził słowa inspektora.

— *Mademoiselle*, kiedy parę dni temu zebraliśmy się wokół stołu, prosiłem panią o szczerość. Jeśli ktoś czegoś nie mówi papie Poirotowi, Poirot sam się dowiadyje. Prawda, że tak było? No dobrze, ułatwię pani: wzięła pani pieniądze, tak?

— Pieniądze? — odezwał się ostro Blunt.

Nastąpiła cisza, która trwała chyba z minutę. Flora opanowała się wreszcie i przemówiła:

— Pan Poirot ma rację. Wzięłam pieniądze. Ukradłam je. Jestem złodziejką. Tak, zwykłą, ordynarną złodziejką. Teraz wszyscy już wiecie. Jestem szczęśliwa, że nareszcie pozbyłam się ciężaru. Te ostatnie kilka dni były dla mnie straszne. — Usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Mówiła teraz głucho, przez palce: — Nie wiecie, jak okropne było moje życie od chwili przyjazdu tutaj. Pragnęłam tylu rzeczy, a tymczasem musiałam zdobywać je podstępem, oszukiwać, kombinować, kłamać, wpadać w długi, układać się z wierzycielami. O Boże! Jakże ja siebie nienawidzę, kiedy o tym myślę. To nas zbliżyło. Ralfa i mnie. Byliśmy oboje słabi. Ja go rozumiałam i żałowałam, ponieważ jestem w istocie podobna do niego. Nie potrafiliśmy o własnych siłach stanąć na nogi. Jesteśmy słabeusze, nieszczęśliwe, wstrętne kreatury!

Spojrzała na Blunta i nagle tupnęła nogą.

— Dlaczego na mnie tak patrzysz? Jakbyś nie mógł w to uwierzyć. Może i jestem złodziejką, ale wreszcie jestem sobą. Nie muszę udawać dziewczyny takiej, jakie się tobie podobają: młodej,

niewinnej i prostej. Nic mnie nie obchodzi, jeśli nie będziesz mnie więcej chciał znać. Nienawidzę siebie, pogardzam sobą! Ale musisz uwierzyć w jedno: jeśli powiedzenie prawdy mogłoby w czymś pomóc Ralfowi, dawno bym ją powiedziała. Ale przez cały czas myślałam, że to lepiej dla Ralfa. Teraz jego sytuacja jest jeszcze gorsza, niż była. Nie czyniłam mu żadnej krzywdy, trwając przy moim kłamstwie.

— Ralf! — powiedział Blunt. — Zawsze słyszę to imię. Ralf.

— Ty nic nie rozumiesz — powiedziała Flora w rozpacz.

— Ty nigdy nie zrozumiesz. — Spojrzała na inspektora. — Przyznaję się do wszystkiego. Byłam w rozpacz z powodu kłopotów pieniężnych. Po kolacji nie widziałam już stryja. W sprawie pieniędzy możecie podjąć odpowiednie kroki. Nic gorszego nie może już mi się przydarzyć.

Nagle znowu się załamała, ukryła twarz w dłoniach i wybiegła z pokoju.

— A więc — odezwał się inspektor bezbarwnym głosem — tak to wygląda!

Wyraźnie nie wiedział, co robić dalej. Blunt chrząknął.

— Inspektorze Raglan — powiedział spokojnie. — Te pieniądze dostałem od Ackroyda. W specjalnym celu. Panna Ackroyd ich nie brała. Kłamie, chcąc osłaniać kapitana Patona. Było tak, jak mówię. Powtórzę w sądzie.

Sklonił się sztywno, odwrócił na pięcie i wyszedł. Poirot szybko pobiegł za nim do hallu.

— *Monsieur*, chwileczkę, błagam pana, jeśli pan taki łaskaw!

— Słucham!

Blunt był najwyraźniej zdenerwowany i niechętnie przystanął. Patrzył z góry na małego detektywa i marszczył brwi.

— Chodzi o to — mówił szybko Poirot — że nie jestem oszukany pana maleńką fantastyczną powiastką. Naprawdę nie. To panna Flora wzięła pieniądze. Jednocześnie muszę powiedzieć, że bardzo dobrze pan to sobie wymyślił, to mi się podoba. Zrobił pan bardzo dobrą rzecz. Jest pan człowiekiem, który szybko myśli i działa.

— Pańska opinia jest mi obojętna — odparł Blunt zimno i chciał odejść, ale Poirot, wcale nie obrażony, położył mu rękę na ramieniu.

— A nie, musi pan mnie wysłuchać. Mam więcej do powiedzenia. Parę dni temu mówiłem o ukrywaniu prawdy. I przez cały czas widzę, co pan ukrywa, *monsieur*: panna Flora, pan ją kocha całym sercem. Od pierwszej chwili, kiedy ją pan zobaczył, tak? O, nic nie szkodzi, że mówimy o takich rzeczach. Dlaczego w Anglii uważa się, że mówienie o miłości to zdradzanie jakiejś hańbiącej tajemnicy? Pan kocha *mademoiselle* Florę. Chce pan ukryć ten fakt przed całym światem. To bardzo dobrze, tak powinno być. Ale niech pan posłucha rady Herkulesa Poirota i nie ukrywa tego przed

mademoiselle.

Blunt okazywał przez cały ten czas wielkie zniecierpliwienie, ale ostatnie słowa przykuły jego uwagę.

— Cóż pan przez to rozumie? — spytał ostro.

— Pan myśli, że ona kocha Ralfa Patona, ale ja, Herkules Poirot, mówię panu, że tak wcale nie jest. *Mademoiselle* Flora przyjęła oświadczyzny kapitana, żeby zrobić przyjemność stryjowi i ponieważ w małżeństwie tym widziała możliwość ucieczki od tutejszego życia, które stało się dla niej nie do zniesienia. Lubiła kapitana, owszem, i między nimi było wiele wzajemnej sympatii i zrozumienia. Ale nie miłość. To nie kapitana Patona panna Flora kocha.

— A cóż, do diabła, ma pan znowu na myśli? — spytał Blunt. Pod opalenizną gwałtownie się zaczerwienił.

— Pan był ślepy, *monsieur*. Ślepy! Panna Flora jest lojalna, biedactwo. Ralf Paton jest w tarapatkach, więc honor każe jej przy nim wytrwać.

Doszedłem do wniosku, że i ja powinienem się przyłączyć do sprawy.

— Moja siostra powiedziała mi wczoraj wieczorem — odezwałem się zachęcająco — że Flora nigdy nie była zakochana w Ralfie Patonie i na pewno nigdy nie będzie. Karolina nie myli się w takich sprawach.

Blunt nie zwrócił uwagi na moje dobre chęci.

— Pan naprawdę myśli...? — zaczął i urwał, patrząc niepewnie na Poirota.

Blunt należy do owych mało wymownych typów, którym przez gardło nie mogą przejść delikatne sformułowania. Poirot zupełnie tego nie rozumie.

— Jeśli pan wątpi, proszę spytać jej samej, *monsieur*. Ale, być może, pan już nie dba...? Sprawa pieniędzy...

Blunt wydał dźwięk podobny do ryku zranionego zwierzęcia.

— Pan myśli, że ja mógłbym mieć o to do niej pretensję? Roger zawsze był dziwny, jeśli idzie o pieniądze. Flora wpakowała się w kabałę i bała mu się przyznać. Biedne dziecko, biedna samotna dziewczyna!

Poirot spoglądał w zamyśleniu na boczne drzwi.

— Wydaje mi się, że panna Flora poszła do ogrodu — mruknął.

— Byłem skończonym głupcem. Dziękuję panu bardzo — powiedział szybko Blunt. — Dziwna rozmowa. Jakby z Szekspira. Ale z pana swój chłop. Dziękuję.

Ujął rękę Poirota i ścisnął ją tak mocno, że ten aż się skręcił z bólu. Potem major szybkim krokiem wyszedł przez boczne drzwi do ogrodu.

— To nie skończony, to całkowity szaleniec — mruknął za nim Poirot, rozcierając dłoń. — To szaleniec w miłości.

Rozdział dwudziesty

Panna Russell

Inspektor Raglan doznał niemiłego wstrząsu. Nie oszukało go — podobnie jak i nas — rycerskie kłamstwo majora Blunta. Przez całą drogę do miasteczka skarżył się i biadał:

— To zmienia wszystko, prawda? Nie wiem, czy pan sobie z tego zdaje sprawę, panie Poirot?

— Tak, tak, zdaję sobie — odparł Poirot. — Bo widzi pan, inspektorze, ja od samego początku o czymś podobnym myślałem.

Inspektor Raglan, któremu myśl o tym zaświtała w głowie, i to z cudzą pomocą, dopiero pół godziny temu, spojrział niewyraźnie na Poirota i dalej rozwodził się nad swoim odkryciem:

— Teraz będzie historia z tymi alibi! Wszystkie nic niewarte. Diabła warte, można powiedzieć. Trzeba zacząć od początku, sprawdzić, co każdy robił od dziewiątej trzydzieści. Dziewiąta trzydzieści! Tego czasu musimy się już trzymać. Miał pan zupełną rację co do tego Kenta, lepiej go jeszcze nie zwalniamy. Zaraz, zaraz, o dziewiątej czterdzieści pięć był w gospodzie Pod Psem i Gwizdkiem. Jeżeli biegł, mógł się tam dostać w piętnaście minut. Być może to właśnie jego rozmowę z Rogerem Ackroydem słyszał pan Raymond. Kent żądał pieniędzy, a pan Ackroyd odmawiał. Ale jedno jest jasne, to nie on dzwonił ze stacji. Stacja jest o pół mili w przeciwnym kierunku, a Kent siedział w gospodzie do godziny dziesięć po dziesiątej. Niech diabli wezmą ten telefon! Zawsze musimy na tym utknąć.

— W istocie, to bardzo ciekawe — zgodził się Poirot. — Możliwe także, że to kapitan Paton wszedł przez okno do pokoju ojczyma. Zobaczył go nieżywego i uciekł, a po drodze zatelefonował ze stacji. Przestraszył się, że zostanie oskarżony o morderstwo, i zwiął. To możliwe, prawda?

— A po cóż by miał dzwonić?

— Może przypuszczał, że pan Ackroyd jeszcze żyje? Pomyślał sobie, że trzeba jak najprędzej sprowadzić lekarza, ale nie chciał przy tym zdradzać swojej obecności. Tak, tak mogło być. No, co pan powie o takiej teorii?

Inspektor dumnie wypiął pierś, tak zadowolony ze swojego wysiłku myślowego, że wszelkie wątpliwości z naszej strony potraktowałby lekceważąco.

Zatrzymałem samochód pod domem, pożegnałem się szybko i pośpieszyłem do gabinetu przyjęć, gdzie od dłuższego czasu czekało już na mnie kilku chorych. Poirot odprowadził inspektora na posterunek policji.

Załatwiwszy ostatniego pacjenta, poszedłem do małego pokoiku na tyłach domu. Nazywam go

moim warształem. Bardzo jestem dumny z aparatu radiowego, który sam zmajstrowałem. Karolina nie znosi tego miejsca. Trzymam tam wszystkie narzędzia i zabraniam wstępu Annie, która robi w domu wielki bałagan swoją miotełką i szczotką. Właśnie regulowałem mechanizm budzika, potępionego przez domowników jako przedmiot, na którym nie można polegać, kiedy otworzyły się drzwi i Karolina wsadziła głowę do środka.

— O, jesteś tu, James? — powiedziała z głębokim niezadowoleniem. — Pan Poirot chciał się z tobą widzieć.

— No to co? — odpowiedziałem nieco poirytowany, gdyż nagłe wejście Karoliny zaskoczyło mnie i wypuściłem z ręki maleńkie kółko. — Jeśli chce się ze mną zobaczyć, niech tu przyjdzie.

— Tutaj? — zdziwiła się Karolina.

— Przecież słyszałaś. Tutaj.

Karolina prychnęła z niezadowoleniem i wycofała się. Po chwili wróciła, prowadząc Poirota, i natychmiast wyszła, zatraskując z hałasem drzwi.

— A, mój przyjacielu! — odezwał się Poirot, podchodząc i zacierając dłonie. — Nie pozbył się pan mnie tak łatwo, tak?

— Skończył pan z inspektorem?

— Chwilowo. A pan, przyjacielu, załatwił już wszystkich pacjentów?

— Tak.

Poirot usiadł i spojrzał na mnie, przechylając na bok jajowatą głowę. Sprawiał wrażenie człowieka, który z zadowoleniem rozpamiętuje usłyszany przed chwilą wspaniały dowcip.

— Myli się pan — powiedział wreszcie. — Ma pan jeszcze jednego pacjenta.

— Chyba nie pana?! — wykrzyknąłem zdziwiony.

— Ach nie, nie mnie, *bien entendu!* Ja mam wspaniałe zdrowie. Nie, muszę się przyznać, to taki mój mały *complot**. Chcę z kimś porozmawiać, rozumie pan, a jednocześnie nie chcę, żeby całe miasteczko rozprawiało na ten temat. To by się zdarzyło, gdyby owa pani przyszła do mnie do domu. Ale u pana ona raz już była jako pacjentka.

— Panna Russell?! — zawołałem.

— *Precisement!* Bardzo chcę z nią porozmawiać, wysłałem więc do niej kartkę, wyznaczając spotkanie w pańskim gabinecie. Czy pan się na mnie bardzo gniewa?

— Ależ wprost przeciwnie — odparłem. — To znaczy, jeśli wolno mi będzie uczestniczyć w rozmowie.

— Naturalnie, drogi przyjacielu! Przecież to pana gabinet.

— Wie pan — powiedziałem, odrzucając szczypczyki, które dotychczas trzymałem w ręku — to nadzwyczaj intrygujące. Mam na myśli całą sprawę. Zupełnie jakby pan potrząsał kalejdoskopem. Następuje nowy rozwój wypadków; wszystko nabiera innego znaczenia. Czego pan się spodziewa po rozmowie z panną Russell?

Poirot podniósł brwi.

— Chyba to oczywiste? — mruknął.

— Znowu pan zaczyna! — odezwałem się z pretensją w głosie. — Pan uważa, że absolutnie wszystko jest oczywiste. A ja tymczasem krążę we mgle.

Na moje słowa Poirot się uśmiechnął.

— Pan się ze mnie śmieje, przyjacielu. Proszę wziąć na przykład sprawę panny Flory. Inspektor był zdziwiony, ale pan? Pan nie był wcale zdziwiony.

— Nawet mi przez głowę nie przeszło, że ona mogła ukraść pieniądze — zaprotestowałem.

— To może nie. Ale pilnie obserwowałem pańską twarz i w odróżnieniu od inspektora Raglana nie był pan wcale zaskoczony, kiedy się przyznała, że nie wchodziła do gabinetu.

Przez dłuższą chwilę zastanawiałem się nad słowami Poirota.

— Może i ma pan rację — odezwałem się wreszcie. — Cały czas czułem, że Flora coś ukrywa, więc kiedy w końcu prawda wyszła na jaw, byłem na nią podświadomie przygotowany. To rzeczywiście bardzo zmartwiło biednego Raglana, rozbiło mu wszystkie jego teorie.

— *A! Pour ça, oui!** Biedak musi teraz na nowo wszystko uporządkować. Skorzystałem z chwilowej słabości inspektora Raglana i skłoniłem go do wyrządzenia mi pewnej przysługi.

— Mianowicie jakiej?

Poirot wyjął z kieszeni kartkę i odczytał mi na głos jej treść:

— Od paru dni policja poszukiwała kapitana Ralfa Patona, adoptowanego syna Rogera Ackroyda z Femly Park, którego śmierć nastąpiła w tragicznych okolicznościach w zeszły piątek. Kapitan Paton został zatrzymany w Liverpoolu, kiedy wsiadał na okręt udający się do Stanów Zjednoczonych.

Poirot schował kartkę.

— Jutro ta wiadomość ukaże się w lokalnej gazecie. Patrzyłem na niego zaskoczony.

— Ale przecież...? Przecież to nieprawda. Paton nie jest w Liverpoolu!

Poirot promieniał.

— Pan jest bardzo inteligentny, mój przyjacielu. Nie, kapitana Patona nie zatrzymano w Liverpoolu. Inspektor Raglan nie chciał się zgodzić na wysłanie przeze mnie tej wiadomości do gazety, zwłaszcza że nie mogłem go wtajemniczyć w cel mojego eksperymentu. Ale jak najuroczyściej zapewniłem inspektora, że pojawienie się tej wiadomości wywoła bardzo ciekawe skutki, więc wreszcie uległ, zastrzegając, że nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności. — Poirot dalej się uśmiechał.

— Poddaję się — powiedziałem wreszcie. — Nic nie rozumiem. Co pan chce przez to osiągnąć?

— Powinien pan używać szarych komórek — odparł poważnie. Wstał i podszedł do mojego stołu roboczego. — Pan ma zdolności do majsterkowania — zauważył, obejrzawszy narzędzia i części rozmaitych mechanizmów.

Każdy człowiek ma jakąś pasję. Moją była praca w warsztacie. Natychmiast zwróciłem uwagę Poirota na zrobione przeze mnie radio. Widząc, że go to interesuje, pochwaliłem się też paroma własnymi wynalazkami — rzeczami drobnymi, ale bardzo przydatnymi w domu.

— Stanowczo powinien pan być konstruktorem, a nie lekarzem — zdecydował Poirot. — Ale oto słyszę dzwonek, nasza pacjentka. Chodźmy do gabinetu.

Już raz przedtem uderzyły mnie ślady urody w twarzy gospodyni. Obecnie stwierdziłem to po raz wtóry. Panna Russell ubrana była skromnie; miała na sobie czarną sukienkę, trzymała się prosto, co jeszcze bardziej podkreślało jej wzrost i pewność siebie. Błądą twarz zabarwiały rzadkie u niej rumieńce, wielkie, ciemne oczy były mocno podkrążone. Niegdyś musiała to być nadzwyczaj piękna dziewczyna.

— Dzień dobry, *mademoiselle!* — powitał ją Poirot. — Proszę łaskawie usiąść. Doktor Sheppard był tak niezmiernie dobry, że użyczył mi swego gabinetu na tę rozmowę, którą bardzo chciałem z panią przeprowadzić.

Panna Russell usiadła, spokojna i opanowana. Jeśli nawet odczuwała jakieś podniecenie, to nie ujawniało się ono w jej zachowaniu.

— Dziwne miejsce na prowadzenie rozmowy, jeśli pozwoli pan zauważyć — powiedziała.

— Panno Russell, mam dla pani wiadomość.

— Czyżby?

— Charles Kent został aresztowany w Liverpoolu. Twarz kobiety nie drgnęła. Panna Russell otworzyła tylko nieco szerzej oczy i spytała trochę wyzywająco:

— Więc co z tego?

Uderzyło mnie nagle owo podobieństwo, którym dręczyłem się przez cały czas: to samo

wyzywające spojrzenie, ten sam ton co u Charlesa Kenta. I głosy obojga, jeden chrapliwy, drugi opanowany, zdradzały dziwne podobieństwo barwy. Tak, twarz i głos panny Russell obudziły we mnie skojarzenie z nieznanym mężczyzną, którego spotkałem owego wieczoru przed bramą Fernly Park.

Byłem bardzo poruszony tym odkryciem. Rzuciłem okiem na Poirota, a on ledwo dostrzegalnie skinął głową i następnie, odpowiadając pannie Russell, podniósł w górę ręce typowo francuskim gestem.

— Myślałem, że panią to zainteresuje, nic więcej — odparł łagodnie.

— Teraz pan wie, że niespecjalnie. A któż to jest ten Charles Kent, jeśli można wiedzieć?

— Mężczyzna, który był w Fernly w wieczór morderstwa.

— Naprawdę?

— Na szczęście ma alibi. O godzinie za piętnaście dziesiąta znajdował się w gospodzie o milę od Fernly.

— I bardzo dla niego szczęśliwie.

— Ale w dalszym ciągu nie wiemy, czego szukał w Fernly. Z kim się widział, na przykład?

— Obawiam się, że nie będę mogła panu w tym pomóc — odparła grzecznie gospodyni. — Do moich uszu nic nie doszło. Jeśli to wszystko...

Chciała wstać. Poirot ją zatrzymał.

— To jeszcze nie wszystko — powiedział swobodnie.

— Dziś rano nastąpił nowy zwrot w sprawie. Można obecnie przypuszczać, że pan Ackroyd został zamordowany nie o godzinie za kwadrans dziesiąta, ale wcześniej. Między godziną za dziesięć dziesiątą, kiedy wyszedł doktor Sheppard, a dziewiątą czterdzieści pięć.

Spostrzegłem, że gospodyni straciła rumieńce. Jej twarz zbieleła jak chusta. Pochyliła się do przodu, jakby traciła przytomność.

— Ale panna Ackroyd mówiła, panna Ackroyd mówiła, że...?

— Panna Ackroyd przyznała się do kłamstwa. Tego wieczoru nie wchodziła wcale do gabinetu.

— No to...?

— No to z tego wynika, że Charles Kent jest człowiekiem, którego poszukujemy. Był w Fernly, nie chce powiedzieć, co tam robił...

— Mogę panu powiedzieć, co tam robił. Nie dotknął nawet włosa z głowy pana Ackroyda! Nie zbliżał się do gabinetu! On tego nie zrobił, mówię panu!

Była ciągle pochylona do przodu. Wreszcie opuściło ją żelazne opanowanie, a w jej oczach pojawił się wyraz strachu i rozpacz.

— Panie Poirot, panie Poirot, niech pan mi wierzy! Poirot wstał i podszedł do niej. Poklepał ją serdecznie po ramieniu.

— Ależ tak, tak, wierzę pani. Tylko musiałem wydobyć z pani prawdę.

Przez chwilę patrzyła trochę podejrzliwie.

— Czy to, co pan przedtem mówił, to prawda?

— Że Charles Kent jest podejrzewany o popełnienie tej zbrodni? Tak, to prawda. Tylko pani go może ocalić, mówiąc całą prawdę o celu jego wizyty w Fernly.

— Przyszedł zobaczyć się ze mną. — Panna Russell mówiła szybko cichym głosem. — Wyszłam się z nim spotkać...

— W pawiloniku, wiem.

— Skąd pan wie?

— *Mademoiselle*, rzeczą Herkulesa Poirota jest wszystko wiedzieć. Wiem, że pani wyszła przed kolacją i że pozostawiła pani w pawiloniku kartkę, w której pani wyznaczyła spotkanie na późniejszą godzinę.

— Tak, to prawda. Miałam od Charlesa list, w którym pisał, że się do mnie wybiera. Obawiałam się przyjąć go w domu. Odpisałam na podany adres i umówiłam się w letnim pawiloniku. Opisałam dokładnie, jak do niego trafić. Potem się przestraszyłam, że może nie będzie chciał czekać spokojnie, że się zniecierpliwi, i dlatego wybiegłam i zostawiłam kartkę, że przyjdę dziesięć po dziewiątej. Nie chciałam, by mnie służba widziała, więc wyszłam przez okno salonu. Kiedy wracałam, natknęłam się na doktora Shepparda i pomyślałam sobie, że on będzie to uważał za dziwne. Byłam zdyszana. Nie miałam pojęcia, że doktor Sheppard został zaproszony na kolację. Zamilkła.

— Proszę mówić dalej — powiedział Poirot. — Potem wyszła pani na spotkanie o dziewiątej dziesięć. No i jaka była treść rozmowy?

— Bardzo mi trudno o tym mówić, bo wie pan...

— *Mademoiselle* — przerwał jej Poirot — w takich okolicznościach trzeba powiedzieć całą prawdę. — To, co pani nam powie, nie wyjdzie poza te cztery ściany, doktor Sheppard zachowa dyskrecję, ja także. Ja pani zresztą pomogę: ten Charles Kent to pani syn, tak?

Skinęła głową, policzki jej pokryły się rumieńcem.

— Nikt o tym nie wie. To było bardzo dawno temu, dawno, w Kent. Byłam panną...

— I dlatego jako nazwisko nadała mu pani nazwę hrabstwa, rozumiem.

— Dostałam pracę. Mogłam go utrzymać. Nigdy mu nie powiedziałam, że jestem jego matką. Wyrósł z niego zły człowiek. Zaczął pić, potem stał się narkomanem. Z zaoszczędzonych pieniędzy kupiłam mu przejazd do Kanady. Przez parę lat nie miałam od niego żadnych wiadomości. Potem jakoś dowiedział się, że jestem jego matką. Napisał o pieniądze. Wreszcie wrócił do Anglii. Zawiadomił, że odwiedzi mnie w Fernly. Bałam się przyjąć go w domu. Zawsze byłam uważana za... za osobę godną szacunku. Gdyby ktoś się czegoś domyślił, koniec z moją pracą gospodyni. Więc napisałam do niego list, o którym już panu powiedziałam.

— I rano przyszła pani do doktora Shepparda?

— Chciałam wiedzieć, czy można coś tu poradzić. To nie był zły chłopak, póki nie zaczął z narkotykami.

— Rozumiem — powiedział Poirot. — No, niech pani mówi teraz dalej. Przyszedł wieczorem do pawiloniku, tak?

— Tak. Czekał już na mnie. Zachowywał się ordynarnie i wymyślał mi. Przyniosłam ze sobą wszystkie pieniądze, jakie miałam, i dałam mu. Chwilę jeszcze rozmawialiśmy, a potem on sobie poszedł.

— Która to była godzina?

— Dziewięta dwadzieścia albo dwadzieścia pięć. Brakowało jeszcze paru minut do wpół do dziesiątej, kiedy wróciłam do domu.

— Jaką drogą odszedł?

— Tą samą, którą przyszedł. Alejką łączącą się z głównym podjazdem tuż koło bramy.

Poirot skinął głową.

— No, a co pani zrobiła potem?

— Wróciłam do domu. Po tarasie spacerował major Blunt, paląc papierosa, obeszłam więc dom i skorzystałam z kuchennych drzwi. Akurat zbliżała się godzina wpół do dziesiątej, jak już panu mówiłam.

Poirot powtórnie skinął głową i coś sobie zapisał w małym notesiku.

— To chyba wszystko — powiedział po namyśle.

— Czy powinnam... — panna Russell zawahała się — czy powinnam powtórzyć wszystko inspektorowi Raglanowi?

— Może będzie trzeba, ale się nie śpieszmy. Idźmy powoli, zachowując porządek. Metoda, metoda! Charlesa Kenta jeszcze nikt oficjalnie nie oskarżył o zbrodnię. Mogą nastąpić wypadki, po których pani wyznanie okaże się zbędne.

Panna Russell wstała.

— Dziękuję panu bardzo, panie Poirot — powiedziała. — Pan jest bardzo dobry! Pan mi wierzy, prawda? Wierzy mi pan, że Charles nic nie miał wspólnego z zamordowaniem pana Ackroyda?

— Nie ma wątpliwości, *mademoiselle*, że człowiek, który rozmawiał z panem Ackroydem w gabinecie o godzinie dziewiątej trzydzieści, nie mógł być pani synem. Odwagi, *mademoiselle*! Wszystko skończy się jak najlepiej.

Panna Russell wyszła. Zostałem z Poirotem.

— A więc tak! — zacząłem. — I za każdym razem wracamy do Ralfa Patona. W jaki sposób udało się panu stwierdzić, że Charles Kent odwiedził właśnie pannę Russell? Zauważył pan podobieństwo?

— Już od dłuższego czasu łączyłem ją z owym nieznanym. Długo przedtem, nim go zobaczyłem na oczy. Jak tylko znalazłem to piórko. Ono podsuwało myśl o narkotykach; przypomniałem sobie wtedy pana opowiadanie o wizycie panny Russell. No i w tamtej gazecie natknąłem się na artykuł o kokainie. Cała sprawa wydała się jasna. Panna Russell otrzymała rano wiadomość od kogoś, kto zażywał narkotyki, czytała artykuł w gazecie i przyszła do pana wyjaśnić kilka wątpliwości. Wspomniała w rozmowie kokainę, ponieważ artykuł dotyczył kokainy. Potem, kiedy zobaczyła, że jest pan zbyt zainteresowany, zmieniła nagle temat, zaczęła pytać o niewykrywalne trucizny i mówić o powieściach kryminalnych. Podejrzywałem, że chodzi o syna albo brata, albo jakąś inną czarną owcę rodziny. No, ale już muszę iść. Czas na obiad.

— Proszę zjeść z nami — zaproponowałem. Poirot pokręcił głową. W oczach zabłysł mu ogień.

— Dziś nie. Nie chciałbym przez dwa dni z rzędu zmuszać panny Karoliny do jarskiej kuchni.

Pomyślałem sobie, że niewiele uchodzi oczom i uszom Herkulesa Poirota.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Notatka w gazecie

Rzecz jasna, iż Karolina wiedziała już o wizycie panny Russell, mimo że ta przyszła wejściem dla pacjentów. Przewidziałem to i przygotowałem zawczasu skomplikowany opis stanu kolana gospodyni, jednak Karolina nie miała nawet zamiaru mnie przesłuchiwać. Wyraziła zresztą opinię, że wie, po co przyszła panna Russell, ja natomiast nie mam o tym pojęcia.

— Wyciągnąć z ciebie wiadomości, James! — powiedziała moja siostra. — Tak, mój drogi, w najbardziej bezwstydnym sposób wyciągnąć z ciebie wiadomości. Po to przyszła. Nie mam wątpliwości. Nie przerywaj mi. Ja wiem, żeś ty nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co ona robi. Mężczyźni są tacy naiwni. Ona wie, że cieszysz się zaufaniem pana Poirota, i przyszła dowiedzieć się tego i owego. Wiesz, co ja myślę, James?

— Nawet sobie nie wyobrażam. Myślisz zawsze o tylu nadzwyczajnych rzeczach!

— Twoja złośliwość na nic się nie zda, James. Myślę, że panna Russell wie więcej o okolicznościach śmierci pana Ackroyda, niż jest gotowa wyznać.

Karolina rozparła się triumfalnie w krzesło.

— Naprawdę tak uważasz? — spytałem z roztargnieniem.

— Jesteś dzisiaj jakiś otępiały, James. Nie masz w sobie ani trochę życia. Czy to twoja wątroba?

Nasza rozmowa przeszła na ściśle osobiste tematy. Notatka napisana przez Poirota ukazała się w lokalnej prasie następnego ranka. Celu jej nie mogłem nadal zgłębić, jednakże podziałała ona silnie na wyobraźnię Karoliny.

Oświadczyła jak najbardziej fałszywie, że od początku twierdziła to samo. Podniosłem brwi, ale nie chciało mi się sprzeczać. Karolinę z pewnością musiało ugryźć w tej chwili sumienie, ponieważ szybko dokończyła:

— Może nie wspomniałam o Liverpoolu, ale od samego początku wiedziałam, że Ralf Paton będzie usiłował zbiec do Ameryki. Tak samo jak ów morderca Crippen.

— Bez wielkiego powodzenia — przypomniałem.

— Biedny chłopiec, a więc go złapali! Uważam, James, że masz obowiązek bronić go przed powieszeniem.

— Cóż według ciebie powinienem zrobić?

— Jak to co? Przecież jesteś lekarzem, prawda? Znasz go od dziecka. Oświadczysz, że Ralf jest umyślowo chory. Jasne, że narzuca się taka linia postępowania. Niedawno czytałam, że pacjenci w Broadmoor żyją sobie bardzo szczęśliwie, jak w jakimś szykownym klubie.

Słowa Karoliny przypomniały mi o czymś.

— Nie wiedziałem, że Poirot ma siostrzeńca idiotę — rzuciłem od niechcienia.

— Nie wiedziałeś? Ooo! Poirot sam mi o tym opowiadał. Biedny chłopak! To wielka tragedia dla całej rodziny. Dotychczas trzymali go w domu, ale biedak wpada obecnie w takie stany, że niestety będą musieli umieścić go w jakimś sanatorium.

— Przypuszczam, że teraz wiesz już wszystko, co można wiedzieć, o rodzime Poirota — powiedziałem zrozpaczony wścibstwem siostry.

— Sporo — przyznała Karolina kompromisowo. — Niektórzy ludzie odczuwają wielką ulgę, gdy mogą się z kimś podzielić swoimi kłopotami.

— Być może. Jeśli czynią to z własnej woli — odparłem. — Jednakże wątpię, czy również lubią, gdy wydziera się z nich informacje siłą.

Karolina spojrzała na mnie wzrokiem chrześcijańskiego męczennika, z rozkoszą znoszącego tortury.

— Jesteś zamknięty w sobie, James — orzekła. — Nie znosisz się zwierzać, nie potrafisz z nikim podzielić się tym, co wiesz, i uważasz, że każdy powinien być taki sam. Ja nigdy z nikogo nie wyciągam siłą informacji. Jeśli na przykład pan Poirot przyjdzie dziś po południu, a powiedział, że może przyjdzie, to ani mi w głowie będzie pytać, kto to dziś rano przyjechał do niego do domu.

— Dziś rano? — spytałem.

— Bardzo rano — odpowiedziała Karolina. — Jeszcze przed mleczarzem. Akurat patrzyłam na okno i okiennica odchyliła się na wietrze. Ten ktoś przyjechał zamkniętym samochodem i sam był cały zasłonięty po czubek nosa. Na pewno mężczyzna. Nie dojrzałam twarzy. Ale ci powiem, co myślę, i musisz przyznać mi rację.

— No, co myślisz?

Karolina ściszyła głos w tajemniczym szepcie:

— Ekspert z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w sprawie ekshumacji.

— Ekspert z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych! — wykrzyknąłem zdziwiony. — Moja droga Karolino!

— Zapamiętaj sobie moje słowa, James, przekonasz się, że miałam rację. Ta panna Russell przysłała tu wtedy dowiadywać się o trucizny. Roger Ackroyd równie dobrze mógł zostać otruty przy

kolacji.

Głośno się roześmiałem.

— Bzdura! — wykrzyknąłem. — Rogera Ackroyda zamordowano sztyletem. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

— Już po śmierci — wyjaśniła Karolina. — Żeby zmylić ślady.

— Moja kochana — odparłem. — Przeprowadziłem badanie ciała i wiem, co mówię. Tej rany nie zadano po śmierci. Ta rana spowodowała śmierć i nie opowiadaj takich śmiesznych rzeczy.

Karolina patrzyła na mnie w milczeniu, wyraźnie dając do zrozumienia, że wie swoje. To mnie sprowokowało do dalszych słów:

— Może mi łaskawie powiesz, Karolino, mam dyplom lekarski czy nie?

— Masz dyplom, przyznaję, James, to znaczy, wiem, że masz. Ale zupełnie brak ci wyobraźni.

— Ponieważ ciebie obdarzono potrójną porcją, dla mnie już zabrakło — odparłem ze złością.

Kiedy po południu przyszedł do nas Poirot, rozbawiły mnie manewry Karoliny. Moja siostra, nie zadając bezpośredniego pytania, próbowała w każdy możliwy sposób naprowadzić rozmowę na temat tajemniczego gościa w sąsiedztwie. Z błysku w oczach Poirota poznałem, że to widział. Jednakże pozostawał niedomyślny i z takim powodzeniem krzyżował wszelkie wysiłki Karoliny, że biedaczka nie wiedziała wreszcie, do jakiej metody się uciec.

Gdy już nacieszyli się tą zabawą w kotka i myszkę, wstał i zaproponował spacer.

— Muszę trochę schudnąć — wyjaśnił. — Przejdzie się pan ze mną, doktorze? A potem może panna Karolina zaprosi nas na herbatę, tak?

— Będę zachwycona — odparła Karolina. — Czy pański... ten... gość także przyjdzie?

— Jest pani niesłuchanie uprzejma — podziękował Poirot. — Nie, mój przyjaciel odpoczywa. Wkrótce musi pani poznać, tak?

— Podobno to pański stary przyjaciel, jak mi mówiono?

— Uczyniła Karolina ostatni bohaterski wysiłek.

— Tak mówiono? — zapytał grzecznie Poirot. — No, idziemy, doktorze.

Spacer zaprowadził nas w pobliże Fernly Park. Już przedtem odgadłem, że Poirot to właśnie ma na celu. Zaczynałem rozumieć jego metodę. Każdy drobny szczegół miał wpływ na całość.

— Mam dla pana zadanie, przyjacielu — powiedział wreszcie. — Dziś wieczorem chcę zrobić w

moim domu małe zebranko. Pan przyjdzie, tak?

— Naturalnie — odparłem.

— Dobrze. Chcę również, żeby przyszli wszyscy z Fernly Park. To znaczy pani Ackroyd, *mademoiselle* Flora, major Blunt, pan Raymond. Niech pan będzie moim ambasadorem. To zebranie wyznaczyłem na dziewiątą. Pan ich poprosi, tak?

— Z przyjemnością. Ale dlaczego nie chce pan zaprosić ich osobiście?

— Bo wtedy zaczną się dziwić. Dlaczego? Po co? Zaczną pytać, o co mi chodzi, jaki mam pomysł. A pan wie, przyjacielu, że ja bardzo nie lubię wyjaśniać moich małych pomysłów przed czasem.

Uśmiechnąłem się lekko.

— Mój przyjaciel Hastings, o którym panu mówiłem — ciągnął Poirot — zawsze mi przygadywał, że jestem podobny do ostrzygi. Taki zamknięty. Ale niesprawiedliwie to mówił. Żadnych faktów nie zatrzymuję dla siebie. Ale interpretację faktów, ooo! Niech każdy robi sobie sam.

— Kiedy mam ich zaprosić? — spytałem.

— Teraz, jeśli pan taki dobry. Jesteśmy koło domu.

— Pan nie wejdzie?

— Ja nie, przejdę się po parku. Za kwadrans spotkamy się przy bramie.

Skinąłem głową i poszedłem wykonać prośbę Poirota.

Jedyną osobą, którą zastałem, była pani Ackroyd. Piła właśnie herbatę i przyjęła mnie niesłuchanie uprzejmie.

— Ach, jakże jestem panu wdzięczna, doktorze — wykrzyknęła — że załatwił pan tę drobną sprawę z panem Poirotem. Och, ale życie pełne jest ciągle nowych kłopotów! Słyszał pan naturalnie o Florze?

— Mianowicie o czym? — spytałem ostrożnie.

— Te nowe zaręczyny. Flora i Hektor Blunt. To naturalnie mniej korzystny związek niż z Ralfem. Jednakże szczęście przede wszystkim! Flora potrzebuje właśnie starszego człowieka, kogoś, na kim mogłaby polegać, no a poza tym Hektor jest w swoim rodzaju znakomitością. Czytał pan w porannej gazecie o aresztowaniu Ralfa?

— Tak, czytałem.

— Straszne! — Pani Ackroyd zamknęła oczy i wzdrygnęła się. — Geoffrey Raymond okropnie się przejął. Dzwonił nawet do Liverpoolu, ale policja nie chciała mu nic powiedzieć. A właściwie

powiedzieli, że Ralf nie jest wcale aresztowany. Raymond twierdzi, że to wszystko omyłka, że to, jak to się nazywa, kaczką dziennikarską. Zabroniłam mówić o tym służbie. Taka straszna hańba! Co by to było, gdyby Flora wzięła z nim ślub?

Pani Ackroyd zamknęła oczy w gorzkich rozmyślaniach. Zastanawiałem się, kiedy wreszcie uda mi się powtórzyć zaproszenie Poirota. Nim jednak zdążyłem się odezwać, pani Ackroyd znowu zaczęła:

— Był pan tutaj wczoraj, prawda, z tym okropnym inspektorem Raglanem? Brutal, sterroryzował Florę, by powiedziała, że wzięła pieniądze z pokoju Rogera. A cała sprawa jest taka prosta! Biedne dziecko musiało pożyczyć kilka funtów i nie chciało przeszkadzać stryjowi, ponieważ tego surowo zakazał. Ale Flora wiedziała, gdzie Roger trzyma pieniądze, i poszła sobie pożyczyć.

— Tak mówi Flora? — spytałem.

— Drogi doktorze, pan wie, jakie są dzisiaj dziewczęta. Jak łatwo wymusić na nich zeznanie. Pan wie naturalnie o hipnozie i takich różnych rzeczach. Inspektor zaczął na nią krzyczeć, powtórzył tyle razy słowo „kradzież”, że biedne dziecko dostało idiosynkrazji — czy też nazywa się to kompleks? Zawsze mi się te dwa słowa mieszają. No i Flora naprawdę zaczęła wierzyć, że ukradła pieniądze. Od razu zrozumiałam, co w trawie piszczy. Ale jestem bardzo zadowolona, że z tego nieporozumienia wyszła jedna dobra rzecz. To ich zbliżyło. Znaczy Florę i Hektora. Zapewniam pana, doktorze, że ostatnio bardzo się martwiłam o Florę. Był nawet czas, kiedy sobie myślałam, że ona i ten Raymond mają się ku sobie. Niech pan tylko pomyśli! — głos pani Ackroyd zabrzmiał oburzeniem — jakiś sekretarzyna bez pieniędzy!

— Tak, to byłby dla pani wielki cios — odparłem. — Proszę pani, przynoszę zaproszenie od pana Poirota.

— Dla mnie? — Pani Ackroyd wyraźnie się zaniepokoiła. W kilku słowach wyjaśniłem, o co chodzi detektywowi.

— Ależ naturalnie — odrzekła bardzo niepewnym głosem. — Tak, chyba będziemy musieli przyjść, skoro pan Poirot prosi. Ale w jakim celu? Chciałabym przedtem wiedzieć.

Z głębokim przekonaniem zapewniłem ją, że sam nie wiem nic ponad to, co jej powiedziałem.

— No, trudno — rzekła niechętnie. — Powtórzę pozostałym. Przyjdziemy o dziewiątej.

Pożegnałem się szybko i poszedłem na miejsce spotkania z Poirotem.

— Obawiam się, że zabawiłem dłużej niż piętnaście minut — zauważyłem. — Ale kiedy pani Ackroyd raz zacznie mówić, nie można już wtrącić słowa nawet siłą.

— To zupełnie nieważne — odparł Poirot. — Ja dobrze się bawiłem. Park jest wspaniały.

Ruszyliśmy z powrotem do miasteczka. Kiedy wróciliśmy do domu, Karolina, która najwidoczniej wyglądała przez okno, sama otworzyła nam drzwi.

Położyła palec na ustach, jej twarz wyrażała podniecenie.

— Urszula Bourne — szepnęła. — Pokojówka z Fernly. Jest tutaj. Zostawiłam ją w stołowym. Strasznie zrozpaczona. Mówi, że musi natychmiast widzieć się z panem Poirotem. Robiłam, co mogłam. Zaniiosłam jej filiżankę herbaty. Serce się człowiekowi kraje, kiedy widzi kogoś w takim stanie.

— W stołowym? — spytał Poirot.

— Tędy — powiedziałem i otworzyłem szeroko drzwi. Urszula Bourne siedziała przy stole. Ręce złożyła przed sobą i najwidoczniej przed chwilą uniosła z nich głowę. Oczy jej były czerwone od płaczu.

— Urszula Bourne — mruknąłem.

Ale Poirot z wyciągniętymi ramionami przeszedł szybko koło mnie.

— Nie — powiedział. — Nie Bourne. Prawda, że nie Urszula Bourne, tylko Urszula Paton, moje dziecko? Pani Ralfowa Paton.

Rozdział dwudziesty drugi

Opowieść Urszuli

Przez sekundę dziewczyna patrzyła martwo na Poirota, potem straciła resztę panowania nad sobą i potwierdzając jego słowa ruchem głowy, wybuchnęła wielkim szlochem.

Karolina przepchnęła się koło mnie i objąwszy Urszulę, klepała ją po ramieniu.

— Spokojnie, spokojnie, moja droga — mówiła łagodnie. — Wszystko będzie w porządku. Zobaczysz, wszystko będzie w porządku.

Pod zamięłowaniem do intryg i nieposkromioną ciekawością w sercu Karoliny kryje się wiele dobroci. Podniecenie i zdumienie wywołane słowami Poirota utonęło na chwilę w litości dla zrozpaczonej dziewczyny.

Wreszcie Urszula podniosła głowę i wytarła oczy.

— Ja wiem, że to strasznie głupio z mojej strony — wyrzekła.

— Nie, nie, moje dziecko — odparł miękko Poirot. — Zdajemy sobie sprawę z pani przeżyć w ciągu tego tygodnia.

— To musiało być piekło — powiedziałem.

— I na końcu przekonać się, że pan wszystko wie! — ciągnęła dziewczyna. — Skąd się pan dowiedział? Od Ralfa?

Poirot potrząsnął głową.

— Pan się domyśla, co mnie tu dzisiaj sprowadziło? — mówiła dalej. — To...

Wyciągnęła zmięty kawałek gazety. Rozpoznałem wiadomość podaną prasie przez Poirota.

— Piszą, że Ralf jest aresztowany. A więc wszystko na nic, nie muszę już dalej ukrywać swojego nazwiska.

— Wiadomości w gazetach nie zawsze okazują się prawdziwe, *mademoiselle*. — Poirot miał na tyle wstydu, że wyraźnie okazywał skruchę. — Tak czy inaczej, dobrze jednak będzie oczyścić sobie sumienie, powiedzieć wszystko, tak? Dążymy do prawdy.

Dziewczyna zawahała się i spojrzała niepewnie na detektywa.

— Pani mi nie ufa — odezwał się spokojnie Poirot. — A mimo to przyszła pani tutaj właśnie do

mnie, tak? Po co pani przyszła?

— Ponieważ nie wierzę, że to zrobił Ralf — powiedziała bardzo cicho. — Ale wierzę, że pan jest bardzo mądry i odkryje prawdziwego sprawcę. I że pan...

— Tak?

— Że pan jest bardzo dobry. Poirot długo kiwał głową.

— Jestem zadowolony, tak, jestem zadowolony. Niech pani posłucha, ja nie wierzę w winę pani męża, ale rozwiązanie zagadki źle się posuwa. Jeśli mam go ocalić, muszę wiedzieć wszystko, zupełnie wszystko, nawet jeśli to, czego się dowiem, zdawałoby się przemawiać przeciwko niemu.

— Jak dobrze pan rozumie — powiedziała Urszula.

— A więc opowie mi pani wszystko, tak? Od samego początku.

— Mam nadzieję, że nie każe mi pan wyjść z pokoju — powiedziała Karolina, lokując się wygodnie w głębokim fotelu. — Chciałabym wiedzieć jedno. Dlaczego ta mała maskowała się jako pokojówka?

— Maskowała? — zdziwiłem się.

— Przecież słyszałeś. Dlaczegoś to zrobiła, dziecko? Czy to był zakład?

— Żeby zarobić na życie — odparła Urszula chłodno. Zachęcona, rozpoczęła opowieść, którą streszczam poniżej własnymi słowami:

Urszula Bourne pochodziła ze zbiedniałej dobrej rodziny irlandzkiej. Było ich siedmioro rodzeństwa. Po śmierci ojca większość dziewcząt porozjeżdżała się po świecie, aby zarabiać na życie. Najstarsza siostra Urszuli wyszła za mąż za kapitana Folliota. Ją właśnie poznałem owej niedzieli. Teraz dopiero zrozumiałem jej dziwne zachowanie. Urszula postanowiła utrzymać się o własnych siłach, a ponieważ mierzył ją zawód guwernantki — jedyny zawód otwarty dla niewykwalfikowanej dziewczyny — wybrała pracę pokojówki. Referencje otrzymała od własnej siostry. W Fernly trzymała się z daleka od reszty służby, co wywoływało rozmaite komentarze, ale spisywała się dobrze, była szybka, chętna i dokładna.

— Ta praca dawała mi zadowolenie — wyjaśniła. — I nawet miałam wiele czasu dla siebie.

A potem przyszło spotkanie z Ralfem Patonem i romans uwieńczony zawartym w tajemnicy małżeństwem. Ralf ją do tego namówił. Urszula była temu niechętna. Ale Ralf wyjaśnił, że jego ojczym nie będzie chciał słyszeć o małżeństwie z biedną dziewczyną. Lepiej więc pobrać się w tajemnicy, a po pewnym czasie, w sprzyjającej chwili, postawić ojczyma przed faktem dokonanym.

Tak więc wzięli ślub i Urszula Bourne została Urszulą Paton. Ralf oświadczył, że ma zamiar spłacić długi, znaleźć pracę, a kiedy będzie już mógł utrzymać żonę i uniezależnić się od ojczyma, oznajmi mu o małżeństwie.

Ale ludziom pokroju Ralfa łatwiej jest mówić, niż słowa wprowadzać w czyn. Ralf miał nadzieję, że ojczym, niczego jeszcze nieświadomy, da się namówić na spłacenie długów przybranego syna. To postawiłoby Ralfa na nogi. Jednakże kiedy Roger Ackroyd dowiedział się o wysokości tych długów, wpadł we wściekłość i oświadczył, że nie da ani pensa. Minęło kilka miesięcy i Ralf został wezwany do Fernly. Roger Ackroyd nie owijał sprawy w bawełnę: było jego gorącym pragnieniem, by Ralf poślubił Florę, o czym też bez zwłoki powiadomił młodego człowieka.

I tu właśnie wyszedł na wierzch słaby charakter Ralfa Patona. Jak zwykle, poszedł po linii najmniejszego oporu. Jeśli dobrze zrozumiałem, to ani Flora, ani Ralf nie udawali, że się kochają. Oboje widzieli w tym kontrakt handlowy. Roger Ackroyd podyktował swoje życzenie, oni się na nie zgodzili. Flora uchwyciła się szansy zdobycia wolności, pieniędzy, nowych horyzontów. Ralf, rzecz jasna, prowadził zupełnie inną grę. Znajdował się w krytycznej sytuacji finansowej. Przyjął propozycję ojczyma: jego długi zostaną spłacone. Mógłby wtedy rozpocząć nowy rozdział życia. Nie należał do ludzi, którzy plastycznie potrafią sobie wyobrazić przyszłość, ale sądzę, że przewidywał zerwanie zaręczyn z Florą, kiedy upłynie pewien przyzwoity okres. I on, i Flora umówili się, że chwilowo całą sprawę będą trzymali w tajemnicy. Zwłaszcza Ralfowi zależało na utrzymaniu jej w tajemnicy przed Urszulą. Podświadomie czuł, że ta zdecydowana i reżolutna dziewczyna, która z zasady nienawidziła wszelkich wybiegów, zbuntuje się przeciwko podobnym kombinacjom.

Potem nadeszła kulminacyjna chwila, kiedy Roger Ackroyd, jak zawsze despotyczny, postanowił publicznie ogłosić zaręczyny. Nie powiedział o tym słowa Ralfowi, wspomniął tylko Florze. Flora, zupełnie na to obojętna, nie wniosła żadnych zastrzeżeń. Na Urszulę wiadomość ta spadła jak grom. Wezwany przez nią Ralf przyjechał natychmiast z Londynu. Spotkali się w lesie, gdzie część ich rozmowy została podsłuchana przez moją siostrę. Ralf błagał Urszulę, by jeszcze przez pewien czas czekali spokojnie. Urszula była zdecydowana skończyć raz na zawsze z tym oszukiwaniem. Chciała, nie zwlekając, powiedzieć panu Ackroydowi całą prawdę. Mąż i żona rozstali się bardzo rozgoryczeni i pogniewani na siebie.

Urszula nie zmieniła decyzji i tego samego popołudnia rozmówiła się z Rogerem Ackroydem i wszystko mu wyznała. Rozmowa miała przebieg bardzo burzliwy — być może doszłoby do jeszcze większej awantury, gdyby Roger Ackroyd nie był już wówczas pogrążony w swoich kłopotach. Jednakże i tak nie obyło się bez dramatycznych momentów. Ackroyd nie należał do ludzi, którzy łatwo wybaczą podobne rzeczy. Złość kierował przede wszystkim na Ralfa, ale i Urszuli dostała się odpowiednia porcja — potraktował ją jak dziewczynę, która z premedytacją usidliła adoptowanego syna bogatego człowieka. Obydwoje stracili panowanie nad sobą i po obu stronach padły obraźliwe słowa.

Tego samego wieczoru, o umówionej godzinie, Urszula spotkała się w pawiloniku z Ralfem. Z domu wyszła kuchennymi drzwiami. Na rozmowę małżonków złożyły się głównie wzajemne wyrzuty. Ralf oskarżył Urszulę, że jej nie w porę uczynione wyznanie bezpowrotnie zniweczyło jego szansę na spłatę długów. Urszula miała do Ralfa żal o dwulicowość.

Wreszcie się pożegnali. Mniej więcej w pół godziny potem znaleziono ciało Rogera Ackroyda. Od tego wieczoru Urszula nie widziała się z Ralfem ani nie miała od niego żadnych wiadomości.

W miarę jak dziewczyna mówiła, zdawałem sobie coraz jaśniej sprawę, że nowa seria

obciążających dowodów pogarsza sytuację Ralfa. Gdyby Roger Ackroyd żył, z pewnością zmieniłby testament. Znałem go na tyle, by wiedzieć, że przede wszystkim o tym by pomyślał. Jego śmierć przyszła akurat w odpowiedniej chwili dla Urszuli i Ralfa. Nic dziwnego, że dziewczyna trzymała język za zębami i dalej grała rolę pokojówki.

Moje rozmyślenia zostały przerwane słowami Poirota. Z jego tonu domyśliłem się, że i on zdawał sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji wyjaśnień Urszuli.

— *Mademoiselle*, muszę zadać pani jedno pytanie i pani musi odpowiedzieć mi szczerze, gdyż od tego wszystko zależy: o której godzinie pożegnała pani Ralfa Patona w pawiloniku? Niech się pani chwilę zastanowi, aby odpowiedź była dokładna.

Dziewczyna zaśmiała się gorzko.

— Czy pan sądzi, że ja już o tym nie myślałam? Boże, ileż razy! O godzinie wpół do dziesiątej wyszłam na spotkanie. Po tarasie spacerował major Blunt, więc musiałam przedzierać się przez krzaki, aby go ominąć. Była chyba za dwadzieścia siedem dziesiąta, kiedy przyszedłam do pawiloniku. Ralf już na mnie czekał, spędziliśmy razem dziesięć minut. Nie więcej, gdyż akurat za kwadrans dziesiąta wróciłam do domu.

Teraz dopiero zrozumiałem jej wczorajsze pełne niepokoju pytanie. Gdybyż tylko można było dowieść, że Ackroyda zamordowano przed dziewiątą czterdzieści pięć, a nie potem!

Odbicie tej myśli wyczułem w następnym pytaniu Poirota.

— Które z was pierwsze opuściło pawilonik?

— Ja.

— Ralf Paton pozostał na miejscu?

— Tak, ale pan nie myśli, że...

— *Mademoiselle*, to zupełnie nieważne, co ja myślę. Co pani robiła po powrocie do domu?

— Poszłam do swojego pokoju. — I długo tam pani pozostała?

— Mniej więcej do dziesiątej.

— Czy ktoś może to poświadczyć?

— Poświadczyć? Że byłam w swoim pokoju, o to panu idzie? O nie! Ale chyba...? O, rozumiem, oni mogą myśleć, mogą myśleć...!

W jej oczach spostrzegłem budzący się strach. Poirot dokończył za nią:

— Że to pani weszła przez okno i zamordowała pana Ackroyda, kiedy siedział w fotelu? Owszem,

mogą właśnie to myśleć.

— Tylko zupełny głupiec mógłby w coś podobnego uwierzyć — oświadczyła Karolina.

Poklepała Urszulę po ramieniu. Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach.

— Straszne! — szeptała. — Straszne! Karolina przyjaźnie ujęła ją za rękę.

— Nie martw się, moje dziecko — powiedziała. — Pan Poirot naprawdę tak nie uważa. A jeśli idzie o tego twojego męża, to powiem szczerze, że nazbyt dobrze o nim nie myślę. Uciec i zostawić cię na pastwę podobnych podejrzeń.

Ale Urszula zaprzeczyła energicznym ruchem głowy.

— O nie! — wykrzyknęła. — To wcale tak nie było. Ralf na pewno sam nie uciekł. Teraz dopiero to widzę. Pewno słyszał o zamordowaniu ojczyma i pomyślał, że ja to zrobiłam.

— Na pewno nie, tego nie pomyślał — upierała się Karolina.

— Tego wieczoru byłam dla niego bardzo niedobra. Nie mogłam zupełnie słuchać tego, co chciał mi powiedzieć. Nie wierzyłam, że mnie kocha. Stałam przed nim i wygarniałam mu wszystko, co o nim myślę. Mówiłam najgorsze, najokrutniejsze rzeczy, jakie przyszły mi do głowy. Robiłam wszystko, żeby go dotknąć.

— To mu wyjdzie na dobre — stwierdziła Karolina. — Nigdy nie miej skrupułów powiedzieć mężczyźnie, co o nim myślisz. Mężczyźni są okropnie zarozumiali. I tak nie uwierzą, jeśli się mówi o nich coś niepoehlebnego.

Urszula nerwowo skręcała w ręku chusteczkę.

— Kiedy odkryto morderstwo i Ralf się nie zjawił, byłam strasznie zdenerwowana. Przez chwilę nawet pomyślałam... Jednak wiedziałam, że to niemożliwe, on by tego nie zrobił! Ale tak chciałam, by przyszedł i otwarcie powiedział, że nie ma nic wspólnego z tą całą sprawą! Wiedziałam, że Ralf bardzo lubi doktora Shepparda i pomyślałam sobie, że może doktor Sheppard wie, gdzie Ralf się ukrywa.

Spojrzała na mnie.

— Dlatego też powiedziałam wtedy to, co powiedziałam. Pomyślałam sobie, że jeśli pan wie, gdzie on jest, to mu pan przekaże wiadomość.

— Ja?! — wykrzyknąłem.

— A skąd James miałby wiedzieć, gdzie ukrywa się Ralf? — oburzyła się Karolina.

— Ja wiem, to było mało prawdopodobne — przyznała Urszula. — Ale Ralf tak często mówił o doktorze Sheppardzie i uważał go za swego najlepszego przyjaciela w King's Abbot.

— Moje drogie dziecko — odezwałem się — nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie w chwili obecnej może znajdować się Ralf Paton.

— Tak, tak, to prawda, doktor nie ma pojęcia — potwierdził Poirot.

— Ale... — Urszula zdziwiona potrząsnęła wycinkiem z gazety.

— A, to! — Poirot chrząknął, trochę zmieszany. — *Une bagatelle, madame. Rien du tout**. Ani przez chwilę nie wierzę, że Ralf Paton został aresztowany.

— No to po co...?

Poirot przerwał j ej szybko:

— Chciałbym wiedzieć jeszcze jedno: czy owego wieczoru kapitan Paton miał na sobie buty czy półbuty?

Urszula potrząsnęła głową.

— Nie pamiętam.

— Wielka szkoda. Ale rzeczywiście, skąd pani to może wiedzieć, *mademoiselle*. — Uśmiechnął się do Urszuli, przechylając na bok głowę i wymownie potrząsając palcem. — Teraz żadnych pytań. I niech się pani nie martwi. Głowa do góry i proszę zaufać papie Poirotowi.

Rozdział dwudziesty trzeci

Małe zebranko Poirota

A teraz, moje dziecko — powiedziała Karolina, wstając — idź na górę i połóż się. I nie martw się, kochana, pan Poirot zrobi dla ciebie wszystko, co będzie mógł. Bądź tego pewna.

— Powinnam wrócić do Fernly — odparła dziewczyna niepewnie.

Ale Karolina ucięła jej protesty jednym ruchem ręki.

— Bzdura! Chwilowo zostaniesz pod moją opieką. W każdym razie teraz tutaj zostaniesz, prawda, panie Poirot?

— Tak będzie najlepiej — zgodził się mały Belg. — Wieczorem poproszę *mademoiselle*, bardzo przepraszam — madame, na moje małe zebranko. O dziewiątej u mnie. Jest konieczne, aby pani tam była.

Karolina skinęła głową i wyszła z Urszulą z pokoju. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Poirot znowu opadł na fotel.

— Chwilowo idzie dobrze — powiedział. — Wszystko się powoli wyjaśnia.

— Sprawa wygląda coraz gorzej dla Ralfa Patona — mruknąłem ponuro.

Poirot zgodził się:

— Tak wygląda. Ale tego należało oczekiwać, prawda?

Spojrzałem na niego trochę zaskoczony. Rozparł się wygodnie w fotelu, oczy przymknął, złożył koniuszki palców. Nagle westchnął i potrząsnął głową.

— Co się stało? — spytałem.

— Są chwile, kiedy mi bardzo brak mojego przyjaciela Hastingsa. To jest ten przyjaciel, o którym panu mówiłem. Obecnie mieszka w Argentynie. Zawsze kiedy byłem zajęty jakąś wielką sprawą, on mi towarzyszył i pomagał. Bo umiał jakoś dziwnie trafić na prawdę, nie zdając sobie z tego sprawy. Czasem powiedział coś bardzo głupiego i właśnie ta głupia uwaga objawiała mi prawdę! A poza tym zawsze spisywał przebieg interesujących spraw.

Chrząknąłem, nieco zakłopotany.

— Jeśli o to idzie... — zacząłem i urwałem.

Poirot wyprostował się w fotelu. Oczy mu zabłyśły.

— Tak, tak? Co pan chciał powiedzieć, doktorze? — Jeśli o to idzie... czytałem niektóre sprawozdania kapitana Hastingsa i pomyślałem sobie, dlaczego również nie spróbować. Wydawało mi się, że szkoda tracić okazji, jedynej okazji! Prawdopodobnie nigdy już nie będę zamieszany w podobną sprawę... — Czułem, że robi mi się coraz goręcej i że mówię coraz bardziej chaotycznie.

Poirot zerwał się na nogi. Przez chwilę bałem się, że detektyw zacznie mnie obcałowywać francuskim zwyczajem, ale na szczęście powstrzymał się od tego.

— Ależ to wspaniale! Spisywał pan swoje wrażenia, w miarę jak następowały wypadki, tak?

Skinąłem głową.

— *Epatant!** — wykrzyknął Poirot. — Niech pan mi pokaże te notatki natychmiast!

Nie byłem na to przygotowany. Szybko przebiegłem myślami tekst, usiłując przypomnieć sobie pewne szczegóły.

— Mam nadzieję, że nie obrazi się pan — wyjąkałem. — W paru miejscach spisałem wrażenia, no... może zbyt osobiste.

— O, rozumiem całkowicie! Takie uwagi o mnie, jak „śmieszny”, a może nawet „głupi”? To nieważne! Hastings także nie zawsze był grzeczny. Ja jestem ponad takie drobnostki!

Jeszcze niezbyt uspokojony, zacząłem grzebać w szufladzie biurka, skąd wydobyłem pokaźny, nieporządnie złożony rękopis i wręczyłem go Poirotowi. Z myślą o wydaniu go w przyszłości podzieliłem całość na rozdziały i poprzedniego wieczoru doprowadziłem do opisu wizyty panny Russell. Poirot dostał więc do ręki dwadzieścia rozdziałów.

Pozostawiłem go z rękopisem, ponieważ musiałem udać się do chorego, który mieszkał dość daleko. Wróciłem do domu dopiero po ósmej. Czekająca na mnie gorąca kolacja, którą zjadłem sam, gdyż jak się dowiedziałem, Karolina i Poirot wstali od stołu już o wpół do ósmej i następnie detektyw udał się do mojego warsztatu, aby tam dokończyć czytanie rękopisu.

— Mam nadzieję, James, że opisując wypadek, zachowałeś umiar w uwagach co do mojej osoby? — powiedziała Karolina.

Twarz mi się wyciągnęła. Nie zachowałem umiaru.

— To zresztą zupełnie nie jest dla mnie ważne — odparła Karolina, czytając bezbłędnie z mojej twarzy. — Pan Poirot będzie wiedział, co o mnie sądzić. On lepiej rozumie kobiety niż ty.

Poszedłem do warsztatu. Poirot siedział pod oknem.

Obok na krześle zobaczyłem ułożony porządnie rękopis. Detektyw dotknął go i powiedział:

— Gratuluję panu, doktorze! Gratuluję pańskiej skromności!

— Oo! — bąknąłem zaskoczony.

— I pańskiej powściągliwości — dodał. Powtórzyłem jedynie: „Oo!”

— Hastings w ten sposób nie pisał — ciągnął mój przyjaciel. — Na każdej stronie wiele, wiele razy powtarzało się słowo „ja”. Co on myślał, co on zrobił! Ale pan, doktorze, pan trzymał się cały czas na uboczu. Tylko raz czy dwa razy opisuje pan wyraźniej swój udział. W życiu domowym, tak?

Zaczerwieniłem się, widząc w oczach Poirota błysk humoru.

— No, a co pan o tym wszystkim sądzi? — spytałem nerwowo.

— Prosi pan o moją szczerą opinię?

— Tak.

Poirot spoważniał.

— Bardzo szczegółowe i rzeczowe sprawozdanie — powiedział uprzejmie. — Spisał pan wszystkie fakty wiernie i dokładnie, chociaż nie uwypuklał pan w nich swojego udziału.

— Pomogło to panu?

— Tak, szczerze mogę przyznać, że bardzo mi pomogło. No, ale czas! Musimy iść do mnie do domu i przygotować scenę do małego przedstawienia.

W hallu natknęliśmy się na Karolinę. Z pewnością miała nadzieję, że Poirot ją zaprosi. On jednakże poradził sobie bardzo taktownie.

— Strasznie mi przykro, że nie może być pani obecna, *mademoiselle* — powiedział z żalem — ale w tym stadium wypadków nie byłoby to wskazane. Bo widzi pani, wszyscy obecni dzisiaj wieczorem to podejrzani. Wśród nich znajduje mordercę Rogera Ackroyda.

— Pan w to naprawdę wierzy? — spytałem z powątpiewaniem.

— Widzę, że pan nie wierzy — odparł Poirot sucho. — Jeszcze pan nie potrafi ocenić prawdziwej wartości Herkulesa Poirota.

W tej samej chwili po schodach zeszła Urszula.

— Jest pani gotowa, moje dziecko? — spytał Poirot. — To dobrze. Pójdziemy do mojego domu razem. *Mademoiselle* Karolina, niech mi pani wierzy, że robię wszystko, aby oddać pani przysługę. Dobranoc.

Wyszliśmy, pozostawiając Karolinę jak psa, któremu odmówiono spaceru. Długo patrzyła za nami

od progu. Salonik w Modrzewiowym Dworcu był już przygotowany. Na stole stały rozmaite soki i szklanki oraz talerz z biszkoptami. Z sąsiednich pokoi przyniesiono krzesła.

Poirot zaczął latać po mieszkaniu, ustawiając i przestawiając meble. Tu wysunął krzesło, tam przesunął lampę, to znowu zatrzymał się, by poprawić i wyprostować chodnik na podłodze. Specjalną uwagę poświęcił sprawie oświetlenia. Lampy umieścił tak, aby rzucały jasne światło w róg pokoju, gdzie znajdowały się krzesła, a jednocześnie pozostawiały w mroku kąt, gdzie prawdopodobnie sam chciał siedzieć.

Przyglądaliśmy mu się z Urszulą. Po pewnym czasie usłyszeliśmy dzwonek.

— Idą! — powiedział Poirot. — Dobrze, wszystko jest gotowe. Otworzyły się drzwi i pojedynczo weszli goście z Fernly

Park. Poirot podskoczył, aby powitać panią Ackroyd i Florę.

— Bardzo mi miło, że panie przyszły — powiedział. — A oto pan major Blunt i pan Raymond!

Sekretarz był jak zwykle w doskonałym humorze.

— Cóż to za nowy pomysł? — spytał, śmiejąc się. — Jakaś maszyna odczytująca prawdę? Czy dostaniemy opaski na przeguby? I bicie serca zdradzi wszystkie nasze tajemnice? Jest taki wynalazek, prawda?

— Owszem, czytałem o nim — przyznał Poirot. — Ale ja jestem przywiązany do starych metod. Ja korzystam tylko z szarych komórek. No, więc zaczynamy! Przede wszystkim jednak muszę obwieścić nowinę.

Ujął rękę Urszuli i pociągnął dziewczynę do przodu.

— Ta dama jest panią Ralfową Paton. Wyszła za kapitana Patona w marcu.

Pani Ackroyd wybuchnęła potokiem słów:

— Ralf? Ralf się z nią ożenił! Ależ to bzdura! Jakże on mógł?

Patrzyła na Urszulę, jakby jej przedtem nigdy w życiu nie widziała.

— Ożenił się z pokojówką? — dodała. — Nie, panie Poirot, ja w to nie mogę uwierzyć!

Urszula zaczerwieniła się i zaczęła coś mówić, ale Flora szybko podbiegła do niej i objęła ją ramieniem.

— Nie gniewaj się, że jesteśmy zdziwieni — powiedziała.

— Bo widzisz, coś podobnego nie przyszło nam nawet do głowy. Dobrze zachowaliście ten sekret. Jestem bardzo zadowolona, bardzo!

— Dziękuję pani, panno Ackroyd, jest pani bardzo dobra — szepnęła Urszula. — A ma pani powody, żeby być na mnie zła. Ralf bardzo nieprzyzwoicie się zachował, zwłaszcza wobec pani.

— O, tym proszę się nie martwić — odparła Flora, klepiąc Urszulę po ramieniu. — Ralf znajdował się w ciężkiej sytuacji i wybrał jedyną możliwą drogę. Prawdopodobnie na jego miejscu zrobiłabym to samo. Chociaż uważam, że powinien był mi zaufać, nie wydałabym go.

Poirot delikatnie uderzył parę razy w stół i znacząco odchrząknął.

— Rozpoczynamy posiedzenie rady nadzorczej — odezwała się Flora. — Pan Poirot prosi nas, żebyśmy przestali rozmawiać. Ale jeszcze powiedz mi jedno, Urszulo, gdzie jest Ralf? Jeśli ktoś wie, to chyba ty.

— Właśnie że nie mam pojęcia! — wykrzyknęła Urszula niemal z rozpaczą w głosie. — Nie mam najmniejszego pojęcia!

— Czyż nie aresztowano go w Liverpoolu? — zaciekawiał się Raymond. — Bo tak podała gazeta.

— Kapitana Patona nie ma w Liverpoolu — odparł krótko Poirot.

— Właściwie nikt nie wie, gdzie on jest — zauważyłem.

— Z wyjątkiem Herkulesa Poirota, co? — spytał uszczypliwie Raymond.

— Ja wiem wszystko. Proszę to sobie zapamiętać — odparł poważnie Poirot.

Geoffrey Raymond podniósł wysoko brwi.

— Wszystko? — zagwizdał. — Ho, ho, to niewiele!

— Czy pan chce powiedzieć — spytałem z niedowierzaniem — że pan się domyśla, gdzie jest Ralf Paton?

— Pan to nazywa domyślaniem się, a ja, przyjacielu, nazywam to wiedzą.

— W Cranchester — zaryzykowałem.

— Nie — odparł poważnie Poirot. — Nie w Cranchester. Nie powiedział nic więcej, natomiast szerokim gestem zaprosił wszystkich do zajęcia miejsc. W czasie lekkiego zamieszania, które nastąpiło, przyszły jeszcze dwie osoby i usiadły koło drzwi: Parker i gospodyni.

— Jesteśmy już wszyscy — powiedział Poirot. — Komplet. Trudno było nie wyczuć pełnego zadowolenia w głosie detektywa. Po tych słowach przez twarze zebranych przemknął lekki cień niepokoju. Jakby zrozumieli, że wpadli w pułapkę, z której nie ma wyjścia.

Poirot z powagą odczytał listę nazwisk z kartki trzymanej w ręku:

— Pani Ackroyd, panna Flora Ackroyd, major Blunt, pan Geoffrey Raymond, pani Ralfowa Paton, John Parker, Elżbieta Russell.

Odłożył papier na stół.

— Co to wszystko ma znaczyć? — odezwał się Raymond.

— Lista, którą wam odczytałem — powiedział Poirot — jest listą osób podejrzanych. Każda z nich miała okazję zamordować Rogera Ackroyda.

Pani Ackroyd zerwała się z okrzykiem protestu. Piersć jej falowała.

— Mnie się to nie podoba! — zakwiliła. — Mnie się to nie podoba! Ja wolę wrócić do domu.

— Nie może pani teraz iść do domu — odparł stanowczo Poirot — póki nie wysłucha pani wszystkiego, co mam do powiedzenia.

Odczekał chwilę i znów odchrząknął.

— Zaczniemy od początku. Kiedy panna Ackroyd poprosiła mnie, abym zajął się sprawą, poszedłem do Fernly Park z dobrym doktorem Sheppardem. Byłem na tarasie, gdzie pokazano mi ślady butów na parapecie.

Następnie inspektor Raglan poprowadził mnie alejką, która łączy się z głównym podjazdem. Zainteresował mnie mały pawilonik i przeszukałem go starannie. Znalazłem dwie rzeczy. Kawałek nakrochmalonego materiału i gęsie piórko. Nakrochmalony materiał natychmiast skierował moją myśl na fartuszek pokojówki. Kiedy inspektor Raglan pokazał mi listę mieszkańców domu, zauważyłem od razu, że jedna z pokojówek, Urszula Bourne, nie ma żadnego alibi. Zgodnie z jej własnym zeznaniem, przebywała w swoim pokoju od godziny dziewiętej trzydzieści do dziesiątej. No, a jeśli spędziła ten czas w pawiloniku? Jeśli tak, to z kim się tam spotykała? Wiemy od doktora Shepparda, że ktoś obcy był tego wieczoru w domu. Ów człowiek, którego doktor spotkał przed bramą. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że nasz mały problem jest rozwiązany i że ów obcy poszedł do pawiloniku zobaczyć się z Urszulą Bourne. Nie było wątpliwości, że poszedł on właśnie do pawiloniku, ponieważ znalazłem tam gęsie piórko. To natychmiast podsunęło mi myśl o narkomanie, i to o narkomanie, który wpadł w nałóg w Ameryce, gdzie wacanie „śniegu” jest częstsze niż w tym kraju. Człowiek, na którego natknął się doktor Sheppard, mówił z akcentem amerykańskim. To pasowało do moich wniosków.

Ale nie pasowała tutaj jedna rzecz. Czasy! Urszula Bourne nie mogła udać się do pawiloniku przed dziewiątą trzydzieści, podczas gdy ów gość był tam już parę minut po dziewiątej. Mogłem oczywiście przyjąć, że czekał na nią pół godziny. Jedyna druga możliwość to dwa niezależne spotkania w pawiloniku. *Eh bien*, jak tylko zacząłem o tym myśleć, wyszły na jaw różne ciekawe fakty. Dowiedziałem się, że gospodyni, panna Russell, była tego ranka u doktora Shepparda i wykazała wielkie zainteresowanie metodami leczenia nałogowych narkomanów. Łącząc to ze znalezieniem gęsiego piórka, przyjąłem, że ów nieznamy mężczyzna przyszedł do Fernly, aby spotkać się z gospodynią, a nie z Urszulą Bourne. A więc z kim spotykała się Urszula Bourne? Nie

musiałem długo nad tym myśleć. Przede wszystkim znalazłem obrączkę z napisem „Od R.” i datą. Potem dowiedziałem się, że widziano Ralfa Patona, jak o godzinie dziewiątej dwadzieścia pięć szedł alejką w stronę pawiloniku. Dowiedziałem się również o pewnej rozmowie, która miała miejsce tego samego popołudnia w lasku pod miasteczkiem — o rozmowie między Ralfem Patonem a nieznaną dziewczyną. A więc fakty zaczęły do siebie pasować. Małżeństwo w tajemnicy, zaręczyny ogłoszone w dzień tragedii, burzliwa rozmowa w lesie, wieczorne spotkanie w pawiloniku.

To przy okazji zdradziło mi jedną rzecz: zarówno Ralf Paton, jak i Urszula Bourne (czy też Paton) mieli najpoważniejsze powody, by życzyć sobie śmierci pana Ackroyda. I niespodziewanie wyjaśniło to jeszcze jedną sprawę: to nie Ralf Paton rozmawiał z panem Ackroydem o dziewiątej trzydzieści w gabinecie.

A więc zbliżamy się do bardzo interesującego problemu. Kogo Ackroyd przyjmował w gabinecie o dziewiątej trzydzieści? Nie Ralfa Patona, który był z żoną w pawiloniku. Nie Charlesa Kenta, bo on już sobie poszedł. Kogo więc? Postawiłem sobie genialne i bardzo odważne pytanie: czy w ogóle był z nim ktokolwiek?

Poirot pochylił się do przodu i wypowiedział te ostatnie słowa z triumfalną nutą, potem znów się cofnął, jak człowiek, który zadał decydujący cios.

Raymond nie był jednak oszołomiony rewelacją Poirota i lekko zaprotestował:

— Czy pan sugeruje, że kłamałem, panie Poirot? Dowód, że ktoś był w gabinecie, nie opiera się bynajmniej tylko na moim oświadczeniu. Najwyżej mogłem się mylić co do dokładnego brzmienia słów. Proszę pamiętać, że major Blunt również słyszał głos pana Ackroyda. Był na tarasie i choć nie pochwycił treści, wyraźnie słyszał rozmowę.

Poirot skinął głową.

— Nie zapomniałem o tym — powiedział spokojnie. — Ale major Blunt miał wrażenie, że to pan jest w gabinecie z Rogerem Ackroydem.

Przez chwilę Raymond wydawał się zaskoczony. Szybko jednak powrócił do równowagi.

— Ale Blunt wie teraz, że się mylił — odparł.

— Właśnie! — zgodził się Blunt.

— A jednak musiał być jakiś powód, dla którego major Blunt pomyślał o panu — upierał się Poirot. — O nie — podniósł rękę. — Ja wiem, jaki pan poda powód, ale to mi nie wystarcza. Musimy szukać innego. Wyjaśnię inaczej. Od samego początku uderzała mnie jedna rzecz: rodzaj słów, które usłyszał pan Raymond. Zadziwiające, że nikt nie zwrócił na to uwagi i nie dostrzegł w nich nic szczególnego. — Poirot przerwał na chwilę, potem przytoczył spokojnie: — „Ostatnimi czasami moje zobowiązania finansowe uległy znacznemu zwiększeniu i nie mogę, niestety, pozytywnie ustosunkować się do pańskiej prośby...”. Czy nic was w tym nie uderza?

— Raczej nie — odparł Raymond. — Pan Ackroyd często dyktował mi listy, w których używał

niemal tych samych słów.

— O właśnie! — wykrzyknął Poirot. — O to mi właśnie idzie! Czy ktoś użyłby takich słów w rozmowie? Niemożliwe, aby to zdanie pochodziło ze zwykłej rozmowy dwóch ludzi. Natomiast gdyby pan Ackroyd dyktował list...

— Miał pan na myśli, gdyby czytał na głos list — powiedział wolno Raymond. — Ale też musiałby czytać komuś?

— Dlaczego? Nie mamy żadnego dowodu na to, że ktoś inny znajdował się w gabinecie. Nikt nie słyszał innego głosu oprócz głosu pana Ackroyda, proszę o tym pamiętać!

— No, ale przecież nikt nie czytałby sobie na głos listów tego typu! Chyba... chyba że pomieszałoby mu się w głowie!

— Wszyscy zapomnieliście o jednej rzeczy — powiedział z zadowoleniem Poirot. — O wizycie pewnego człowieka w poprzedzającą środę.

Spojrzenia zebranych skupiły się na detektywie.

— Tak, tak — Poirot kiwał zachęcająco głową. — W środę. Młody człowiek, który przyszedł, sam w sobie nie był ważny. Ale ważna jest firma, którą reprezentował.

— Przedsiębiorstwo dyktafonów! — Raymond aż się zachłysnął. — Rozumiem teraz. Dyktafon! To pan ma na myśli?

Poirot skinął głową.

— Pan Ackroyd miał zamiar kupić dyktafon, przypomina pan sobie. Byłem na tyle ciekawy, że skontaktowałem się z firmą. Odpowiedzieli mi, że pan Ackroyd nabył dyktafon od ich przedstawiciela. Nie wiem, dlaczego ukrył ten fakt przed panem.

— Może chciał mi po prostu zrobić niespodziankę — bąknął Raymond. — On miał zupełnie dziecinne upodobania tego rodzaju. Lubił zaskakiwać ludzi. Prawdopodobnie dzień czy dwa chciał nacieszyć się tajemnicą i bawić nową zabawką. Tak, to do niego podobne. Ma pan zupełną rację, nikt nie użyłby podobnych słów w zwykłej rozmowie.

— Mamy więc wyjaśnienie — powiedział Poirot — dlaczego major Blunt myślał, że to pan jest w gabinecie. Usłyszał słowa czy fragmenty dyktowanego listu i podświadomie wydedukował, że właśnie pan znajduje się w towarzystwie Rogera Ackroyda. Natomiast jego świadomość była zajęta zupełnie czymś innym: mignęła mu sylwetka biało ubranej kobiety. Sądził, że to panna Ackroyd. W rzeczywistości była to Urszula Bourne w białym fartuszku. I ją widział major Blunt, jak szła do pawiloniku.

Raymond odzyskał już panowanie nad sobą po pierwszym zaskoczeniu.

— Ale mimo wszystko — zauważył — to pańskie genialne odkrycie (przyznaję, że sam bym na coś

podobnego nigdy nie wpadł) nie zmienia jednej zasadniczej sprawy: pan Ackroyd musiał żyć jeszcze o dziewiątej trzydzieści, skoro dyktował list. Wydaje mi się, że o tej porze ów Charles Kent nie znajdował się już na terenie parku. A jeśli idzie o Ralfa Patona...? — Zawahał się, spoglądając z ukosa na Urszulę.

Ta zaczerwieniła się, ale odpowiedziała dosyć pewnie:

— Ja i Ralf pożegnaliśmy się tuż przed za kwadrans dziesiątą. On nie zbliżał się do domu, jestem tego pewna. Nie miał zamiaru tego robić. Nie chciał widzieć ojczyma na oczy, gdyż był pewien, że rozmowa z nim byłaby niesłychanie przykra.

— Nie wątpię ani na chwilę, że mówi pani prawdę — odezwał się Raymond. — Od samego początku jestem zdania, że kapitan Paton jest niewinny. Ale trzeba myśleć o ewentualnej rozprawie sądowej i o pytaniach, jakie tam będą zadawać. Kapitan Paton znajduje się w bardzo niewyraźnej sytuacji. Gdyby natomiast pojawił się...

Poirot przerwał Raymondowi:

— To jest pańska rada, tak? Żeby kapitan Paton się ujawnił?

— Naturalnie. Jeśli pan wie, gdzie on jest...

— Z tego widzę, że pan nie bardzo wierzy, że ja wiem.

A przecież przed chwilą powiedziałem panu, że wiem wszystko. Znam prawdę o telefonie do doktora Sheppard, o śladach na parapecie, o miejscu ukrycia Ralfa Patona...

— Gdzie on jest? — spytał ostro major Blunt.

— Niedaleko stąd — odparł Poirot z uśmiechem.

— W Cranchester? — zapytałem. Poirot obrócił się ku mnie:

— Pan ciągle zadaje to samo pytanie. Ma pan *idée fixe* na punkcie Cranchester. Nie, Ralf Paton nie jest w Cranchester, on jest... tu!

Dramatycznym gestem wyciągnął rękę. Wszystkie głowy obróciły się we wskazanym kierunku. W drzwiach stał Ralf Paton.

Rozdział dwudziesty czwarty

Opowieść Ralfa Patona

Była to dla mnie bardzo przykra chwila. Niezbyt dobrze potrafię sobie nawet teraz uprzytomnić, co się następnie zdarzyło. Pamiętam tylko okrzyki zdziwienia i powitania. Kiedy wreszcie opanowałem się na tyle, by wiedzieć, co się dzieje dokoła, Ralf Paton stał obok żony, jej dłoń w jego dłoni, i uśmiechał się do mnie przez cały pokój.

Poirot także się uśmiechał i jednocześnie groził mi znacząco palcem.

— Czy nie mówiłem panu przynajmniej ze trzydzieści sześć razy, że to bezcelowe ukrywać prawdę przed Herkulesem Poirotem? — spytał. — Że on i tak dowie się prawdy? — Obrócił się do pozostałych osób: — Pamiętają państwo naszą rozmowę przy stole. Było nas sześcioro. Oskarżyłem pięcioro obecnych, że ukrywają przede mną prawdę. Czwooro wydało mi swoje tajemnice. Tylko doktor Sheppard nie wydał swojej. Ale przez cały czas coś podejrzewałem. Tego wieczoru doktor Sheppard poszedł do gospody Pod Trzema Dzikami, spodziewając się zastać tam Ralfa Patona. Ale go nie zastał. Przypuśćmy, powiedziałem sobie, przypuśćmy, że wracając do domu spotkał Ralfa na ulicy. Doktor Sheppard był jego przyjacielem i szedł właśnie prosto z miejsca zbrodni. Musiał zdawać sobie sprawę, że sytuacja jest bardzo zła dla Ralfa Patona. Może wiedział więcej niż wszyscy...

— To prawda — bąknąłem ponuro. — Tak, chyba teraz mogę przyznać się do wszystkiego. Odwiedziłem Ralfa tego samego dnia po południu. Najpierw nie chciał mi się zwierzyć ze swoich kłopotów, ale potem powiedział wszystko o swoim małżeństwie i beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znalazł. Po zamordowaniu Rogera Ackroyda stało się dla mnie jasne, że jeśli wyjdą na jaw pewne fakty, podejrzenie natychmiast padnie na Ralfa lub na dziewczynę, którą kochał. Tego wieczoru przedstawiłem mu to wszystko. Myśl, że będzie musiał ewentualnie składać zeznanie obciążające żonę, wpłynęła na decyzję Ralfa, aby... — Zawahałem się i Ralf dokończył za mnie:

— Aby zwać... — powiedział dobitnie. — Bo widzicie, Urszula zostawiła mnie w pawiloniku i sama wróciła do domu. Pomyślałem sobie, że może chciała raz jeszcze porozmawiać z ojczymem. Już po południu był dla niej bardzo niegrzeczny. A w czasie drugiej rozmowy może ją obraził w taki okropny sposób, że ona, nie wiedząc sama, co robi...

— Zamilkł.

Urszula uwolniła dłoń z jego uścisku i cofnęła się o krok.

— Tak myślałeś, Ralf? Naprawdę myślałeś, że ja mogłam coś podobnego zrobić?

— Powróćmy do niewybaczalnego postępkowi doktora Shepparda — przerwał sucho Poirot. — Doktor Sheppard zgodził się pomóc Ralfowi. Udało mu się też ukryć Ralfa Patona przed policją.

— Gdzie? — spytał Raymond. — W swoim domu?

— Ach, nie! — odparł Poirot. — Powinien pan zadać sobie to samo pytanie, które ja sobie zadałem. Jeśli nasz doktor ukrywa młodego człowieka, to gdzie? To musiało być gdzieś blisko. Pomyślałem o Cranchester. W hotelu? Nie. W pensjonacie? Jeszcze kategoryczniej nie. A więc gdzie? Aha, jest! W sanatorium! W sanatorium dla nerwowo chorych. Sprawdzam. Poddaję mój mały pomysł próbie. Wymyślam siostrzeńca umyślowo chorego. Radzę się panny Sheppard co do odpowiednich zakładów. Ona podaje mi nazwę dwóch w pobliżu Cranchester, gdzie jej brat wysyła chorych. Sprawdzam. Tak, do jednego z tych zakładów doktor Sheppard w sobotę rano sam odwiózł pacjenta. Choć pacjent nosił inne nazwisko, nie miałem trudności w sprawdzeniu, że to właśnie jest kapitan Paton. Po pewnych koniecznych formalnościach pozwolono mi przywieźć kapitana tutaj. Przybył do mojego domu wczoraj we wczesnych godzinach rannych.

Spojrzałem ponuro na Poirota.

— Ekspert Karoliny z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych — mruknąłem. — I pomyśleć, że mnie to nigdy nie przyszło do głowy.

— Teraz pan widzi, doktorze, dlaczego zwróciłem uwagę na pewną powściągliwość w pańskim rękopisie — powiedział Poirot. — Wszystko w nim jest zgodne z prawdą do pewnego miejsca i w pewnych granicach. Ale pan zakreślił bardzo małe granice prawdzie, przyjacielu, tak?

Byłem zbytnio zgnębiony, aby dyskutować na ten temat.

— Doktor Sheppard był bardzo lojalny — odezwał się Ralf. — Stał przy mnie wytrwale. I zrobił, co uważał za najlepsze. Z tego, co teraz powiedział pan Poirot, widzę, że nie to było najlepsze. Powinienem być się ujawnić i ponieść wszelkie konsekwencje. W sanatorium, widzicie, nie było gazet. Nie miałem pojęcia, jak potoczyły się wypadki.

— Tak, doktor Sheppard okazał się wzorem dyskrecji — stwierdził oziębłe Poirot. — Ale ja odkryję zawsze każdy sekret. To moja specjalność.

— No więc czy teraz możemy usłyszeć od kapitana Patona, co zdarzyło się owego wieczoru? — spytał niecierpliwie Raymond.

— Już wszystko wiecie — powiedział Ralf. — Właściwie nie mam nic do dodania. Wszedłem z pawiloniku około dziewiątej czterdzieści pięć i zacząłem spacerować po parku, starając się zdecydować na jakiś krok. Co właściwie robić? Muszę przyznać, że nie mam nawet cienia żadnego alibi, ale składam wam najuroczystsze słowo honoru, że nie zbliżałem się do okna gabinetu i nie widziałem mego ojczyma żywego ani umarłego. Bez względu na to, co powie cały świat, chcę, żebyście mi uwierzyli.

— Nie ma alibi! — mruknął Raymond. — To bardzo źle. Ja panu naturalnie wierzę, ale sytuacja źle się przedstawia.

— To jednak znacznie upraszcza sprawę — odezwał się wesoło Poirot. — Niestychanie

upraszcza.

Spojrzeliliśmy na niego zdumieni.

— Rozumiecie mnie? Nie? Chodzi mi o to: aby ocalić kapitana Patona, prawdziwy zbrodniarz musi się przyznać. — Poirot promieniał. — Tak, tak, mówię to poważnie. Widzą państwo, nie zaprosiłem tu inspektora Raglana. Miałem ku temu powód. Nie chciałem mu powiedzieć wszystkiego, co wiem. W każdym razie nie chciałem tego uczynić dziś wieczorem.

Poirot pochylił się naprzód i nagle w jego głosie i całym zachowaniu zaszła gwałtowna zmiana. Stał się teraz niebezpieczny.

— Mówię do ciebie! Ja wiem, że morderca Rogera Ackroyda znajduje się w tym pokoju! Do mordercy mówię. Jutro inspektor Raglan dowie się całej prawdy. Rozumiesz?

W pokoju zapanowała napięta cisza. W jej środek weszła bretońska gospodyni, niosąc na tacy telegram. Poirot wziął go i otworzył.

Rozległ się wyraźny głos Blunta:

— Morderca znajduje się między nami? Wie pan, kto to?

Poirot doczytał telegram i zmiął go w kulkę.

— Teraz już wiem. — Stuknął palcem w zmięty papiererek.

— Co to jest? — spytał Raymond ostro.

— Radiogram ze statku płynącego do Stanów Zjednoczonych — odpowiedział Poirot.

W pokoju nadal panowała cisza. Poirot wstał i uklonił się.

— *Messieurs et mesdames*, nasze małe zebranko jest skończone. Proszę pamiętać, jutro rano inspektor Raglan dowie się prawdy!

Rozdział dwudziesty piąty

Cała prawda

Poirot ruchem ręki nakazał mi pozostać w pokoju po wyjściu innych. Usłuchałem i podszedłem do kominka. Czubkiem buta zacząłem poprawiać polana na ogniu.

Obrót sprawy mnie zaskoczył. Po raz pierwszy nie mogłem absolutnie zrozumieć znaczenia słów Poirota. Przez chwilę byłem skłonny przypuszczać, że scena, jaką widziałem, jest tylko gigantycznym blefem i że Poirot zagrał tę całą, jak ją nazwał, komedię jedynie w celu autoreklamy. Ale wbrew sobie musiałem uwierzyć w towarzyszące temu realne fakty. W słowach detektywa wyczuwałem groźbę i niezaprzeczalną pewność siebie. Jednak w dalszym ciągu sądziłem, że Poirot znajduje się na fałszywym tropie.

Kiedy zamknęły się drzwi za ostatnim gościem, Poirot podszedł do kominka.

— No i co, mój przyjacielu? — powiedział spokojnie. — Co pan o tym wszystkim myśli?

— Nie wiem zupełnie, co mam myśleć — odparłem szczerze. — Jaki cel tego wszystkiego? Dlaczego nie pójść od razu do inspektora Raglana i nie powiedzieć mu, co się wie? Po co to skomplikowane ostrzeżenie mordercy?

Poirot usiadł i wyciągnął pudełko cieniutkich rosyjskich papierosów. Przez parę minut palił w milczeniu. Wreszcie się odezwał:

— Niech pan użyje swoich szarych komórek. Za moim postępowaniem zawsze kryje się jakiś powód.

Chwilę się wahałem, potem wolno zacząłem mówić:

— Pierwszy powód, jaki widzę, to chyba to, że nie zna pan mordercy, ale jest pan pewien, że kryje się on wśród osób obecnych tu dzisiaj wieczorem. No i zamierzał pan zmusić go, by się ujawnił.

Poirot skinął z uznaniem głową.

— Sprytny pomysł, ale nie odpowiada prawdzie.

— Albo też przekonując mordercę, że pan wie, kim on jest, chce go pan zmusić do ujawnienia się niekoniecznie przez wyznanie. Morderca może na przykład spróbować pana uciszyć, tak jak uciszył poprzednio Rogera Ackroyda, żeby nie mógł pan spełnić jutro rano swojej groźby.

— Pułapka i ja jako przynęta! *Merci, mon ami*, na to nie jestem dostatecznie odważny.

— A więc w takim razie zupełnie nie rozumiem. Przecież ostrzegając mordercę zawczasu, ryzykuje pan jego ucieczkę!

Poirot potrząsnął głową.

— On nie może uciec — odezwał się z powagą. — Ma tylko jedną drogę, a droga ta nie prowadzi do wolności.

— I pan naprawdę wierzy, że jedna z obecnych dzisiaj wieczorem osób popełniła morderstwo? — spytałem z niewiarą w głosie.

— Tak, mój przyjacielu.

— Kto?

Przez kilka minut panowała cisza. Potem Poirot wrzucił niedopałek do kominka i zaczął mówić spokojnie, zastanawiając się głęboko nad każdym słowem:

— Poprowadzę pana tą samą drogą, którą ja przebyłem. Krok za krokiem będzie mi pan towarzyszył i zobaczy pan, że wszystko wskazuje tylko na jedną osobę. Na początku dwa małe fakty i jedna niezgodność czasu zwróciły moją uwagę. Pierwszy fakt to telefon do pana. Jeśli Ralf Paton był rzeczywiście mordercą, telefon stawał się zupełnie bez znaczenia, stawał się absurdem. Dlatego też powiedziałem sobie: Ralf Paton nie jest mordercą.

Stwierdziłem, że telefonować do pana nie mógł nikt z Fernly, a jednak byłem przekonany, że mordercy muszą szukać wyłącznie wśród tych, którzy byli w Fernly w wieczór zbrodni. Stąd też wywnioskowałem, że telefon pochodził od współnika mordercy. Nie bardzo byłem zadowolony z tego wniosku, ale chwilowo na nim poprzestałem.

Następnie zająłem się zbadaniem celu, jaki przyświecał autorowi tego telefonu. To było bardzo trudne. Mogłem do tego dojść, analizując wyłącznie skutek. Skutkiem był fakt, że morderstwo odkryto wieczorem, zamiast — według wszelkiego prawdopodobieństwa — następnego dnia rano. Zgadza się pan z tym?

— No, taak... chyba tak. Musiało być tak, jak pan mówi. Ponieważ pan Ackroyd polecił, by mu nie przeszkadzano, pewnie nikt by tego wieczoru nie wszedł do gabinetu.

— *Tres bien**. Sprawa się posuwa, tak? Ale sytuacja nie jest jeszcze jasna. Jaka z tego korzyść, że morderstwo będzie odkryte wieczorem, a nie następnego dnia rano? Nasuwała mi się tylko jedna myśl: morderca, wiedząc, że zbrodnia będzie ujawniona o pewnej określonej godzinie, mógł być obecny przy wyłamywaniu drzwi lub bezpośrednio potem. I teraz przechodzimy do drugiego faktu: fotel odsunięto od ściany. Inspektor Raglan przeszedł nad tym do porządku dziennego jako nad sprawą błahą. A ja przeciwnie, zawsze przywiązywałem do tego wielką wagę.

Do swojego rękopisu dołączył pan bardzo ładny plan gabinetu. Gdyby go pan w tej chwili miał przy sobie, zobaczyłby pan, że fotel wysunięty na miejsce wskazane przez Parkera stałby akurat na

linii drzwi i okna.

— Okna? — powiedziałem szybko.

— Pan również wpadł na tę samą myśl co ja. Wyobrażałem sobie, że fotel został wysunięty w tym celu, by ktoś wchodzący drzwiami nie dostrzegł rzeczy pozostawionej na oknie. Ale wkrótce porzuciłem to przypuszczenie, bo chociaż fotel miał wysokie oparcie, to był to taki stary fotel wolterowski prawie nie zasłaniał okna, najwyżej to, co jest pod nim, już poniżej parapetu. Nie, *mon ami*! Ale proszę sobie przypomnieć, że tuż przed oknem stał stolik z książkami i pismami. No i ten stół świetnie krył się za wysuniętym fotelem. I wtedy natychmiast zacząłem domyślać się prawdziwego przebiegu wypadków.

Przypuśćmy, że na tym stoliku stało coś, czego nie powinien nikt zobaczyć. Coś, co zostawił tam morderca.

Jeszcze wtedy nie wiedziałem, co to mogło być. Ale już znałem bardzo charakterystyczne cechy tego przedmiotu. Na przykład wiedziałem, że to było coś, czego morderca nie mógł od razu ze sobą zabrać. Z drugiej strony było bardzo ważne, aby mógł to zrobić jak najszybciej po odkryciu zbrodni. Stąd też ten telefon i szansa dla mordercy, aby był obecny w chwili znalezienia ciała.

Dalej. Cztery osoby wchodzi w rachubę przed przybyciem policji. Pan, doktorze, Parker, major Blunt i pan Raymond. Parkera natychmiast wyeliminowałem, ponieważ bez względu na to, o której godzinie odkryto by zbrodnię, on byłby zawsze na miejscu. On również powiedział mi o wysuniętym fotelu. Parker więc był wolny od podejrzeń. Jeśli idzie o morderstwo, ponieważ w dalszym ciągu uważałem za prawdopodobne, że to on szantażował panią Ferrars). Posądzałem jednak Raymonda i Blunta, ponieważ w wypadku odkrycia zbrodni wczesnym rankiem obaj mogliby przybyć na miejsce zbyt późno, by usunąć przedmiot ze stolika pod oknem.

Ale cóż to był za przedmiot? Słyszał pan moje dzisiejsze słowa na temat urywków podsłuchanej rozmowy? Gdy tylko się dowiedziałem o wizycie przedstawiciela firmy dyktafonów, zrodziła się w mojej głowie nowa myśl. Słyszał pan, co pół godziny temu powiedziałem w tym pokoju? Wszyscy zgodzili się z moją teorią, ale jeden ważny fakt uszedł ich uwagi. Zgoda, przyjmując, że owego wieczoru w gabinecie pana Ackroyda znajdował się dyktafon, co się z nim potem stało?

— Nigdy o tym nie pomyślałem — odparłem.

— Teraz wiemy, że pan Ackroyd kupił dyktafon, ale między jego rzeczami dyktafonu nie znaleziono. A więc jeśli coś zostało zabrane ze stolika, to dlaczego nie miałby to być dyktafon? Ale były z tym pewne trudności. Uwaga wszystkich, rzecz jasna, skoncentrowała się na ofercie i myślę, że każdy mógł podejść do stolika niezauważony przez pozostałe osoby. Jednakże dyktafon jest dosyć duży. Nie można go niepostrzeżenie wsunąć do kieszeni. Dyktafon trzeba było w coś schować.

Widzi pan, do czego prowadzę? Sylwetka mordercy nabiera realnych kształtów: Ktoś obecny przy wykryciu zbrodni, ale ktoś, kogo by nie było, gdyby zbrodnię wykryto następnego dnia rano. Ktoś mogący ukryć dyktafon...

Przerwałem:

— Ależ jaki był cel zabierania dyktafonu? Po co?

— Przypomina mi pana Raymonda. Przyjmuje pan z góry, że to, co podsłuchano o dziewiętej trzydziści, to były słowa pana Ackroyda dyktującego list. Ale niech pan się zastanowi nad cechami tego sprytnego wynalazku. Dyktuje się do tuby, tak? A potem sekretarz nastawia walec i głos mówi...

— Pan myśli...? — wyrzuciłem z siebie. Poirot skinął głową.

— Tak myślę. O dziewiętej trzydziści pan Ackroyd już nie żył. To dyktafon przemawiał, nie żywy człowiek.

— I morderca włączył aparat? Wobec tego musiał być w pokoju o tej godzinie!

— Być może. Ale nie wolno nam zapominać o możliwości mechanicznego urządzenia. Coś w rodzaju zegara, może nawet dostosowany zwykły budzik. I w takim wypadku wzbogacamy wyimaginowaną sylwetkę mordercy dwiema dodatkowymi cechami: musiał to być ktoś, kto wiedział o nabyciu przez pana Ackroyda dyktafonu, i ktoś mający wiedzę techniczną.

Tak daleko posunąłem się do chwili, gdy przyszedł czas na ślady butów na parapecie. Stały przede mną trzy możliwości: 1. Że w istocie pozostawił je Ralf Paton. Był tego wieczoru w Fernly, mógł wejść do gabinetu przez okno i stwierdzić, że ojczym nie żyje. To była pierwsza hipoteza. 2. Że ślady pozostawił ktoś inny, ktoś, kto zupełnie przypadkowo miał buty z taką samą gumową podeszwą. Ale stwierdziłem, że choć mieszkańcy domu noszą obuwie z podeszwami gumowymi, nie używają butów na tak zwanej słoninie. Nie chciałem wierzyć w taki zbieg okoliczności, by akurat ktoś zupełnie obcy przyszedł do Fernly w identycznym obuwiu. Charles Kent, jak nam wiadomo od barmanki z Psa i Gwizdka, nosił buty, które z niego spadały. 3. Że ślady pozostawił ktoś, kto rozmyślnie chciał rzucić podejrzenie na Ralfa Patona. Aby sprawdzić słuszność tego trzeciego przypuszczenia, należało koniecznie wyjaśnić pewne inne fakty. Jedną parę półbutów Ralfa Patona znalazła policja w gospodzie Pod Trzema Dzikami. Ani Ralf, ani nikt inny nie mógł ich tego wieczoru mieć na sobie, ponieważ znajdowały się na dole w czyszczeniu. Zgodnie z teorią policji Ralf miał na sobie drugą parę tego samego typu. Ja stwierdziłem, że Ralf rzeczywiście miał dwie pary. Musiałem jednak udowodnić, że owego wieczoru morderca miał na sobie półbuty Ralfa. Ale to by znaczyło, że Ralf miał jeszcze trzecią parę obuwia. Trudno mi było przypuścić, aby przywiózł ze sobą trzy jednakowe pary. Bardziej prawdopodobne było, że ta trzecia para to tak zwane kamasze. Poprosiłem pana siostrę o zbadanie tej drobnej sprawy, pytając ją o ich kolor. Przyznaję się szczerze, że chodziło mi o odwrócenie jej uwagi od właściwego celu mojego pytania.

Zna pan wynik. Okazało się, że Ralf Paton w istocie przywiózł parę kamaszy. Pierwsze pytanie, które mu zadałem wczoraj, kiedy przybył do mnie do domu, dotyczyło obuwia, jakie miał na sobie owego wieczoru. Odpowiedział bez wahania, że buty, to znaczy kamasze, a nie półbuty. I w nich zresztą przyjechał, gdyż przecież w sanatorium nie miał nic innego.

A więc posunęliśmy się jeszcze o krok w poznawaniu sylwetki mordercy. Jest to człowiek, który miał okazję zabrać owego dnia półbuty Ralfa Patona z Trzech Dzików.

Poirot na chwilę zamilkł, a potem zaczął mówić dalej nieco podniesionym głosem:

— Jest jeszcze jeden ważny punkt. Mordercą musiał być ktoś, kto miał okazję zabrać sztylet ze srebrnego stołu. Może mi pan zarzucić, że każdy, kto mieszka w Fernly, miał ku temu okazję, ale przypomnę panu, że Flora Ackroyd była bardzo pewna, iż sztyletu nie było w gablotce w chwili, gdy ona oglądała jej zawartość. — Poirot znowu przerwał. — Teraz potwórzmy sobie. Teraz, kiedy wszystko jest już jasne. Ktoś, kto był w gospodzie Pod Trzema Dzikami w ciągu dnia, kto znał na tyle dobrze Ackroyda, by wiedzieć, że kupił dyktafon. Ktoś znający się na różnych mechanizmach, kto miał okazję wyjąć sztylet ze srebrnego stołu, nim przyszła panna Ackroyd. Ktoś, kto mógłby ukryć w torbie dyktafon, no i kto był sam w gabinecie w parę minut po odkryciu zbrodni, podczas gdy Parker telefonował po policję. Jednym słowem — doktor Sheppard!

Rozdział dwudziesty szósty

I tylko prawda

Przez półtorej minuty panowała martwa cisza. Potem się roześmiałem.

— Pan oszalał — powiedziałem.

— Nie — odparł Poirot spokojnie. — Nie oszalałem. Pierwsza zwróciła mi na pana uwagę niezgodność czasów. Już na samym początku.

— Niezgodność czasów? — spytałem zdziwiony.

— Tak. Przypomina pan sobie, wszyscy wtedy przyznali, pan także, że potrzeba pięciu minut, aby przejść od bramy do domu, a jeszcze mniej, jeśli idzie się skrótem na taras. Ale pan opuścił dom o godzinie za dziesięć dziewiąta, zarówno według pańskiego oświadczenia, jak i słów Parkera, a przy bramie znalazł się pan dopiero o godzinie dziewiątej. Wieczór był chłodny, takiej nocy nikt nie ma ochoty spacerować po parku. Dlaczego więc zajęło panu dziesięć minut przejście do bramy? Przez cały czas orientowałem się, że wątpliwa jest sprawa zamknięcia okna w gabinecie. Tylko pan to mógł poświadczyć. Ackroyd pytał pana, czy pan zamknął okno, ale sam tego nie sprawdził. Przypuśćmy więc, że okno na taras było otwarte. Czy w ciągu tych dziesięciu minut zdążyłby pan obieć dom dokoła, zmienić obuwie, wdrapać się przez okno do gabinetu, zamordować pana Ackroyda i być koło bramy o dziewiątej? Nie, gdyż prawdopodobnie człowiek tak nerwowy jak owego wieczoru Ackroyd usłyszałby pana wchodzącego przez okno i znaleźlibyśmy ślady walki. Ale przypuśćmy, że zamordował pan Ackroyda przed wyjściem z domu. W chwili kiedy stał pan za jego fotelem. Potem wychodzi pan frontowymi drzwiami, biegnie do pawiloniku i wyjmuje z torby (którą pan tego wieczoru zabrał ze sobą) półbuty Ralfa Patona, wkłada je, idzie specjalnie przez błoto i pozostawia ślady na parapecie, wchodzi do gabinetu i zamyka od wewnątrz drzwi na klucz, wraca biegiem do pawiloniku, wkłada własne obuwie i biegnie do bramy. Wykonałem sam wszystkie te czynności wczoraj, kiedy pan rozmawiał z panią Ackroyd, i zajęło mi to akurat dziesięć minut. Potem do domu, no i alibi gotowe, ponieważ nastawił pan dyktafon na godzinę dziewiątą trzydzieści.

— Mój drogi panie Poirot — powiedziałem głosem, który obco zabrzmiał mi w uszach. — Zbyt długo rozmyślał pan nad tą sprawą! Cóż, na miłość boską, zyskałbym, mordując pana Ackroyda?

— Bezpieczeństwo! To pan szantażował panią Ferrars. Któż mógł wiedzieć lepiej, na co umarł pan Ferrars, niż doktor, który się nim opiekował? Kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy przez mur dzielący nasze ogródki, wspomniał pan o otrzymanym przed rokiem spadku. Nie udało mi się wpaść na ślad jakiegokolwiek zapisu na pańską korzyść. Musiał pan wymyślić tę historię, aby usprawiedliwić posiadanie dwudziestu tysięcy funtów, które wyłudził pan od pani Ferrars. Wiele korzyści panu te pieniądze nie przyniosły. Większość przepadła w spekulacjach. Wtedy przykręcił pan śrubę zbyt mocno i pani Ferrars znalazła drogę ucieczki, jakiej pan nie przewidział. Gdyby Ackroyd dowiedział się prawdy, nie miałby dla pana litości. Byłby pan zrujnowany na zawsze.

— A telefon? — spytałem, chwytając się ostatniej deski ratunku. — Przypuszczam, że i tu wymyślił pan sobie jakąś teoryjkę.

— Przyznam, że z tym miałem więcej kłopotu, zwłaszcza kiedy się dowiedziałem, że telefonowano do pana ze stacji kolejowej. Bo z początku jeszcze sądziłem, że pan po prostu wymyślił ten telefon. To było bardzo sprytnie posunięcie. Musiał pan jakoś wytłumaczyć zjawienie się w Fernly i usunięcie dyktafonu, na którym opierało się pańskie alibi. Domyślałem się trochę tego, kiedy pierwszego dnia odwiedziłem pana siostrę. Powiedziała mi, jakich pacjentów przyjmował pan w piątek rano. Wtedy nie słyszałem jeszcze o sprawie panny Russell. Jej wizyta była szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ponieważ odciągnęła pana uwagę od prawdziwego celu pytań. No i wpadłem na to, czego się spodziewałem. Odwiedził pana tego ranka steward z amerykańskiego transatlantyku. Któż byłby lepszy! Wyjeżdżał o dziesiątej wieczorem do Liverpoolu. A potem w ogóle z kraju, w daleką podróż. Stwierdziłem, że w sobotę odpłynął z Liverpoolu statek „Orion”, i uzyskawszy nazwisko stewarda, wysłałem do niego radiogram z pewnymi pytaniami. Widział pan, jak przyniesiono mi odpowiedź.

Podał mi kartkę. Treść jej była następująca: „Tak jest. Doktor Sheppard prosił zostawić kartkę do pacjenta. Potem zadzwonić ze stacji z odpowiedzią. Odpowiedź brzmiała: «Bez odpowiedzi»”.

— Bardzo sprytny pomysł — zauważył Poirot. — Rzeczywiście otrzymał pan telefon. Pana siostra mogła to poświadczyć. Ale treść rozmowy, jaką pan przeprowadził? Ba! na to mieliśmy tylko pańskie słowo.

Ziewnąłem.

— Wszystko to jest bardzo interesujące — odezwałem się — ale nie da się absolutnie udowodnić.

— Sądzi pan, że nie? Niech pan sobie przypomni, co powiedziałem: rano inspektor Raglan dowie się prawdy. Jednakże z sympatii dla pańskiej siostry jestem gotów dać panu inną drogę wyjścia. Może nastąpić na przykład wypadek. Nadmierna dawka środka nasennego. Pan mnie rozumie? Ale kapitan Ralf Paton musi być oczyszczony, *ça va sans dire**. Proponuję, aby pan ukończył ten niezmiernie ciekawy rękopis, nie stosując jednak poprzedniej zasady zbytniej skromności.

— Widzę, że jest pan niesłychanie płodny, jeśli idzie o propozycje — zauważyłem. — Czy pan już skończył?

— Nie, skoro mi pan o tym przypomniał, to w istocie jeszcze jedna drobna sprawa. Byłoby z pańskiej strony wielką nieostrożnością próbować mnie uciszyć tak, jak pan uciszył Rogera Ackroyda. Ten sposób zupełnie zawodzi wobec Herkulesa Poirota, rozumie pan?

— Mój drogi panie Poirot — powiedziałem, uśmiechając się lekko. — Może mnie pan nazwać wszystkim, ale nie szaleńcem. — Wstałem. — Tak, tak — powiedziałem, lekko ziewając. — Muszę już iść do domu. Dziękuję za bardzo pouczający i interesujący wieczór.

Poirot również wstał i gdy wychodziłem z pokoju, ukłonił się jak zwykle niezmiernie grzecznie.

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozwiązanie

Godzina piąta rano. Jestem bardzo zmęczony. Właśnie skończyłem robotę. Ręka mnie boli od pisania.

Dziwne zakończenie mojego rękopisu. Któregoś dnia miałem zamiar ogłosić go drukiem jako opowieść o jednym z niepowodzeń Poirota. Dziwne, jak układają się wypadki.

Przez cały czas przeczuwałem jakieś nieszczęście. Od chwili gdy zobaczyłem panią Ferrars i Ralfa z nisko pochylonymi ku sobie głowami. Wtedy myślałem, że ona mu się zwierza. Myliłem się, teraz wiem, ale wówczas myśl o tym towarzyszyła mi nawet wtedy, gdy owego wieczoru szedłem z Ackroydem do jego gabinetu, do momentu kiedy Ackroyd powiedział mi całą prawdę.

Biedny stary Ackroyd. Jestem szczęśliwy, że dałem mu szansę. Prosiłem, by przeczytał ten list, zanim okaże się za późno. Nie, może lepiej będę uczciwy wobec siebie: czyż podświadomie nie zdawałem sobie sprawy, że z takim uparciuchem jak on postępuję najlepiej? To był jedyny sposób, by nie odczytał tego listu. Zdenerwowanie Ackroyda było patologiczne i niesłychanie interesujące. A mimo to nie podejrzewał mnie ani przez chwilę.

Myśl o sztylcie przyszła później. Miałem przy sobie inny bardzo poręczny instrument. Kiedy jednak zobaczyłem sztylet w gablotce srebrnego stołu, natychmiast przyszło mi do głowy, że znacznie lepiej użyć przedmiotu, którego nikt nie skojarzy z moją osobą.

Chyba od samego początku miałem zamiar go zamordować. Gdy tylko dowiedziałem się o śmierci pani Ferrars, nabrałem przekonania, że przedtem zwierzyła się ze wszystkiego Ackroydowi. Wtedy na ulicy wydawał się niesłychanie podniecony. Pomyślałem sobie, że być może już poznał prawdę, ale trudno mu w nią uwierzyć, i zaprasza mnie, aby mi dać szansę udzielenia wyjaśnień.

Po powrocie do domu przedsięwziąłem więc środki ostrożności. Jeśli podniecenie Ackroyda spowodował jakiś wybryk Ralfa, to moje przygotowania nic by nikomu nie zaszkodziły. Dyktafon otrzymałem przed dwoma dniami do podregulowania. Coś się w nim zacięło i powiedziałem Ackroydowi, że spróbuję go zreperować. Zabrałem dyktafon do domu w mojej lekarskiej torbie.

Jestem zadowolony z siebie jako pisarza. Czyż można było na przykład lepiej to opisać: „List przyniesiono za dwadzieścia dziewięć minut. Opuściłem gabinet za dziesięć minut — list jeszcze nie został odczytany. Zawahałem się chwilę, trzymając rękę na klamce, obróciłem się i zastanowiłem, czy powinienem był jeszcze coś uczynić”.

Wszystko to odpowiada prawdzie. Ale przypuśćmy, że po pierwszym zdaniu wstawiłem kropki! Czy ktoś by się zastanowił, co zdarzyło się w ciągu tych dziesięciu minut?

Stojąc potem w drzwiach, obrzuciłem wzrokiem gabinet. Byłem zadowolony. O niczym nie zapomniałem. Na stoliku pod oknem stał dyktafon nastawiony na godzinę dziewiątą trzydzieści (mechanizm tego małego urządzenia był bardzo sprytnie skonstruowany na zasadzie budzika), fotel odsunąłem, by przesłonić stolik od strony drzwi.

Muszę przyznać, że bardzo mnie zaskoczyła obecność Parkera pod drzwiami. Wiernie też zapisałem ten fakt. Potem, kiedy odkryto ciało i wysłałem Parkera do telefonu, by zawiadomił policję, cóż za wspaniałe użycie słów: „Zrobiłem, co jeszcze pozostało do zrobienia”. W istocie nie pozostawało wiele: wpakować dyktafon do torby lekarskiej i przesunąć fotel z powrotem pod ścianę. Nigdy bym nie uwierzył, że Parker zapamięta taką drobnostkę! Biorąc logicznie, widok ciała powinien był uczynić go ślepym na wszystko inne. Ale nie liczyłem się z kompleksem wytresowanego służącego.

Szkoda, że zawczasu nie wiedziałem o tym, że Flora zezna, iż widziała stryja o godzinie za kwadrans dziesiątą. To mnie zdziwiło bardziej, niż można wyrazić słowami. Prawdę powiedziawszy, ciągle zdarzały się rzeczy, które budziły moje bezgraniczne zdumienie. Wszyscy zdawali się maczać palce w sprawie tego morderstwa.

Przez cały czas najbardziej obawiałem się Karoliny. Obawiałem się, że ona może się domyślać. Dziwne to jej wyrażenie o mojej „słabości”.

Karolina nigdy nie dowie się prawdy. Jak Poirot słusznie powiedział, jest inne wyjście...

Mogę mu zaufać. Razem z inspektorem Raglanem jakoś to załatwią. Nie chciałbym, aby Karolina się dowiedziała. Ona mnie lubi, no a poza tym jest bardzo dumna... Moja śmierć będzie dla niej ciężkim ciosem, ale o ciosach ludzie zapominają...

Kiedy skończę, włożę cały ten rękopis do koperty i zaadresuję do Poirota.

I potem co wybrać? Weronal? Złośliwa zemsta sprawiedliwości! Nie dlatego, abym uważał, że jestem w jakimkolwiek stopniu odpowiedzialny za śmierć pani Ferrars!

Śmierć ta była bezpośrednim rezultatem jej własnego postępowania. Nie mam dla niej litości.

Nie mam również litości dla siebie. Niech więc będzie weronal.

Ale swoją drogą szkoda, że Herkules Poirot poszedł na emeryturę i przyjechał akurat tutaj hodować dynie.

* fr. Panie doktorze! Panienko!

* fr. Młody człowiek.

* fr. To właśnie jest ciekawe.

* fr. Albo obaj.

* fr. Piękna posiadłość.

* fr. To daremne

* fr. Przepraszam.

* fr. To zrozumiałe?

* fr. Panie inspektorze.

* fr. Jak by to powiedzieć.

* fr. Ma się rozumieć.

* fr. Miłość własna.

* fr. Panowie, panie

* fr. Tata

* fr. Dobrze

* fr. Bez żartów

* fr. Szkoda.

* fr. To możliwe.

* fr. Kobiety!

* fr. A zatem.

* fr. Dokładnie.

* fr. Ależ tak!

* łac. W chwili śmierci.

* fr. Doprawdy?

* fr. Dalej!

* fr. Czyż nie?

* fr. Nie sędzę.

* fr. To wszystko.

* fr. Specjalność.

* fr. Mój przyjacielu.

* fr. Spisek.

* fr. Z tego powodu — tak.

* fr. Drobnostka, proszę pani. Głupstwo.

* fr. Kapitalnie!

* fr. Bardzo dobrze.

* fr. To nie ulega wątpliwości.